



BIBLIOTEKA  
DZIEŁ WYBOROWYCH



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Wydawnictwo tygodniowe

Redaktor  
Stanisław Lam]

Wydawca  
Feliks Gadomski

Rok II. Tom XXXV

(Ogólnego zbioru serja II, tom XLVIII)

Cena tomu w prenumeracie . . zł. 1.39

Cena tomu poza prenumeratą . zł. 2.20

Redakcja i Administracja:  
Warszawa, Sienkiewicza 12

M. WIERZBIŃSKI

DWA

CHARAKTERY

L. 37

Księgarnia Biblioteki Dzieł Wyborowych  
Warszawa, Sienkiewicza 12



BL 600000

KOMEDJA  
SZMAT Z ŻYCIA LITERACKIEGO



1103273

Złożono i odbito w drukarni „Rotacyjnej”  
Jana Buriana, Przejazd Nr. 9.

K.52/801 114644



I.

— Dokąd tak pędzisz, Tytek? Chodź na wódkę!

— No, dobrze. Ale szybko.

Dwaj młodzi dziennikarze skryli się przed jesien-  
nym dżdżem do najbliższego handelku przy głównej  
arterji, stanęli w zgęszczonej, dymnej mgławicy,  
okraszanej zapachem wędlin i marynat, nacentkowa-  
nej omglonemi światełkami—w piekiełku, szemrzącem  
kakofonicznym gwarem głosów bezładnie pogrupo-  
wanej ciżby, która tłoczyła się przed amfiteatralnym  
bufetem, niby przed ołtarzem Sylena. Wśród niej  
uwijały się, jak psiaki, chłopcy, wrzaskiem przesy-  
łając zamówienia, roznosząc zakąski i „bomby” na  
marmurowe, obryzgane stoliki, opierścieniające skąpa,  
czworokątną przestrzeń.

Nie popasając, koledzy kropnęli po kieliszku  
starki, poczem, przydybany na ulicy kapłan ósmej  
potęgi świata, trzepał:

— Już piąta. Muszę śpieszyć do siebie.

— Czy schadzka? — bąknął Iklaszewski, polityk  
z „Wieku XX”, sardonicznie uśmiechniętem okiem  
typiąc po przez szkła binokli.

— Nie! — roześmiał się słodko recenzent tea-  
tralny z „Trybuny”, dając do zrozumienia, że przy-  
puszczenie to tylko wyjątkowo mija się z prawdą  
i ciągnął z afektowaniem, syropowem znudzeniem:  
Miałem dziś list od jakiegoś szlagona, czy tem po-



dobnego dwunożnego parafjanina z zapytaniem, kiedy mnie może zastać. Już to mnie zanudzą, dalibóg! Nie dość, że w redakcji nieraz, wyszła na wiór, zapakowana w cnocie guwernantka, opowiada mi przez godzinę treść swych poronionych płodów... literackich oczywiście, nie innych. O innych niestety milczy. A szkoda; byłoby to może zabawniejsze... Kazałem na list odpowiedzieć: „o piątą”. Bo cóż robić? Piszą do mnie z Continental'u...

Tu z nieustannym ruchem warg, pracujących z wytrwałością (ale nie wytwórczością) parowego młyna, pan Tytus Nietuszyński wydobył z zanadza list i jakby nie mógł oczekiwać, by wierzone mu na słowo, iż osoby w najdroższym mieszkające ho telu zgłaszają się do niego, pokazał koledze naczelnemu cwiartki czerwono wydrukowane: Hôtel Continental.

— Czort go wie, co chce, ale prawie założyłbym się, że to protektor jakiejś subretki lub statystki z miejskiego, któremu zachciewa się, abym wymienił nazwiko jego Dulcynei, albo raczej Circe w krytyce teatralnej z pochlebną wzmianką. Nieborak przyrzekł jej to w słabej a wesołej chwili życia przy Pommery'm... Pewnie o to chodził

Machnął ręką, jakby mówiąc: „stara historia, znamy to!” i westchnął, zaznaczając nie tyle tęsknotę za Pommery'm, ile brzemię kłopotów i zajęć, połączonych z berłem recenzenta. Poczem odetchnął, kazał podać jeszcze dwa kieliszki i zsunął z fantazją lśniący cylinder z wypukłego czoła, w którym mieszkwały wygodnie różne talenciki, ukoronowane królewskim sprytem.

Wydobył z tylnej kieszeni papierośnicę z tandetnego srebra, gdy wtem wsunęła się między nich czarna, mefistofelesowska figura z czarną grzywą, opadającą aż do niewidzialnego kołnierzyka i na-

kryta czarnym kapturem, o najszerszych na kuli ziemskiej brzegach, tak parasolistych, że nie tylko pałkowaty nos, smągła, bezwąsa twarz nurzały się w cieniu indyjskiej pagody, lecz wąskie ramiona patykowatej postaci, skulonej ku środkowi, jakby w czułej ochronie nieżyty kieszek, wkuwały się pod pogrzebowy baldachim, niby pod skrzydła gigantycznego grzyba z bajki, pod którym Jaś i Małgosia mogliby śnić słodkie sny o piernikowych pałacach i oczekających miodem drzewach. Na piszczelach barków wisiąca, jak na wieszadle, czarna peleryna z kapotą, dołem spięta, a górą ostentacyjnie odslaniająca lśniący plaster czarnego jedwabiu, który oparkaniał szyję aż pod śpiczastą brodę.

Był nieskazitelny w majestacie upiórowej czerni, tak bezgranicznej, że aż pod paznokcie sięgającej i tam stale zagnieżdżonej.

Bez słowa powitania figura ta wyciągnęła grabiaste ramię w kierunku papierośnicy i wyeskamotowała z niej cygareto cienkimi palcami, kocim gestem. Jednocześnie niski, na uroczystą nutę nastrojony głos, zahuczał z wnętrza tej postaci, niby zapożyczony z panopticum idealnych straszylek na wróble, gwoli zbudowania małuczkich i słabych na duchu pół-ludzi.

— Czy niema tu jakiego mecenasa, który fundowałby wódkę?— oddeklamował „karawaniarz” tonem rabina, zaklinającego Uriela Akostę.

— Zapóźno przychodzisz.

— Jestem, jak ów indyjski poeta, który przy podziale dóbr ziemskich przyszedł dopiero wtedy, gdy Buddha (czy jak mu tam było) nie miał już zgoła nic do rozdania. Taki mój los!... Ale zwracam twoją uwagę, że zostało jeszcze kilka pełnych bu-telek.



— Jeszcze trzy wódki, piccolo! — rzucił z grondezją Nietuszyński i zagadnął karawaniarza:

— Powrócił Kandel, nie wiesz?

— Nie wiem. A niechby gdzie utonął w żydowskich smrodach! A co? Zaliczka?

Tytek roześmiał się triumfująco.

— Po raz drugi!

— Na co?

— Nowele.

— Już znowu tom gotów! — wtrącił polityk, lustrujący etykiety butelek w szklanej szafie i porównujący psychicznym smakiem szlachetność ich wartości.

— Gotów?! — Parsknął literat, niemal dotknięty tem nawnem przypuszczeniem.

— Toż nie brałbym zaliczki, lecz spieniężył je, gdzie się da najlepiej.

— Kiedy ty u diabła piszesz, powiedz mi? — zapytał jeszcze Iklaszewski, podczas gdy nadczołwiek, błędzący wśród śmiertelnych pod nazwiskiem: Rzęda, rozgrzewał wnętrzności.

— Dobrze pytanie! — zawołał nowelista, — gdy w kieszeni pustka i w duszy malarja.

— Jedno z drugim chodzi zawsze w parze — bąknął Rzęda.

— Jakoś to się napisze — mówił nawpół do siebie Nietuszyński. — Zrobię jakie trzy tysiące wierszy, wkręcę między świeżo drukowane w pismach dwie nowele z dawniejszego i nowy będzie gotów. Kandlowi drogo wypadnie!

— Ile? — wtrącił ciekawie Rzęda.

— Dostałem trzysta reńskich zaliczki, teraz, dla przyzwoitości, wezmę tylko dwieście.

— A czy on da?

— Co? Mnie nie miałby dać?

— Umiesz brać Kandla! — westchnął polityk, na

co powiedle oblicze Tytka rozświetliło się i przymrużone filuternie, niebieskie ślípki zamigotały radośnie.

— Nie rozumiem... — ozwał się Rzęda. — W krytyce teatralnej Kandla nie dosięgniesz, w „Trybunie” w udo go nie uszczypniesz, więc...

— Ty Kandla, ani mnie, rozumu nie będziesz uczył! — zaśmiał się Nietuszyński. — Jeszcześ za młody, aby wszystko wiedzieć.

Stropiony karawaniarz zastanowił się tak głęboko nad intrygującą go łamigłówką, że nie odciął się wcale.

Maczał on także palce w literaturze. Głównem wszakże jego zajęciem od lat trzech — t. j. od chwili, gdy wylano go z jakiejś instytucji miejskiej — było łamanie sobie głowy nad tem, jak wypowiedzieć swą duszę, czy wcielić ją w arcydzieło pióra, pendzla czy dłuta. Raz „pracował” w jednym kierunku, raz w drugim, a właściwie nie robił nic, co uważał nie tylko za zajęcie jedynie godne „prawdziwie” kulturalnego człowieka, ale za urabianie duszy i przygotowywanie się do stworzenia arcydzieła.

Tymczasem sięgnął po jedną z największych kanapek, licząc na to, że za nią Nietuszyński zapłaci. Aby go sobie skaptować, mruzczał:

— Morowy z ciebie gryziپیórek! Nowele, wiersze... A ile nad to wysmarujesz atramentu na artykuły!...

— Doktor Johnson mówił, — rzekł Nietuszyński — że nie pojmuje, jak można pisać artykuł, dopóki ma się w kieszeni chociaż tylko... pięćdziesiąt franków. I z tem godzę się z nim zupełnie.

— Co to za doktor Johnson? — zapytał Iklaszewski.

— Nie wiesz, kto doktor Johnson! — zawołał literat opatrując wykrzyknik dwoma znakami zapytania, lecz w zakłopotaniu targnął anemiczny płowy wąsik.



— No kto? — nastawał nieubłagany zaciekły polityk.

— Zjrzyj do encyklopedji!... Sławny angielski pisarz, przyjaciel Bacon'a, Macauley'a, Fronde'go, Blake'a... Głośny ze swego dowcipu. Muszę uciekać! Późno. Daję słowo, po wół...

— Czemu ten Anglik liczył na franki? — pytał jeszcze Iklaszewski.

— Nie zawracaj głowy byle czem! Spytaj się o to nieboszczyka. Stawiaj małe piwo bo muszę się śpieszyć.

Cisnął niedopałek papierosa na podłogę.

W kilka minut probna, ruchliwa jego figurka prześlizgnęła się w piskorzowych rzutach przez wał mężczyzn i wśród handelkowych kinkietów i świetlnych rozet nie stało więcej lokalnej gwiazdy.

## II.

Pan Józef Sołtub był niewinnym człowiekiem, ale popełnił komedję i, co gorsza, zapragnął ją wystawić.

Stało się to w epoce upadku ducha, o co nikt, nie byłby posądzał zdrowego na ciele i umyśle rolnika, który uchodził w okolicy za tak porządnego i wzorowego męża, że rówieśnicy poczytywali mu to za wadę nie do darowania. Niekiedy wprawdzie z okazji imienin jakiej pani sąsiadki-dobrodziejki lub jubileuszu jednego z „naszych przezacnych i czcigodnych filarów obywatelstwa”, pan Józef, cicho zadzwoniwszy w kielich, zlewał głowy biesiadników toastowymi rymami, wszelako niewinne wloty na Pegazie w umiarkowanym tempie i strawna dla parafjan poezja nie przerażały nikogo tak dalece, aby miał wątpić o równowadze jego umysłowej. Najbardziej niebezpieczne oko endeckie nie wytropiło w nim ani cienia

przewrotnej duszy. A jednak pięta losu zepchnęła trzeźwego obywatela na Parnas literatury.

Praprzyczyną jego upadku była oczywiście — miłość.

Oczy, zwrócone dotąd na opasy, na zgrają psów umiłowanych i rumiane policzki dziarskiej kawiarki Magdy, otworzyły się na cichą, jakby trochę wylekioną, kopcuszkową siostrzenicę i wychowanicę sąsiadów. Buchnął na niego niepoznany urok przedziwnej kobiecości, rozpełtał w jego piersi przecucia erotycznych wdzięków i wtórzeń. Roje cudnych słów omotały ciemną jego czuprynę, w oczach miał mirażę, w uszach muzykę „jej” głosu. Przyłapywał się na długich zadumach, w które wtrącał go zachód słońca, noc księżycowa lub wycie psa.

Głupota pana Sołtuba kwitła bujnie na gruncie ślepej wiary w dobroć i szlachetność rdzenia istoty ludzkiej. Idealizował t. zw. przyjaciół i kobiety brał zupełnie na serjo. Więc przytulna, z półtonów słodczy złożona gaska, przeobraziła się w rozgorączkowanej mózgownicy w rajskiego ptaka o czarodziejskim upierzeniu, a myśl o niej perfumowała mu stajnie, obory, psiarnię i kancelarję.

Chwilami rozsądek trzeźwił go zimnym tuszem, rozbiierał bożyszcze z gaz ideału, lecz w obliczu chabrowych, migdałowych oczu padał bezsilny, zdeptany. Sam widok różowej kokardki we włosach, uczesanych à la dziewczę polskie, przyprawiał go o dreszcz. A gdy odzywała się do niego, tracił głowę, gapiał.

A potem wracał do domu błędny, pijany. Jedno tylko zakłócało harmonję marzeń. Nosiła, staropanińską paczulą pachnącą, imię: Klementyna, z którym Filon nie mógł sobie dać rady, którego nie mógł zdrobnić, nagiąć, Próbował: Klima, Mińcia. Przypominały mu się: menty ...we własnej głowie.



„Klimka” już całkiem go dekoncentrowało. Więc była to po prostu „Ona”—jedyna, wysniona—kobieta—kobiecość—szczęście—życie.

Pewnego razu, zniecierpliwiony własną biernością czyli ślamazarnością, dał się unieść i zdradził jej półśłówkiem stan swego serca i—struchłał ze strachu. A zrobił to z taką dziecięcą ufnością, z taką przedpotopową dobroduszością, że żak powstydziłby się takiej niezgrabności, a panna, której zamiast jedynie znośnych pozorów miłości, podanych w bombonierce, składano in stóp nagą miłość, przeraziła się i — zgąbiała, oniemiała. Nie znalazła dla wielbiciela ani słowa zachęty, wylała mu na łeb kubek zimnej wody. Więc wziął to za odprawę i wymyślając sobie od idjoty, usunął się, zamknął w klatce ciasnego istnienia, więcej niż dotychczas przekonany, że nie może podobać się kobietom.

Zwykłą koleją rzeczy sercowych, panna Klementyna dopiero teraz, gdy zadrażniło jej miłość własną, poczęła zajmować się adoratorem. Znadto jej się podobało, że się podoba, aby rejteradę Sołłuba miała przyjąć z ataraksją mędrców greckich. Młodzian, który na zjazdach okolicznych, miasto kształcić się gorliwie we flirtowaniu, grywał w bridge'a ze starszą gwardją, a na pięć piękną spoglądał z przyzwyczajonej odległości, stał się teraz w jej oczach marzyicielem, trubadurem bez gitary. Wokoło nastroszonych jego wąsów, maskujących flegmatyczny temperament, snuła się przedza dziewczyczych, płomienistych snów. A ponieważ pan Sołłub począł uchylać się od zaproszeń, podrażniona tem panna tak manewrowała, że w kościele, podczas sumy, zajmowała jak najbliższej niego miejsce w tej samej ławie i pan Józef po mszy był zniewolony przeciskać się obok pogrążonej w żarliwych modłach dziewicy. Ognie były wtedy na niego, krew tętniła w skroniach, gdy z pokornem,

stłumionem: „przepraszam panią...” przesuwał się z trudnością, wyczuwał jej kształty, perfumy jej ciała, odgadywał czary. A przytem spływało na niego śliczne powłóczyście, lazuruwe spojrzenie, niosące coś, jakby żal i przyrzeczenie poprawy, spojrzenie, od którego przechodziły go ciarki i serce drżało gołębim, cudnym lękiem.

Lecz pan Sołłub przestał bywać nawet w kościele. Wykoleił się. Zamiast pozostać konsekwentnie na dotychczasowej drodze, wskazanej przez głupotę, wpadł nagle w drugą ostateczność: począł słuchać rozsądku, który nakazywał korzystać z bolesnej lekcji życiowej. Zamiast zdobywać, błagał aniola o miłość wyżłem spojrzeniem, zamiast iść naprzód, czekał zmiłowania losu i teraz, zamiast brnąć dalej w trzęsawiskach, ratował się na lodowatej krze rozsądku i wpadał w otchłań nicości. Zamiast zrobić głupstwo, które mu się podobało, zrobił takie, które mu się nie podobało.

Nastąpił deadlock. A ponieważ pan na niewielkich Omiarkach nie wydawał się ciotce panny wcale świetną partją, nie znalazła się niewieścia ręka, która byłaby zakulisowym manewrem popchnęła, zakonanych w ramiona. Ostatecznie ciotka wywiozła pannę do Zakopanego na doroczny jarmark małżeński i tam panna Klementyna przeszła się za męża i znikła z widnokregu Omiarek.

Na wieść o tem, wygasająca chwilami miłość pana Józefa, uderzyła mu raz jeszcze do głowy, rozniecona płomieniem obrażonej miłości własnej, pożarła mu, poszarpała duszę i rozplynęła się, niby krew serdeczna, w potok żalu do losu, do świata.

Epizod ten, lubo pogrzebany ze wszystkimi honorami, pozostawił w pogłębionych szczelinach duszy osad żalobny. Pan Sołłub odsunął się trochę od ludzi, tem więcej, iż zdawało mu się, że „cały świat”



wiedział o „wszystkiem”, a niefortunny obrót rzeczy musiał mu urządzić ujmę w oczach opinii parafjalnej. Niebawem przekonał się, że można żyć bez ludzi. A gdy okazało się, że i oni żyją bez niego i nikt z t. zw. przyjaciół nie spyta się o niego serdecznie, mizantropja pana Józefa pogłębiła się, ku zadowoleniu ładnej Małgosi.

Wtedy nawiedziła go muza.

Jako uczeń pan Józef wszystkie szóstki topił w kasie teatralnej. Różnobarwne płachty afiszów wisiały nad jego łóżkiem, śnił o Karpackich Góralach, deklamował całą rolę Karola Moora i urywki z Tella. Gdy zaś pewien spryciarz-kolega odkrył mu sposób „wkręcania się” do teatru, wszystkie miedziaki wędrowały w ciepłą dłoń baby-bileciarki z górnego piętra i chłopak płonął na coraz to innych stosach wzruszeń tak, że przepadł w egzaminie, chociaż umiał na pamięć rolę księdza Marka z Konfederatów i mnóstwo innych rzeczy. Zaczem ojciec zapędził go do orki.

Zapomniana muza zjawiała się w pustych Omiarkach, gdy głośnie w okolicy sprawa rozwodowa wstrząsnęła umysłami i wykrzesła z niego iskrę poczucia dramatycznego. Wszedł w okres fermentacji, w którym brodził po pas w Dumasie, Ibsenie, Hauptmanie, aż wyłoniła się z tego trzy-aktowa komedia: „Rozwód”.

Skromny, niedotknięty grafomanja, hreczkosiej nie mniemał, że stworzy arcydzieło, które poruszy z posad bryłę świata. W chwilach upojenia marzył tylko o jednym wielkim dniu w swem życiu i — odwiecie na dawnej pannie Klementynie, która wyczytawszy o jego niespodziewanym występie na arenie dramatycznej, nie będzie mogła uciec w kąć mężowskiego serca przed dreszczem żalu za poniechanym

wielbicielem. Przez ten jeden moment będzie należała do niego duszą...

Posłał rękopis staremu, emerytowanemu profesorowi uniwersytetu, a przyjacielowi nieboszczyka ojca, który za lat młodych pisywał i wystawiał wierszowane utwory dramatyczne. I o mało nie wyskoczył ze skóry, gdy pewnego bardzo pięknego dnia spadł na niego jak meteor list, w którym czytał tańczące mu przed oczyma zwroty: nerw dramatyczny, temperament... ścisłość myślenia... dosadna djalektyka... wątek ujęty silnie... bohater rysowany węglem. Wprawdzie profesor pisał coś o braku wyszkolenia literackiego, stylistycznej giętkości, o chropowatościach językowych, o wadliwościach w budowie komedji, niedbałym rysunku drugoplanowych figur, atoli wszystko to karłowaciało wobec pochwał, rozpadało się w proch w blasku ostatniego zdania: ...„może być wystawiona z powodzeniem”.

Z powodzeniem!... Z powodzeniem....

Zakipiła w spokojnej głowie. Jak ptak długo w hipnozie trzymany, pan Sołub zerwał się do lotu i skoro ukończył jesienne zasiewy i znalazł dobrą dozorczynię do spółkowej mleczarni, poszybował do miasta. W radosnym pośpiechu zapomniał nawet zabrać głowy, ale wziął portfel, dobrze wyładowany banknotami.

Gdy wsiadał do wagonu przepyszny seter Rys, który eskortował pana, żegnał go łzawem spojrzeniem, pełnem wyrzutu i żalu.

### III.

Nudny kapuśniaczek przysłał ulicę brudną gazą wilgoci, gdy pan Sołub, punktualnie o piątej, stawiając się u drzwi recenzenta teatralnego „Try-





buny" nadaremno, wynurzył się z ciemnej jak smo-  
cza jama bramy i przystanął pod gzymsem, nie  
pewny, co mu wypadła uczynić.

Bądź co bądź musiał się widzieć z Nietuszyń-  
skim. Więc rozwarłszy parasol, puścił się z wolna  
oślizgłym chodnikiem z zamiarem powrotu za kwad-  
rans.

W drodze z Omiarek wyłoniło się z lochów pa-  
mięci przerażające zdanie: „sztuką jest napisać do-  
brą rzecz dramatyczną, ale stokroć większą sztuką  
nakłonić dyrektora teatru do przeczytania jej”. Ale  
nowelista mówił to o stosunkach obcych! Nie po-  
dobna, aby u nas, gdzie tak bardzo niewielu pisarzy,  
uposażonych nerwem dramatycznym i poczuciem  
sceny, gdzie tak niewiele sztuk oryginalnych na sce-  
niel! A jednak... Legjony grafomanów i grafomanek,  
dobijające się kulakami do przybytku teatralnego,  
musiały usposobić dyrektorów sceptycznie i nieprzy-  
chylnie względem dyletanckich przybłędów, z poza  
świata piśmiennictwa, przystępujących bez paszportu.  
Więc kto wie...

Zamiast po prostu przesłać swój utwór do dy-  
rekcji teatru, pan Józef odnalazł wpierw koleżę  
szkolnego, a znawcę miejscowych stosunków i pora-  
dził się, jak zabrać się do rzeczy. Adjukt sądowy  
nie był w kłopotach; bez namysłu ubił sprawę, rzekł-  
szy z nieznośną repliką stanowczością:

— Idź do Nietuszyńskiego! Jeżeli on sztukę  
twoją poleci dyrektorowi, zobaczymy ją na scenie.

Nigdy jeszcze pan Sołtub nie czuł się tak ma-  
łym, przybitym do ziemi płazem, jak w tym momen-  
cie, gdy zakolał do zamkniętych drzwi dziennikarza.  
Skurczył się w sobie, uronił coś z rozmachu ruchów  
rolnika, obracającego się swobodnie wśród szerokiach  
przeźreni. Wprawdzie Omiarki nie były Złotym Po-  
tokiem, ale na swej zagrodzie czuł się przynajmniej

równym... dziennikarzowi. A tymczasem, w tym ra-  
zie, wypadło się kłaniać.

Nigdy potęgą prasy nie rzuciła mu się w oczy  
z taką rozprzegającą siłą. Okazywało się, że taki  
„gazeciarski” na całym bodaj obszarze niwy społecz-  
nej ciskał lub wciskał problematyczne promienie  
swego umysłu, wplatał nieznaczną nitkę wpływów  
w najróżniejsze sprawy. Poza wszystkim stała prasa  
i teraz, w oczach autora, sterczała niby kolos rodyj-  
ski, dumna, dyktatorska nad marnym prochem, który  
wiatr wmiótł wypadkiem na bruk miejski. Niby  
jaszczur apokaliptyczny mogła go zmiażdżyć, niby  
wieloryb jonaszowy połknąć go i bez ceregieli wy-  
pluć na śmietnik rupieci, nad którym ani pies nie  
zawyje.

Gdy uprzytomnił to sobie, wszystka godność  
osobista zwinęła się w kłębek i wtuliła gdzieś pod  
żebra, kłując go jednak dotkliwie. Gdyby to cho-  
dziło o człowieka, który mocą pracy i zasług wyrósł  
na autorytet i zdobył cześć ogółu! Ale pan Józef  
musiał przed kolegą wyznać, że chociaż nie przy-  
bywa z kraju, gdzie pieprz rośnie, a gazety nie pod-  
różują do niego na Berdyczów, nie ma pojęcia, kto  
to ów Nietuszyński, którego nazwisko wymawiano,  
jakby wielkiego człowieka lub głośnego zbrodniarza,  
jakby wróble świergotały o nim na dachach.

Gdy poprosił o wyjaśnienie, adjukt spojrzał na  
niego, jak na raroga i wyśpiewał:

— Jakto? Nie wiesz, kto Nietuszyński?

— Wyznaję.

— Z „Trybuny”... Nowelista, poeta... feljetonista,  
krytyk. Jednym słowem... No, bez niego nie można  
się obyć.

Przybys zwiślał głowę pokornie, czując, że do-  
staje się w labirynt zwanego, miejskiego światka,  
gdzie w istocie potrzeba mu cicerona, jeśli nie ma



zrobić fałszywego kroku i zbłądzić. I postanowił trzymać się rady literalnie.

Jakoż cierpliwie szwendał się po niegościnniej ulicy, wdychał miejską zgniliznę i przyglądał się strupieszalym murom, wśród których z rzadka przesuwaly się mary, niby szczury wślizgujące się chyłkiem do nor cuchnących.

Gdy po raz niewiadomo który przechodził przed bramą, zaskoczył go z tyłu głos:

— Przepraszam, może pan Sołtub?

— Tak jest; jestem Sołtub.

— Proszę pana na górę.

— Byłem dwa razy...—począł autor, domyślając się, że ucyndrowany pan, który go zaczepił, a nie raczył się przedstawić, jest właśnie ową lokalną wielkością, z którą nie miał dotąd szczęścia się zapoznać.

— Miałem zebranie—mówił Nietuszyński—które przeciągnęło się... Nie mogłem go wcześniej opuścić, bo to wszystko na mej głowie. Zebranie w Kole dramatycznym. Proszę, niech pan będzie łaskaw.

Otworzył podwójne drzwi z korytarza, nacisnął przy wejściu guzik przyrządu elektrycznego. Tu i owdzie trysnęły węzowe światła w szklanych bańkach i ukazała się maleńka klatka, odcięta ciężką kotarą od przyległej sypialni, niby remiza, zapchana meblami, wśród których błyszczala bursztynowo płyta pianina. Złociste iskierki wyskakiwały z dwóch lichtarzy na biurku i bibelotów, jakby z buduaru kokoty przeniesionych. Ciasnota była taka, że jeśli n. p. aktorka przyszedłszy po wskazówki, dotyczące opracowania roli, podniosła się z kosmatej kanapki, nie mogła nie zawadzić chwaszczącemi jedwabiami halki o nogi szanownego znawcy sztuk teatralnych.

— Proszę siadać Na kanapie. Wygodniej. Pa-

pierosa? Mogę polecić: prawdziwe Gianaclis et Comp. Czemu mogę panu służyć?

Swoboda, niemal koleżeńska nuta, ośmieliła zaściankowego literata, który począł wyluszczać rzecz swoją w przygotowanych zwrotach. Nie zdążył jeszcze nadmienić o atutowym liście profesora, gdy mowny gospodarz, siedzący przy biureczku, rzekł z uśmiechem:

— Chodzi panu o to, abym rzecz pańską, polecił dyrekcji teatru miejskiego?

— W pierwszym rzędzie, aby pan zechciał ją przeczytać. Gdyby nie zyskała pańskiej...

— Oczywiście, wpierw przeczytać. Nabrawem w tem zaiste wprawyl... Wylawiam perły z morza nicosi. Nie odgadłby pan, ile utworów dramatycznych przechodzi przez moje ręce! W roku zeszłym (obliczyłem) przeczytałem nie mniej niż dziewięćdziesiąt i dwie sztuki. Ale owszem proszę mi zostawić rękopis, zapoznam się z pańską komedją chętnie... Za jaki tydzień dam panu znać. Muszę najpierw przeczytać dwa inne manuskrypty.

Na poparcie swych słów krytyk otworzył szufladę, w której spoczywały pliki jakichś papierów, i mełł językiem dalej, a tymczasem gość czyhał na stosowny moment, by pokazać mu pieszczony w zanadrzu list profesora.

— Niezmiernie będę panu wdzięczny za zajęcie się moją sztuką. Zdanie pańskie zaważy z pewnością bardzo na szali jej losów.

— O! Niema najmniejszej wątpliwości. Poleconej przeze mnie sztuki dyrekcja nie odrzuci... chociaż obecnie nie żyję z Kellermanem w najlepszych stosunkach.

— Może także opinja profesora...

Tu pan Józef wydobyl wreszcie pismo profesora...



sora, które Nietuszyński przeczytał z uwagą, poczem rzekł niedbale:

Achl... To dobrze, dobrze, ale ci profesoro wie spozierają z wyżyn spróchniałej katedry przez okulary zimnej scholastyki. Zdała od potoku życia od sceny...

Machnąwszy ręką, recenzent począł mówić o sztukach, nagradzanych na konkursach, które nie robią ani trzech spektakli, o swej znajomości warunków scenicznych, o psychologii tłumu, o chwilowym nastroju umysłów i o potędze krytyki, która wszystko może uśmiercić i wszystko narzucić publiczności. Mówił potoczyście, dając do zrozumienia, że komedje pana Sołłuba, z góry już stawia ponad chwasty literackie, więc potok szemrzących wartko słów ukłosał pana Józefa w stan błogiego, fizycznego zadowolenia, w którym pół i ćwierćtony psychiczne kójarzą się w harmonję milego, dobrodusznego optymizmu.

Gdy zaś Nietuszyński począł wysypywać przed nim spostrzeżenia o bieżącym repertuarze, streszczać swe recenzje, charakteryzować aktorki i aktorów i powtarzać kursujące w kawiarniach podkasane koncepty, zdziczały na wsi przybysz, któremu nagle było danem wstąpić w atmosferę „prawdziwie” kulturalną, przyglądał się dziennikarzowi z odcieniem wdzięczności, podziwu i zaciekawienia.

Wiekui jego nie umiał określić. Mimo lat dwudziestu sześciu Nietuszyński zdążył już podłysieć dzielnie. Dużą tarczę czoła przedłużały języki, wrzynające się daleko w płacek płowych, rzadkich włosów, ugłaskanych po parysku. Krytyk bowiem był w Paryżu dwukrotnie (po dwa tygodnie) „na studjach nad sceną”; „w celu poznania nowości prądu ostatniej doby”, co pozwalało mu wspominać w feljetonach o „swych przyjaciółach francuskich” o mniej lub

więcej rozgłośnych nazwiskach. Czytelnik mógł z tego wnioskować, że Nietuszyński, tam nad Sekwaną, w „świetlanem mieście”, zostawił serce i duszę, poświęca się dla ojczyzny, pracując w pocie czoła nad oświatą niekulturalnej hołoty, na owym podłym, zachwaszczonym, niewdzięcznym gruncie, a tam miał najświetniejsze stosunki, obcował z najpotężniejszymi umysłami i prezydenta republiki klepał po ramieniu.

Najwydatniejszym w fizjognomji jego był marszałkowski nos, który dzieląc orlim grzbietem płaszczyny lic, jakby z nadpsutej cielęciny ulepionych, usiłował zajrzeć w szparę wązkich ust, między kławiatury częścią spróchniałych zębów. Zwykle operetkowy uśmiech zdradzał wewnętrzne zadowolenie, a z całej wypoconej, jakby chronicznie niewyspanej, fizjognomji, promieniowała podniecająca dziarskość kawiarnianego bohatera.

Działało to na pana Sołłuba. Przy wyjściu zagadnął:

— Gdzie pan jada kolacje?... Byłoby mi bardzo miło...

— Zwykle w Continentalu—rzucił niedbale Nietuszyński. — Dziś będę w towarzystwie; mam się zobaczyć z prezesem teatrów warszawskich, który by u mnie wczoraj z wizytą. Jest w przejeździe w naszym mieście. Jutro?... Jeżeli się nie myle, obiecałem się na jutro do hrabiny Krawiczowej. Muszę zajrzeć w karnet. Pojutrze—Premjera. Ale zobaczymy się w kawiarni Szolca. Do milego.

#### IV.

Cichy upiór pod skrzydłami parasolistego kapełusza, jakby uosobienie „memento mori”, wsunął się, owłócząc nogami dramatycznie, do kawiarni Szolca,



przepłynął obok szeregu bilardów i wstąpił poważnie, niby koncertant, uginający się pod brzemieniem genialności i czupryny, po trzech stopniach na podłużną, światłem elektrycznym zalaną przestrzeń, która stanowiła przełęcz między dwoma salami bilardowymi i punkt zborny rzeszy literacko-artystycznej.

Zwykle około piątej i po teatrze tłoczyła się przy marmurowych stolikach brać duchów wybranych, związanych rozbieżnością poszczególnych interesów osobistych, zazdrością, nienawiścią, komerażami i pospolitem kółniństwem — brać, zmieszana w bigos giełdowy, parująca błękitnym dymem papierosów, szemrzająca chóralnym pomrukiem głosów.

Jedną ścianę tworzyły szklane tafle, przecięte drzwiami od strony ubocznej ulicy, przysłonięte do połowy zielonkawymi kotarami. Z drugiej strony padały, niby ze smoczey jamy, głębokie cienie z niszy bufetowej, w której, obok srebrzystej piramidy, upstrzonej barwnymi woreczkami i paczkami czekolady a ukoronowanej pióropuszystym pękiem sztucznych traw, widniało znudzone oblicze wiecznie niewyspanej, w zaduchu zatechłej kasjerki, z wyżyn wspomnień wiedeńskich spoglądającej pogardliwie na prowincjonalne głowy.

Opodał, przez niewielki, czworokątny wylom w ścianie, wynurzały się co chwila, jakby ze światłem oddychającej paszczy, tacki z kawą, herbatą, buziak kawiarki, obiegającej wprawnym okiem obleżone stoliki. Ten i ów, przysłoniwszy się płachtą bibuły, chwycił w lot dorywcze spojrzenia i oczny ten flircik, traktowany całkiem nawiasowo, tonął dość niepostrzeżenie w zgiełkliwym światku, poza kalejdoskopem przemykających się figur.

Stanąwszy na skraju tej przystani karawaniarza powłókł generalskim spojrzeniem policznym zgromadzeniu, z namysłem, gdzie wypada mu zająć miej-

sce, podszedł do stojącego opodał znajomego i nie witając się, zapytał grobowo:

— Słuchaj! Cóż to za jeden ten ciołek z nastroszonemi wiechciami pod nosem?

— Nie wiem... — odparł zagadnięty, poszedłszy za wzrokiem karawaniarza w kierunku lustra, pod którym skupiło się ośmiu czy dziesięciu mężczyzn.

— Aż tu jakby zalaływało od niego swojskim fetorkiem z obory.

— Widziałem go kilka razy z Tytkiem.

— A-ha! Więc to musi być albo frajer albo baciarz. A ten asceta obok niego, w którego pracującą jamę uszną wpatruje się trzoda, jak sroki w gnaf? Co on zacz?

— Jakiś uciekinier, socjał czy coś podobnego.

Po chwili milczenia Rzęda bąknął:

— Masz papierosa?

Obejrzał, wymiętosił w palcach papierosa, zapalił go, potem zrzucił pelerynę, odsłonił wytarty, aksamitny żakiet i fałdziste, z tyłu lśniące spodnie, poczołgał się leniwie do stolika, przy którym zebrala się grupa wokół zakordonowego gościa i wplótł się między nich, jak zwykle cichy, nastrojowy. Ile razy ukazywała się na widowni papierośnica, wyciągał w jej kierunku kościstą łapę i czekał ze spokojem fakira, żali nie pojawi się przed nim kieliszek.

Nikt na niego nie zwracał uwagi. Wszyscy wlepili oczy w wynędzniałe, wysubtelnione oblicze blondyna, przeobrażające się co chwila.

Opowiadał on z humorem o swej nocnej przeprawie przez kordon, gestykulując, jakby chcąc plastycznie unaocznic krytyczne momenty sceny, którą raz jeszcze przeżywał w umyśle. Z opowieści wylał się strumień innych wspomnień, nacechowanych agitatorską tendencją. Charakteryzował rzeczy z niewieścią obfitością słów, jak zwykle ludzie, którzy



większą część życia trawia na zebraniach, naradach, spiskach i w ich szumie spalają rtec zasobów energii.

Ale gdy padła uwaga sceptyczna, wyprostował się, jak żołnierz, głos nabrał metalowego dźwięku i z piersi poczęły wyrwać się kawały serca. Każdą kroplą krwi wierzył w swe ideały polityczne, kochał je i czcił, jak najwyższe bóstwo, oplótł się wokół nich włóknami duszy, żył przez nie i dla nich. A mówiąc o tem, co było mu świętem, rozciągał światło rozgorzałej w uniesieniu, fanatycznej duszy, tchnącej upragnieniem poświęcenia.

Na obliczach zebranych, którzy z zajęciem słuchali anegdotycznej części jego historii, odmalowało się teraz zakłopotanie, jak wobec dziwołagu, wychodzącego poza ich sferę duchową, niedostosowanego do miejscowego kamertonu. Grad płomiennych zdażeń przebrzmiał bez echa, odbił się o skorupę małoduszności, oschłości i sobkostwa.

Jedynie pan Sołłub chciwie łowił akordy rozgranego, męznego serca oraz młody lekarz, doktor Gólkowski, którego pan Józef spotkał niespodziewanie w mieście.

Gdy łłowicz zamilkł, głuza padła na zebranie, bo porwały się nici sympatyczne między nim, a „uciekiniem”, który, odczuwając to, pochylił głowę żalobnie. Lecz zaraz, jakby uderzywszy o ścianę zwartych lodów, uniósł ją, powiódł dumnym okiem po zmaconych twarzach, obryzgał je siną pianą pogardliwości i syknął przez zęby:

— Panowie Austriacy nie rozumieją...

Nic więcej. Pogarda spaliła się w żrenicach i ustąpiła przed ironiczną wyrozumiałością. Podniósł się powoli, przecisnął między stolikiem a kolanami pana Sołłuba i począł zabierać się do odeszcia.

Rzęda, wtulony w krzesło, jak gibki pręt, odda-

wał się wydmuchiowaniu skłębionych kółek dymu wy soko przed siebie, zatopiony w nirwanie, sfinksowy. Nietuszyński zaś pił herbatę ze znudzonym, kwasowym wyrazem twarzy.

Zagramy?... Bilard wolny — ozwał się do pana Józefa.

— Może trochę później. Chciałbym jeszcze wy pić herbaty—tłumaczył się autor, nie mając odwagi wprost odmówić krytykowi.

Gdy Nietuszyński oddalił się do sali bilardowej, zbliżył się do łłowicza. Rozmawiał z nim przez chwilę, uściślał mu rękę serdecznie i zadowolony z siebie, przysiadł się do doktora Gólkowskiego, który, odłączony się od towarzystwa, zajął miejsce przy opróżnionym stoliku.

Długo nie zamienili ani słowa. Tymczasem po odejściu „uciekiniera” pozostało jeszcze gnębiące, upokarzające wrażenie, aż ktoś rzucił uwagę:

— Manjak kołowrotem dotknięty!

I rozwiązały się języki.

— Apostoł półgłówek a właściwie bezgłówek

— Niby to zapatrzony w gwiazdy, brodzi w rozdeptanym, rozcieńczonym ile teorii nie do wcielenia Społecznik!

— Ten nieznośny ton kaznodziejski!

— Mąka na młynek zbawicieli ludzkości, którzy z niej wyrabiają chleb dla samych siebie.

Sołłub, z gazetą w rękę, starał się odpedzić o siebie dolatujące go fragmenty uwag, które, niby rc, komarów, cykających natrętnie, krążyły i wpijały mu żądła w krew serdeczną tętniącą żyły. Miał uczucie, jakby jakieś zębate koła ze ślimaczą powolnością rozgniaty cichy ogródek jego pragnień i umiłowań obywatelskich. Ale skroś duszy dźwięczały jeszcze słowa łłowicza, niby tony harfy Serafinów, i rzucił okiem wstrętu na grono, które robiło na nim wraże



nie bezzębnych kundłów, co skulone, zacięte, na głos dyktatorski przyległy do ziemi, a teraz, wyzwolone od obecności pana, rozszczękały się hurmem.

Niewysłowiony, trujący niesmak czuł w duszy, jakby szlam cuchnący, lecz był zadowolony, że Nietuszyński nie należał do grona puszczyków, huczających łłowiczowi pozgonne. Mógł zachować do niego iluzje, jakimi swym zwyczajem otoczył od razu „przyjaciela” Jeśli Nietuszyński odszedł do bilardu — myślał idealista — to jedynie dla tego, by wycofać się z koła, w którym uderzający brak oddźwięku strun obywatelskich musiał go razić. Skazany na przestawanie z nimi, nie chciał im się narazić niebacznem słowem, a czuł, że nie zdoła pohamować się i palnie im w twarz, co myśli. Zamurował w piersi uczucie i uciekł.

— Daję słowo! Przechodzi pojęcie! — wybuchnął raptem doktor Gótkowski, odrzucając czasopismo. — Kto nosem nie natknie się na takie rzeczy, nie uwierzyłby za nic, że to możliwe.

— A co takiego? — zagadnął pan Soltub zacieka wiony.

Uspakajając się, doktor mówił:

— Z pewnością obce są panu nasze stosunki literackie. Dobrze jest nie znać wielu rzeczy... Nie wiem, czy to pana zainteresuje?

— Owszem. Niech pan mówi.

— Otóż natknąłem się tu na obszerną ocenę ostatniego tomu nowel Nietuszyńskiego, który ukazał się coś dziewięć miesięcy temu. Więc krytyka spóźniona. Dlaczego? Ot, wydawca tego czasopisma, krótko po opublikowaniu nowel Nietuszyńskiego, wydał drugi tom poezji i nim rzeknie słowo o płodach recenzenta z Trybuny, chciał wpierw odczekać, co tenże zaopiniuje o jego poezjach. Nietuszyński zbyt sprytny, aby nie odgadnąć, co znaczy to wyczeku-

jące stanowisko, więc poezje pochwalił, autora pogłaskał i doczekał się teraz oceny swych nowel... Nie! wyniesienia na piedestał literatury. Ręka rękę myje.

— Więc pan to ma za ukartowany...

— Geszefcik! Mam na to dowód! Tenże poeta i wydawca czasopisma, kilka miesięcy temu w wesolej kompanji naigrawał się z nowel Nietuszyńskiego, nazwał je „wylewem malinowego soku, zaperfumowanego paczulą i półświatkowym dowcipem”. Mówiąc o innym utworze, śmiał się nad ową „źmiją świetną, wyhodowaną w sercu”, którą Nietuszyński podobno pieści w zanadrzu, nad jego dostojną pozą. Mówiąc o innej, fantastycznej noweli, nazwał ją stekiem kosmologicznych nonsensów, produktem gadatliwości błyskotliwej, „bredniami, których sam nie rozumie”. A teraz zestawmy ten sąd z krytyką jego Patrz pan, podpisał się inicjałami! Ot tu!... „Dojrzej wający szybko, pierwszorzędny talent, olśniewający świetnością kolorytu, bujnością obrazowania... Dusza pokrewna Novalisowi... Ujął z nowego punktu widzenia nieśmiertelną tragedję duszy ludzkiej, polegającej na niemocy uchwycenia życia i jego różnorodnych zjawisk w skończony kształt doskonałości artystycznej, któryby wcielił daleko zsybujące sny o pięknie w żywy akord wieczystego słowa...” Ha—ha—ha!...—śmiał się lekarz i dodał: „Panie, Ty słyszysz i nie grzmisz”, możnaby wołać z Zagłobą. Co? Ładne?... Nietuszyński i nieśmiertelna tragedja!...

— Czytał pan nowele Nietuszyńskiego?

— Czytałem — odparł śmiejąc się jeszcze Gótkowski.

— I co pan o nich sądzi?

— To samo, co ów dytyrambista na dnie umysłu. To skończony blagier literacki, a co najgorsza, blagier bez duszy artysty. Ustroił się w straszliwe



giezłło pesymizmu, przywdziewa maskę demonicznej rozpacz, melancholji w siebie wpatrzony i gra rolę neobajronisty, jak stara, wyszminekwaną kokotą, przeglądająca się w lustrze z zachwytem. A z pod płaszcza morbidez wyziera trefniś bez głowy, bez serca, bez duszy, którego bombastyczna gadanina zostawia w uszach szum zeschniętych liści, a w duszy niesmak.

Po chwili Gólkowski dorzucił:

— Jeden z wielce technicznie uzdolnionych rzemieślników pióra, którym myślenie nie przeszkadza w pisaniu. Ani skrupuły, ani ideały. Jeden z wielu języków, niemających nic do powiedzenia i dlatego mówiących tak wiele. Jeden z naszej lokalnej, najmłodszej Polski, w której niema ani młodości, ani Polski.

— Za surowo pan sądzi...

— Panie, czy wobec przyjęcia, jakie ta paczka zgotowała łłowiczowi, zechce pan utrzymywać, że w tem środowisku mieszka młodość i Polska?...

— W istocie, było to w najwyższym stopniu symptomatycznym...

— A cóż znajduje się w literaturze tutejszej „najmłodszej Polski?...” Pisarze dzielą się na trzy kategorie: piszących z serca, z duszy i z głowy, albo raczej z pamięci. Nietuszyński i cały wianek fabrykantów ładnie wydawanych książek należą do tej ostatniej kategorii, obdarzonej pamięcią i łatwością słowa, niedająca nam nic, okrom literackich myśli. Niema tam ani źdźbła inteligencji, ani poglądu na całokształt zjawisk życiowych, ani promienia jakiegokolwiek etyki, ani przebytku samoistnej indywidualności. Jest tylko kult słowa, frazesu... Są pióra artystyczne...

— Jeśli tak...

— Dobrze. Wiem, co pan chce powiedzieć: „ta

droga może niejeden dojść do wywnętrzenia swego ja!...” Jeśli mi pan pokaże w tem kółku jednego, który byłby przykrojony nie na miarę krawca, lecz na modę Fidjasza, wtedy uwierzę, że w tem morzu rozhukanych słów kryje się perła genialności. Dziś widzę tylko chaos myśli, anarchję pojęć, akrobatyczne kontorsje, frazes wielki, rozwiewny, pod adresem gwiazd—błagę, obliczoną na zaćmienie galerji, na tanią stawę lokalną, na zarobek — wielkie, anemiczne cielsko bez krzyża pacierzowego, bez ducha... W literaturze tej znajduje się wszystko z głośnych, obcych pisarzy, czego ci wyrobownicy nie przetrwali, nie wzięli w krew. Jest moda. Odeszli od życia i od samych siebie. Nie szukają materiału dla twórczości w życiu, bo go nie poznali, a uciekają od istoty swej, jak od pustki; trzymają się książek...

Zapaliwszy papierosa, Gólkowski mówił:

— Nie ma to, panie dobrodzieju, jak pisać rzeczy mgliste. Taki spekulant na wrodzoną człowiekowi amour de l'impossible, będzie miał za sobą tłum i lupatrydów. Imponuje to osłom, intryguje rozumnych i z pewnością znajdzie się jeden lub drugi z uznanych pisarzy, który odkryje w tem coś znakomitego. Pierwsi nie odważą się ganić i jak trzoda pójda za sądem krytyki, która nie odważy się przyznać do niezrozumienia i pójdzie za głosem owego Kolumba, który nie odważy się przyznać, że zaimponowała mu tylko mglistość, której on sam nie potrafiłby sfabrykować.

— Ale,—wtrącił pan Sollub — jeśli tutejsza „najmłodsza Polska” posiada styl, to już bardzo wiele, bo styl jest bodaj wszystkim.

— Tem oni stoją, z tego żyją. Pięknie!... Styl!... Wszelako przy sumarycznej ocenie pisarza chodzi o coś więcej... W polityce rozstrzyga w ostatniej instancji o wartości charakter, w sztuce—dusza...



Gólkowski zamyślił się i po chwili mówi jeszcze:

— „Styl sam przez się jest literacką myślą”, powiada Pater, a inny angielski pisarz Addington Symonds twierdzi, że styl jest nie tylko przejawem własności narodu, które stanowią t. zw. geniusz jego, lecz także wyrazem osobowości, charakterystyczną cechą indywidualności, na której opiera się talent. Aby zacytować talent jeszcze jednego pisarza, przypomnę, że Bourget głosi: „Le style c'est l'homme”. Ale teraz zapytajmy się, jaki jest styl naszej lokalnej literatury... Mówiąc krótko a zwięźłowato: histrjoński, obiegający się o ekspresję czegoś, czego się w piersi niema... Zresztą przypomina mi się jeszcze zdanie Ruskina: „forma jest obojętną, myśl wszystkim”... Nie jadamy bażantów dlatego, że mają piękne ogony...

— Jedno wyniosłem stąd wrażenie, że oni nie kochają—zauważył pan Józef.

— Istotnie. Nieraz mam ochotę wołać: kochaj cokolwiekbażdz ze wszystkich sił swoich, kochaj Boga, Ojczyznę, sztukę, naukę, swoją chatę, warsztat, pracę codzienną, kochaj chociażby człowieka, chociaż tylko kobietę, ale wznies tę miłość wysoko, ponad siebie, by jak gwiazda zaśniliła nad głową, zbuduj dla niej według sił najwspanialszą świątynię, módl się w niej, spowiadaj, szukaj pocieszenia, obmycia z prochów ziemskiego bytowania!... A cóż oni kochają?... Nawet siebie samych kochają z egoizmem małostkowych liliputów.

— Uderzyło mnie, że w rozmowach zajmują się między sobą prawie wyłącznie kwestją zarobkowania.

— Ha! ha! — zaśmiał się Gólkowski. — Nasi artyści wynoszą głowy wysoko ponad profanów, mają filistrów w głębokiej pogardzie, plują na groszorbów, zjadaczy chleba, na profanum vulgus, ale

w gruncie rzeczy oceniają się wzajemnie według dochodów. A ile razy (rzadko!) pojawi się na ich widowni jakiś większy pieniądź, kłaniają mu się bardzo ślicznie.

— Jednakże lubi ich pan...

— Nie! Przeciętnego naszego literata nie znoszę, bo cuchnie zarozumiałością, odstrasza zmanierowaniem, pozą, razi mnie brakiem inteligencji. Tak jest! Zdziwioną przybiera pan minę! Inteligencja to zupełnie co innego aniżeli talent! Jednakowoż szukam czasami ich towarzystwa, nawet bawię się w ich kółku, jak bawi się człowiek widokiem komedji życia. A bawię się tem lepiej, że nie biorę udziału duchowego w ich życiu... literackiem. Życie zaś jest zawsze interesującym i to jedyna jego zaleta...

Pan Solłub zwiesił głowę przygnębiony, bo zdawało mu się, że należy do tego tak bezlitośnie oczernionego światka! Zresztą wszystko, czego był świadkiem wobec łowicza, przejęło go dojmującą odradą do tego środowiska, o którym, jak zwykle uboczni widzowie, żywił egzaltowane mniemanie.

— Po jakiego djabła ja tu wlażem?... — szepnął w duszy i strumień tęsknoty za Omiarkami przepłynął przez duszę, za zielonemi niwami, za rzędami łaciątych krów, za kłapouchym Rysiem i—błogostawionem, czystem powietrzem staroświeckiego dworka.

## V.

Czy Alwinka, zapisana w księgach miejskich jako Malwina Alinowska, była panią czy panną, stanowiło to w kółkach wesołej młodzieży kwestję sporną, którą niewiele tylko umiało rozstrzygnąć. A łamały się nad tem głowy do pozłoty, wyładowane żniwem plotek brukowych, skandalów na ciebie i różnorod-



nych wiadomości, dotyczących nadobnych aktorek, modnych tenorów i artystów, jakie kolekcjonuje każdy kandydat na mile widzianego i przyjemnego salonowca.

Utrzymywano, że Alwinka mieniła się panią, aby dać do zrozumienia, iż jest rozwódką, nadać sobie pozory porządności. Tymczasem wtajemniczeni zaprzysięgali się, że rzeczywiście miała ślubnego małżonka i dziecko, lecz ukarana przez nędzę wędrownych histrjonów za wierność małżeńską, zerwała pęta, rzuciła sztukę czystą i udała się na poszukiwanie gwiazdy szczęścia na bruk wielkomięjski.

Ukazała się na jego horyzoncie jak meteor i zapadła w zacisze czterech przestronnych ścian. Zaopekował się nią adwokat Albin Małogórski, człowiek o pozorach znacznego majątku, ale „podły sknera”, który wiewił przedziwny kwiat przed oczyma mnogich wielbicieli. Alwinka objawiała się tylko o dziesiątej wieczorem na deskach teatrzyku różnaitości w żywych obrazach. Na mieście nie widywano jej wcale, chyba raz w tydzień, w gabinecie Continental'u pod strażą kustosza, w asyście dwóch lub trzech zaufanych mężczyzn, którzy utyskiwali nad jej burżuazyjnemi skłonnościami. Alwinka bowiem była ze swego opiekuna i losu całkiem zadowolona. Spała wiele, ubierała się długo, nie chodziła do cukierni wcale i brała lekcje muzyki od starego niemieckiego metra.

Nad brakiem wszelkich wyższych aspiracji artystycznych bolał głęboko Nietuszyński, który od pierwszej chwili poczuł gwałtowne powołanie do protegowania „utalentowanej artystki”. Inni wielbiciele Alwinki niebawem znikli, przekonawszy się, że tym, co się spóźniają, dostają się tylko uśmiechy i uściski rączki. Nietuszyński zaś pozostał przy jej boku w skromnej roli platonicznego przyjaciela domu.

Opiekun Alwinki znalazł życie. Wiedział przeto, że

w fałdach ładnej aktorki musi płatać się zawsze aktor, więc sam umieścił na tem stanowisku i na tem samem piętrze podstarzałego, anemicznego członka sceny miejskiej, który korzystając codziennie z five o'clock'u u Alwinki, częstych fundacji i pożycek, odwdzięczał się mecenasowi stróżowaniem nad wziętą w dzierżawę cnotą uroczej kobietki. Aby zaś stróż sam jeden na placu nie korzystał z położenia, przeciwstawił mu się Nietuszyński, uznając w nim głównego przyjaciela domu, który ze swej strony stróżował zazdrośnie nad krokami aktorka.

W swej prowincjonalnej naiwności Alwinka nie zauważyła wcale, jak dyplomatycznie tertius gaudens obwarował ją, umieściwszy między unieruchomionem przez samczą zazdrość Scyllą i Charybdą.

Codziennie z wieczora bywał pan Tytus w hośle złotowłosej, bielutkiej, miłutkiej Alwinki. Zrazu próbował rozniecić w jej łonie świętą iskrę zapалу dla sztuki, ofiarował jej swą protekcję, obiecywał wprowadzić na deski teatru miejskiego, obiecywał tak wiele, jak kandydat na posta, ale wszystko nadaremno. Okazało się, że „głupia” Alwinka nie ma poczucia piękna ani iskry bożej. Więc liczył już tylko na „psychologiczny moment”, osłaniając zamiary karnawałową maską chochlikowatego koleżki.

Zwykle zastawał u niej Orlicza alias Mitraszkiewiczza, niekiedy jednego lub drugiego z plejady dalszych satelitów, którzy raz po raz składali uszanowanie ślicznej buzi i ponętnej figurze Alwinki w celu zbadania, zali owoc, zawieszony na silnem drzewie adwokackiem, nie dojrzał jeszcze do upadku w ich spragnione dłonie.

W tem gronku Tytek był doskonałym nabytkiem. Brzdąkał na fortepianie brukowe walczyki, paplał byle co, a wiele i wesoło.

Zdziwił się niezmiernie, gdy pewnego dnia ujrzał



story jej okien zapuszczone, a uchyliwszy drzwi, wzrok jego wpadł w ciemnicę pieczary głuchej, pachnącej wódką kolońską. Już chciał odejść, gdy z ciemności padło pytanie:

— Kto tam?

— Ja...

— Ah, Tytek! Zaczekaj za drzwiami. Leżę w łóżku. Która to godzina?

— Po czwartej.

— Zaraz wstanę. Poczekaj za drzwiami.

Łóżko zaskrzypiało. Amant czekał przy kłamce. Wszedłszy do pokoju, ujrzał w świetle świec pulchną kobietkę, średniego wzrostu, otuloną w ciepły, szafirowy szlafrok, wciągającą karmazynowe pantofelki.

— Podnieś story!—zakomenderowała aktorka— i zagraj cośkolwiek. A nie patrz się na mnie; muszę poprawić włosy.

— Co to znaczy, że dopiero wstajesz?

— Machnęłam się spać zaraz po obiedzie. Wczoraj hulaliśmy do późna. Dobrze, że nikt mnie nie zbudził wcześniej. Graj a nie patrz się! Dam ci potem herbaty—szczebiotała, układając bielutkimi łapkami bujne, złotolite włosy, które na marmurze szyi uścielały się figlarnymi kędziorkami.

Tytek łopotał po klawiaturze, raz po raz zwalnając i dopytując się o wczorajszą zabawę. Nie pojmował, jak można było obyć się bez niego, czuł głuchy żal do Alwinki i jej Albina, że nie przystali po niego, że ominęła go szampanowa kolacja.

Powstając od fortepjanu, ozwał się:

— Przyjechał mój dawny, dobry znajomy ze wsi. który pragnie cię poznać.

— To przyprowadź go kiedy na herbatę.

— Dobrze, albo... możemy zejść się jutro po teatrze w Continental'u. Przyjadę po ciebie.

— Chyba Albin pójdzie.

— Nie rozumiem czemu?... Dalibóg przesadzasz. Gdybyś miała iść sama w grono obcych mężczyzn, to co innego, ale będąc ze mną...

— Bez Albina nie pójdę.

Tytek wzruszył ramionami, popatrzył się na nią zamroczony, ale widok uroczych dołeczków na twarzy—„spluwaczek dla amorków”—działał nań zawsze rozbrajająco, więc wypogodził czoło i topiąc spojrzenie w jej dużych, fioletowych, naiwnych oczach, myślał sobie: „Szelma prześliczna i głupia jak gęś; właśnie dla mnie...”

— Co on mnie nanudzi—ciągnął, mówiąc o „dawnym przyjacielu”, którym nie był nikt inny, jak pan Sołub—to nie do wytrzymania. Zwierza mi się z swych pragnień gorących... Chce się zakochać; po to przyjechał do miasta. Pragnie znaleźć piękną towarzyszkę podróży do Monte Carlo. Powinno mu przyjść łatwo. Zamożna bestja!... Więcej ma pieniędzy niż rozumu, ale... niezły chłop. Niewiasta obwinęłaby go sobie wokoło palca, a taki złoty naparstek to dobra rzecz... Jeszcze zawsze masz te filizanki?

— Ładne.

— Ale to imitacja japońszczyzny! Twój pan mógłby zaiste kupić prawdziwą porcelanę.

— Wiesz ile ten imbryk kosztuje?

— No?

— Pięć reńskich!

— Wielkie rzeczy! — parsknął śmiechem Tytek, myśląc: „daję słowo, piramidalnie głupie ciele, jakby dla mnie stworzona!”, i ciągnął: Mówisz tak, jakby „tysiąc reńskich”. Cenisz się wiele za nisko...

— Bajesz! Weź ołówek i policz: mieszkanie, usługa, suknie... Sprawił mi przepiękną bieliznę paryską; pokazywałam ci. Składa mi w banku po sto koron miesięcznie. Same rachunki u krawca...



Tytek zrobił rozpaczliwy gest.

Na to wszedł aktor Orlicz. Zadał Tytek wydobyl srebrną papierośnicę i wyciągnął się na pięknej otomanie, ponad którą rozpościarał się tani a olbrzymi wachlarz japoński, wieńczący bukiety fotografii. Zaraz po herbacie zerwał się na nogi.

— Nie odchodź jeszcze — prosiła Alwinka. — Wkrótce przyjdzie Albin. Zagramy w labeta.

— Nie mogę, daję słowo, nie mogę dziś. Muszę pisać... Z „Biblioteki” wołają na mnie o poemat prozą, który przyrzekłem im posłać do najbliższego zeszytu. Do widzenia.

Poszedł prosto do Szolca.

Zbliżając się do kawiarni, ujrzał przed sobą postępującego statecznym krokiem pana Józefa, który lubo z cieniem zniechęcenia w duszy dla owego kawiarniano-artystycznego koła, mocą przyzwyczajenia pędzony i brakiem zajęcia trawiony, ciągnął w mrowisko, niby nierogaczyna do chlewika.

Ale wiał jeszcze od niego chłód niechęci, gdy Tytek, witając go, spojrział w jego oblicze. A ponieważ w głowie dziennikarza snuł się projekt wspólnej z panem Józefem kolacji, która choć w części nagrodziłaby mu hulankę w towarzystwie Alwinki, jaka go ominęła, więc ozwał się:

— Może pan pójdzie dziś ze mną do teatru? Oczywiście dla pana także wolny wstęp. Nie podobna, aby autor dramatyczny, człowiek należący do cechu...

Panu Józefowi przyszło na myśl, że jednak nigdy wybujałemu uczniakowi, wkręcającemu się do przybytku Melpomeny, nie roziło się w głowie tak śmiałe przypuszczenie, iż kiedyś bez biletu, darmo otworzą się przed nim te podwoje.

— Potem — mówił krytyk — pójdziemy razem na kolację, pomówimy spokojnie o pańskiej sztuce...

— Czytał pan?

— Zaczęłam... — wypluł bez namysłu Tytek.

— I jak pan znajduje?... — wykrztusił z cicha autor.

— Pierwsze wrażenie, jakie wyniosłem, korzystne, korzystne... Dopiero co wypuściłem pański rękopis z ręki. Bylbym najchętniej przeczytał go jednym tchem, ale, rozumie się, chcę zabrać się do przestudjowania tej pracy ze świeżym umysłem. A po wyjściu z redakcyjnego kołowrotka człek tak zasypany trocinami aktualnemi, oszolomiony, że uciekam do Szolca, spragniony trochę ruchu, wrzawy...

— Więc zaczął pan czytać... — rzekł, jakby do siebie autor, dodając w myślach: „nareszcie po dwunastu dniach”, ale wybaczył krytykowi wszystko, bo słowo: „korzystne” dźwięczało mu jeszcze w uszach, wynosiło go na radosnej fali ponad drobne urazy. Począł tłumaczyć Nietuszyńskiemu, dlaczego zaraz w pierwszej scenie wszedł in medias res, ale Tytek, wysłuchawszy półuchem, rzekł:

— Pomówimy o tem wszystkim, skoro poznam całość. Tymczasem nie chciałbym, aby mnie pan sugestjonował.

W tej chwili wyszła z kawiarni strojna, szykowna kobieta, jedna z tych zniecierpliwionych kandydatek do sakramentu małżeństwa, które poszukując jeśli już nie prawdziwego małżonka, to prawdziwej miłości, wplotły się, pachnące dyskretnym elixir d'amour, w stado artystyczne. Na ukłon literata odpowiedziała swobodnym, koleżeńskim a szczyptą kokieteryj zaprawionym ruchem głowy.

— Niczego niewiasta, co? — szepnął krytyk. — Ale znam ładniejszą, wiele ładniejszą...

Młasnawszą językiem, Tytek począł mówić o Alwince z werwą dziennikarską.

W kawiarni rozmowa weszła odrazu na ulubione



tory: kobiety. Kule hulały po zielonem suknie, tłuste koncepty, jak trzaskające karmelki strzelały, wytwarzając pospół z nalewkami—nastrój.

Podczas tego, niby okopcony kolos, sterczał przy bilardzie karawaniarz z rękoma w strasznie pustych głębinach kieszeni, palił sumiennie pojawiające się na choryzonce papierosy, pił wszystkie okolicznościowe wódki i raz po raz dorzucał pikantne słówko do szumiącego kielicha facecji.

W tłustych anegdotach celował pan Józef. Okazało się, że ten przykładowy filister miewa „bardzo szpetnie w gębie” tak, że poczytać było go można za najcyniczniejszego z donżuanów. Tymczasem, jak wielu tego pokroju anegdociarzy, był żywym zaprzeczeniem wyuzdania i porubstwa. Kobieta dobrze ubrana była dla niego niemal świętością, a tak był wstydliwym, że nie lubił obnażać się i myć w obecności najlepszych nawet znajomych mężczyzn.

Gdy Nietuszyński, zawsze pełen niby to ważnych interesów, oddał się od bilardu, by z kim pomówić, Rzęda ozwał się do pana Józefa:

— Podobno wystawia pan wkrótce na naszej scenie komedję?

— Jeszcze nic nie wiem — zająknął się Sołub z dziewiczym rumieńcem. — A od kogo pan o tem słyszał?

— Powszechnie to u Szolca wiadomem. Ma być dobra rzecz...

Pan Józef miał wrażenie, że legjon mrówek ła skocze go po nodze.

— Zaszczyt dla teatru, że jeszcze polski autor oddaje swój utwór na ladę takiego śledziarza, odzierającego ryby ze skóry, wylupiającego im oczy...

— Dyrektor Kellermann nie cieszy się wzięciem ni uznaniem.

— Łapserdak, panie, kuternoga moralny wyrwi-

zab etyczny, hippopotam artystyczny, który tyle wie o sztuce, co moje pchły o tentacjach św. Antoniego.

— Ale ma przecież przy boku sekretarza.

— Pił Sekretarza!... Świszczypalkę aktora, który czytając rękopis, szuka w nim wdzięcznej dla siebie roli, jaką mu dyrekcja—jeśli nie jest potwornie idyotyczna i nikczemna — powinna powierzyć. Powinna błagać go, aby raz jeden raczył opuścić stolec sekretarza i uszczęśliwić scenę swą osobą, bo on jeden tylko i t. d.

— Więc sekretarz Szczypiński był aktorem?

— Był. Dziś tylko, czytając sztuki, grywa swe role w mózgownicy?

— Sądzi pan, że się nie zna?

— Ta znał się, panie, na kobietach! Swego czasu, panie, miał gust albo raczej szczęście. Ale wszystko jest w czasie i przestrzeni. Czas jego minął i przestrzeń rozdzieliła go od boskich łydek baletujących sylfid.

— Czy podobna, aby dyrektor brał sobie niekompetentnego lektora.

— Tani, paniel...—rzekł Rzęda z naciskiem, otwierając usta, jak szczupak. — I wygodny... Prześwietna rada miejska, oddając Kellermannowi teatr, który naród wystawił sztuce narodowej, chciała wstawić w kontrakt klauzurę, zobowiązującą dyrekcję do zaangażowania na stanowisko lektora literata-artystę. Nawiasem mówiąc, miałem wielkie widoki. Ale... zapomniała. Znalazłby się przecież niejeden z artystów, który za głupie 150, 200 reńskich ogłupiałby się dla dobra sztuki polskiej badaniem babskich, grafomańskich płodów. Ale, panie, taki człowiek byłby nie tylko droższy, panie, lecz mógłby mieć własne zdanie i nie służyć dyrektorowi do różnych drobnych posług stręczycielskich, szpiclowskich i t. p. A-ha!...

Pan Józef nie wiedział, co rzec na to wszystko,



włec kazał przynieść jeszcze dwie wódki i papierosy.

— Ale...—cedził uroczyście karawaniarz—cóż to pana obchodzi, że Kellermann i Szczypiński uwalą swe ryje na pański rękopis? Dzieła pańskiego nie oplugawia, my je ocenimy i z pewnością zabłyszczy wśród różnych plagiatów, paplań, bełkotów analfabetów i koltunów.

Gdy podnieśli kieliszki do ust, Rzęda przysunął się do pana Józefa i szepnął:

— Czy nie mógłby mi pan pożyczyć do niedzieli... pięciu koron? Do niedzieli. Mam dostać honorarium...

— Owszem...

— Karawaniarz zmiął w dłoń papieraek dziesięciokoronowy, sięgnął po papierosa i począł kapłańskim tonem:

— Sztuka u nas, panie.

## VI.

Jeszcze dwa dni! Za dwa dni nareszcie miał zapisać wyrok krytyka!

Z wzmówioną w siebie cierpliwością, przysyłającą niepokój, oczekiwał pan Józef opinii literata o „Rozwodzie”, jakby wyroku o życiu lub śmierci. Przez dwa tygodnie bywał regularnie w kawiarni, by nie schodzić z oczu Nietuszyńskiemu, przypominać mu swą osobą przyrzeczenie. Pilnował sprawy tak, że nie wyjechał ani na dzień do Omiarek, chociaż czuł, że był tam potrzebny. A w rezultacie zyskał to, że „znany krytyk” wprowadził go na five o'clock'i do nadobnej Alwinki.

Ale za dwa dni!... Minęły dwa dni i jeszcze dwa dni, gdy Nietuszyński, witając się z nim u Szolca, zagadnął z uśmiechem.

— Co? Pyszna kobietka?

— Rzeczywiście bardzo ładna.

— Zostawiłem was wczoraj sam na sam.

— Nie sądzę, abym...

— Jeżeli pan będzie miał szczęście! Taki przystojny mężczyzna i... posesionatus!

— A pan?

— Nie! Boże broń! Widzi pan, znam tego Małogórskiego. Taka głupia rzecz! Odbijać mu jej nie chce. Chyba, żeby sama...

Pan Józef wszedł dnia tego do Szolca z gorączkową tremą żaka, wyczekującego decyzji, czy został przesadzony do wyższego oddziału, więc tylko bezbarwnymi półsłówkami podtrzymywał rozmowę o Alwince, mając uczucie, że nosi w żołądku bombę, grożącą co chwila wybuchem.

— A jakżeż tam z moją sztuką?—buchnął wreszcie prosto z mostu.

Nietuszyński pokraśniał trochę, ale bez zachłyśnienia począł trzepać:

— Właśnie śpieszę do domu, aby ją przeczytać... do końca. Skoro wypiję kawę...

Rzucił okiem na zegar, wiszący nad bufetową niszą i ciągnął w galopie:

— Zaraz szóstą. Spotkamy się jutro..

— Może dziś wieczorem?

— W Continental'u?

— Niech pan wstąpi do mnie, do numeru. Pójdziemy razem na kolację. Zamówię ją naprzód.

Nietuszyński przybrał tak poważną maskę, jak mąż nauki, odtwarzający w duszy transcendentalny ideał przedpotopowego słonia czy mamuta.

— Mam, co prawda, wiele do pracy, bo nie tylko pańska komedia. Chyba późno. Nie będę miał czasu pójść na kolację przed dziewiątą.

— A zatem kolo dziewiątej.



Nietuszyński zabrał się niezwłocznie do odejścia i udał się do Alwinki.

Tego wieczoru Orlicz grał, więc musiał być dawno w garderobie, a Albin nie bywał codziennie, w ostatnich czasach nawet jakby trochę negliżował Alwinę.

Tymczasem pan Józef zabijał zółwi czas, jak mógł. Czytał gazety, rozmawiał z kilku znajomymi o rzeczach, które w tej chwili zgoła go nic nie obchodziły, aż, rozstrojony, chwycił za kapelusz.

Siódma! Całe dwie godziny!

Niezdolny do niczego, począł szwendać się po ulicach bez celu, nosząc w głowie szum wiatru, któremu było na imię „Rozwód. Przepływały przez niego smugi naprzemian chmurne, gniewne i jasne, wyróżnione. Raz podnosiły się z łoża profesorskich i autokrytycznych spostrzeżeń wady i usterki komedji, wyrastały do potwornych rozmiarów, urągały mu w żywe oczy i padały, grzebiąc pirenejski zamek nadziei. To znowu złote promienie zalet oblewały mu głowę, roztaczały na nieboskłonie cudne tęcze, układały się na wyanielonem tle eterów w olbrzymie litery, które krzyczały całemu światu: Józef Sołlub!...

Mrowie ludzkie gapiło się na to zjawisko z podziwem, a on, wśród rzeszy, rozpoznawał tylko jedną twarz: ...dawnej panny Klementyny ze słodkim uśmiechem w żrenicach. I zrobiło mu się dziwnie ciepło. Co ona powie, gdy zobaczy na afiszu... wyczyta w „Trybunie”?... Wspomni te przelotne chwile, gdy serca ich mdlejące wchodziły z sobą w mistyczny związek, gdy on, wniebowzięty, mówił jej milczeniem, spojrzeniem, słowa zbyt święte i czarowne, by zebrać je w syllogizmy, by bezcześcić je dźwiękiem. Wspomni i prąd sympatji z martwych powstałej przesyje jej łono. Może nawet zateśni, pożałuje, że sprawy nie złożyły się inaczej. Może, porównując go z swym

mężem, wysle, z tajnego sanktuarjum serca wyrwane, żalodne westchnienie...

Na myśl tę woń napelniła mu duszę i z morzem tkliwej wdzięczności dla niej w piersi za to westchnienie, za ten najpiękniejszy liść wawrzynowy, siedł po zabłoconych chodnikach, jak po kwiatnych kobiercach, rozkołysany, rozśpiewany.

Aż rzeczywistość marna, szara spłoszyła sny różowe i lazurowe i wytrzeźwiałym oczom ukazał się hotel Continental, ogromny a szablonowy, pretensjonalny, dorobkiewiczowski.

Osma. Pan Józef wstąpił do restauracji hotelowej, zamówił kolację, popatrzył kilkakrotnie na różne zegary i wyszedł znowu na ulicę.

W chwili, gdy wynurzał się z przedsionka, przesunęły się na chodniku dość szybko dwie, ciemno ubrane, damy i nagle coś szarpnęło go za piersi. Serce bić przestało, omdlenie spłynęło na niego potężną falą i zachwiał się na znieczulonych nogach. Chciał coś wołać, bo zakrzyczało w nim serce: on! on!... lecz głos utkwiał w krtani. Tylko pasmami żrenic opłatał i ścigał sylwetkę jednej z dwóch pań, której postawa, chód, rysunek bioder i ramion wywołały żywe złudzenie panny Klementyny.

Ale nie!... Gdzieżby ona?!... Nic ją z tem miastem nie łączyło. Nie miała tu interesów ani krewnych. Wydawało mu się...

Ruszył z miejsca, jakby z podciętemi cięciwami i powlókł się, a nerwy drżały w nim jeszcze jak listki brzozy przydrożnej, muskanej wiatru całusami.

Obraz dawno zapomnianej podniósł się tego wieczora z wygasłego krateru, pod wpływem nieuświadomionego utęsknienia za istotą, co dzieliłaby z nim życie—nadzieje autorskiego powodzenia. A cień kobiety, przypominającej pannę Klementynę, uplastyczniał powstały w duszy obraz tak, że czuł fizycz-



nie uroczych jej kształtów kontury, miękką linię piersi uwodnych, indywidualną woń jej osobowości a nawet czar jej obecności. Zdało mu się, że ona postępuje obok niego, owiewa go oddechem ust karmimowych, rozmarza go melodią głosu, pieści twarz jego spojrzeniem i idzie z nim... po laury.

Wtem pan Józef ujrzał Alwinę, przecinającą ulicę. Z podkasaną suknią stąpała ostrożnie przez wyboje, zgrabnie stawiając elegancko obute nóżki, w barankowej czapeczce, uczepionej zalotnie na złotych falach włosów. Szła z dystynkcją skromności — nie imponująca urodą na ulicy, nie wysoka, lecz pojętna... wprost na niego.

Spojrzeni na siebie, lecz Alwinka natychmiast spuściła oczy. Zgodziła się, by ją odprowadził do Edenu a w tonie jej głosu drgała nawet nuta serdeczna, chociaż nie podnosiła na niego wzroku.

W toku banalnej rozmowy, przyglądając jej się, pan Józef ozwał się wreszcie:

— Cóż się stało? Pani bodaj płakała.

— Ach! — wyrzuciła aktorka z głębi piersi z brutalnym odcieniem, a gniewliwy gest zdradził, że dotknięto bolączki.

— Jak można takimi oczyma płakać? — rzekł pan Józef flegmatycznie na pocieszenie. Łzy są udziałem pospolitych oczu — pięknych zaś uśmiech.

— Miałam dziś zmartwienie... Będzie pan dziś w miejskim teatrze? Niech pan w każdym razie da znać Orliczowi, że muszę się z nim koniecznie zobaczyć po przedstawieniu. Obiecał przyjść po mnie do Edenu. Mam zmartwienie... — powtórzyła i po długiej pauzie wybuchła: — Daję słowo, nie przypuszczałam nigdy takiego świństwa ze strony Albina. Mężczyźni to baciarze, jeden większy od drugiego. To drań, jakiego świat nie widział!... Niech mi pan nie bierze za złe, że się unoszę, ale...

Umilkła.

— E! Zapewne sprzeczka, przejściowe nieporozumienie, jak to bywa nawet między gołąbkami. Jutro wszystko będzie dobrze, będzie się pani śmiała...

— Dobrze! To się pan grubo myli. Czy pan sądzi, że pozwolę się zaniedbywać z powodu jakiegś tam damusi z towarzystwa? Nie ja!... Zobaczymy. Dziś po wyjściu Tytka...

— Czy był u pani?

— Oczywiście był z wieczora, ale pozostał się trochę i poszedł, mówiąc że musi przejrzeć plikę jakichś gryzmołów. Byłam kontenta, że go nie było, gdy pojawiła się gospodyni. Wróciła od przyjaciółki i opowiadała, że jakiś pan, nie wymieniając nazwiska, wynajął ten pokój z osobnym wejściem. Zapłacił z góry, nadmieniając, że tylko raz kiedyś zaglądać będzie do tego mieszkania. Właśnie dzisiaj, podczas bytności mojej gospodyni, zajechała dorożka i ktoś z niego wysiada? Albin! Moja gospodyni poznała go w okamgnieniu. Słyszała, jak wchodził po schodach otwierał drzwi i zaraz usadowiła się przy oknie. W kilka minut potem znowu fjakr, z którego wyskoczyła jakaś dama. Uchyliwszy nieznacznie firankę drzwi na korytarz wiodących, ujrzała ową szelmę, wchodzącą we drzwi, które otworzyły się na jej przyjęcie, a w wejściu — stał Albin... Baciarczy! Zasłużył na to, aby go bucikiem spoliczkować!... Ale ja mu zrobię coś gorszego. Zobaczy, popamięta...

Dyszała z gniewu, lecz niebawem uspokoiła się. Jakby myśl jakaś strzeliła jej do głowy, podniosła na pana Józefa oczy i oplotła go ciekawym spojrzeniem.

— Niech pani nie bierze sobie tego tak do serca! — rzekł Solub w braku czegoś medrszego.

— Wie pan, co zrobić? Listy jego posłę żonie.



zaraz jutro w południe wyprowadzę się. Niech mnie szuka! Najchętniej uciekłabym z miasta... Przyjdź pan z Orliczem po mnie do Edenu.

— Z przyjemnością. Przyprawdzą Nietuszyńskiego.

— Dobrze.

Przez chwilę postępowali w milczeniu. Alwinka znowu zerknęła na towarzysza raz i drugi, jakby na nieznanego i uśmiech zadowolenia mignął na zarumienionych licach.

— Nie chce go więcej pani widzieć na oczy?

— Nie, nigdy.

— Na serjo?

— Bardzo na serjo! Chyba byłabym ostatnią...

Mógłby mi każdy w twarz pluć... Eden! Więc przyjdźcie po mnie! Do widzenia!

Podła mu rączkę, otuloną w duńską rękawiczkę i oblała go długim spojrzeniem, jakie dawno mu się nie dostało.

Pod jego ciepłem zadrżała struna sercowa i wstała w niego radość.

Śliczna była! Taka przytulna! A jak dla takiego Albina musiała być słodką, przymilną! O jej pieczołotę warto się ubiegać, zwłaszcza, że nie jest bez serca. Porządna, zupełnie porządna. Gdyby tak udało się usidlić ją! A potem wziąć do łóża na „jego premjerę” i tak manewrować, by Klementyna spostrzegła ich razem! Ha, ha! Na złość! Pokazać Klementynie, że studencka głupia miłośka dawno mu wywietrzała z głowy, że ma inną kobietę, daleko ładniejszą od niej...

Uśmiechnął się i szarpnął wąż z fantazją.

W hotelu czekał już na niego Nietuszyński, zdziwiony, że ów hreczkosiej nie czekał na „znakomitego krytyka” i jego wyrok. Zaimponowało mu to; nie spodziewał się tego ze strony Soltuba, więc zbliżył

się doń z uprzejmością niemal służalczą, a potem, bez pytania, wycedził z żartobliwym uśmiechem projektora, jakim udzielną książkę zaszczyca giermka:

— No, będziemy pisali w gazetach o „Rozwodzie”...

Słońce oblało twarz autora.

— Czytał pan?

— Zajmująca rzecz, ani słowa... S, pewne wadliwości w architektonice—zbyt pana i jego pióro cennie, abym miał to zataić,—ale wogóle... wyznaje, że byłem zdziwiony, iż na zapadłej prowincji, zdala od ruchu umysłowego i prądów wszechświatowych wykwitła rzecz, nasiąkła pojęciami na dobre. Postępujemy z czasem, kochany panie!...—dorzucił łaskawie krytyk, niejako klepiąc autora po ramieniu z uśmiechem, mówiącym: „dobrze się spisałeś, mój chłopcze, wcale dobrze”!

Ale oszołomiony Soltub nie odczuwał tego. Otworzyły się śluzy jego swady i począł z wylaniem zwierzać się z myśli, które ożywiły jego twórczość, wplatając długie nawiasy o wątpliwościach, nawiedzających go i wytrącających chwilami pióro z ręki. Wreszcie wypytywał się krytyka, jak mu się podobała scena kulminacyjna, czy rysunek bohaterki uważa za prawidłowy i wykończony i t. p., na co Tytek odpowiadał ślizgimi zwrotami, trzymając się informacji, jakich mu przed chwilą udzielił sam autor.

Istotnie, przyparty do muru krytyk, mając w perspektywie dobrą kolację, przeczytał całą pierwszą scenę pierwszego aktu, tudzież trzy ostatnie karty rękopisu. Wyniósł z tego w rzeczy samej dość dodatnie wyobrażenie o całości, wyczuł iskrę talentu dramatycznego, aczkolwiek uderzyło go, że ma w ręku utwór nowicjusza, któremu brak „du métier”. Zdawało mu się wszakże, że komedję tę, oszlifowaną dąłoby się wystawić.



Aby jak najprędzej zasiąść do kolacji, zamknął pierwszy rozdział rozmowy na ten temat:

— A zatem teraz z kolei wyekspedujemy „Rozwód” do kancelarii teatru. Może najlepiej, że ja sam...

— Jeśli pan tak uprzejmy.

— Skreślę do dyrektora kilka słów i... zrobię co się da.

W przeblysku trzeźwości umysłowej, pan Józef zatrzymał się na ostatnich słowach Nietuszyńskiego, gdyż odsakowały jaskrawo od szumnych, samochwalnych zapewnień, jakie słyszał z tych samych ust przy pierwszym spotkaniu. Lecz wszystko czem zarzucił go dziennikarz tego wieczora, wytworzyło wokół głowy autora taką świetlaną atmosferę, że poddał się bez oporu radosnemu nastrojowi i ukołysany, płynął na mgłach nadziwi w przyszłość.

Strzeliła jedna butelka szampana, druga, Tytek nie wątpił już bynajmniej, że z dyrektorem da się zrobić wszystko, że rzecz ukaże się na deskach teatralnych wkrótce i robi niemałe wrażenie.

Żrenice pana Józefa, roziskrzzone, uśmiechały się zdobywczo.

— Teraz pojedziemy po Alwinę!—zawołał.

Wszelako Nietuszyński niespodziewanie spochmurniał i zwiesił głowę nad kieliszkiem.

— Nie mam dziś animuszu. Co innego kolacyjka z panem we dwoje, a co innego hulanka, która przeciągnie się do białego dnia. A mnie nie stać dziś na koncepty, na arlekinadę. Zepsułbym wam tylko „Stimmung”.

— A co takiego?

— Gniewa mnie...—bąknął Tytek i zacichł w obłoku posępnej zadumy, aż wreszcie ozwał się żywo: Siostra mi pisze, abym posłał jej natychmiast trochę pieniędzy, a tu, jak na złość wydawca mój, u którego

czeka na mnie jakieś 600 reńskich, nie wrócił jeszcze z podróży i...

— Ależ panie Tytusie...

— Gniewa mnie to...

— Jeżeli mogę panu służyć...

Tu pan Józef wydobył pugilares, przez chwilę zaważał się, jaką kwotą służyć przyjacielowi i ostatecznie miał mu wręczyć banknot pięćdziesięciokoronowy, gdy Nietuszyński rzucił:

— Sto koron wystarczy! Zupełnie wystarczy.

Papierek z pugilaresu autora przewędrował w dłoń „znakomitego krytyka”, który mełł językiem:

— W końcu tego tygodnia zwrócę panu z serdecznym podziękowaniem. Gdyby to nie chodziło o siostrę, zależną ode mnie... Merci.. W niedzielę rano najpóźniej. Pan przecież nie wyjeżdża do Omiarek?

— Może na dwa, trzy dni.

— Ale nie na długo. Sztuka pańska ukaże się na afiszu za trzy, cztery tygodnie. Przypilnujemy dyrektora! No, a potem... będziemy siekali „Rozwód” na drobne kawałki. Zbierzemy młodego autora bez litości, aby nie wzbic go w dumę, nie wykoleił z drogi rzetelnej pracy... Ale niech się pan nie boi! Wyznaję... lubo nie chcę zobowiązywać się do niczego, że będę musiał z ręką na sercu pisać o pańskiej komedji pochlebnie. Są w niej rzeczy, które mnie wzięły, podbiły... To otworzy komedji podwoje wszystkich innych scen: w Warszawie, Łodzi, Wilnie... Od razu pan Józef Sołhub będzie znanym człowiekiem! O! panie, co to znaczy teatr... Można panu zazdrościć nerwu dramatycznego. Ale gadam i gadam, a panu się śpieszy do Alwinki. Więc chodźmy.

Gdy dorożka stanęła przed Edenem, Orlicz, uwiadomiony przez Sołhuba o rozkazie Alwinki, przechadzał się tam i napowrót w ciemnym, błotnistym zaułku



opodał drzwiczek, wiodących do garderoby teatrzyku. Chudy artysta, z postawionym wysoko kołnierzem palta, wymierzał przestrzeń krokiem żołnierza na odwachu.

Wkrótce wynurzyła się z cieniów wdzięczna postać Alwinki i we czworo, żywo trzepiąc językami, utonęły w czarnym wnętrzu dryndy, która ze stukiem i hałasem, zataczając się pijacko w wybojach nędznej, żydowskiej uliczki, uwiozła ich ze smrodliwych czeluści przed kuliste lampiony Eliseum, gdzie wzięły ich w czułe objęcia dźwięki powłóczystego walca. O czarowna nocy!

Bohaterem wieczoru był Sołhub. Jako fundator, stanowiąc główny punkt ciężkości, a Nietuszyński otaczał go aureolą, bo nie omieszkiał bąknąć kilku słów pochlebnych o sztuce obecnego autora, którego będą wkrótce oklaskiwać. Zresztą pan Józef był natchnionym. Wyskokami rozbrykanego nagle humoru zapędził w kozi róg „przyjaciół“, głównie dzięki temu, że śliczna kobietka wyróżniała go stanowczo, jemu oddawała caduceus trefnisa na ten wieczór, w niego godziła swymi fjołkowymi reflektorami.

Opowiedziawszy bowiem każdemu z osobna i wszystkim razem wszystko, ze wszystkimi szczegółami, o świństwie Albina, doznała wielkiej ulgi i wpadła w tryb otaczającej ją wrzawy, nastroiła się na nutę walca. Pan Józef podobał jej się. Swym słabym, ale na tym punkcie wyostrzonym, niewieścim instynktem oceniła, że jest to „dobry chłop“, wszystko, co o nim orzekł Tytek, podpisując z tym dodatkiem, że fizycznie był zupełnie możliwym. Więcej! Nawet wasy jego działały na nią trochę tej nocy. Chwiała się w sobie, ślaniała sercem w ramiona rozbawionego hreczkosieja i smugi szyderczego śmiechu przesuwaly się przez rozmarzoną duszę na myśl, co powiedziałby

Albin, gdy ona na złość, tak na krótkim toporzy-sku...

— Ha! ha!... — brzmiało co chwila i białe ząbki łyskały w stronę autora, który odczuwał intuicyjnie, co dzieje się w jej łonie, chłonał w siebie wonność obiecującej słodczy, spływającej z rzesów i poddawał się prądowi rozkosznych przeczuć.

Orlicz rzadko mieszał się do rozmowy. Jadł z apetytem, pił sumiennie, wyręczał fundatora w nalewaniu wina i żuł w duszy aktorskiej czarną, otelowską nienawiść do filistra.

Nieraz myślał sobie, że jeśli stosunek Alwinki z Albinem poszarpie się lub zerwie, on, jako brat artysta, najbliższy ciałem i duchem jej stojący, przynajmniej po adwokacie w spuściźnie aktorkę, przynajmniej na czas międzyaktu. Liczył na to tem silniej, że Alwinka miała w kasie oszczędności kilkaset koron, czy nawet większe kapitały. Tymczasem zaś wplątał się między nich, jak piąte koło u woza, ten przybłęda ze Smorgonji, ten pismak analfabetyczny, ten filister ciasnogłowy, pospolity zjadacz chleba—ten porządny człowiek!

Jeśli on ma dziedziczyć po Albinie, to stokroć byłoby lepiej, aby zlepil się stosunek z adwokatem, bo Sołhub gotów wywieźć Alwinę do siebie na wieś, zaprzepaścić i skończyć się five o'clock'i, kolacyjki i pożyczki bez daty zwrotu.

— Psia krew!—kłął aktor w duszy i popijał. Ale nic mu to nie pomogło. Akcje przybłędy szły w górę, więc Orlicz, już niepewny na nogach, chwycił się rozpaczliwie niezawodzącego dotąd środka ściągania na siebie uwagi: począł gwizdać, wtórzac sobie jako tako na fortepianie.

W ubocznym, niewielkim pokoju nie było niktogo prócz pary przygodnych kochanków, którzy arty-



styczne wylewy gardła orliczowego przyjmowali równie wdzięcznie, jak Alwinka i pan Józef. Słowicze trele chybiły jednak celu zupełnie. Odsunawszy bowiem krzesła, „przybłąda” zaczął walcować z Alwinką, o ile umiał i o ile dało się w ciasnym kółku. Nucąc śpiewną melodię, wirowali wolniuteńko, w pół-sennem rozmarzeniu i była chwila, że Alwinka, opleciona obręczą męskiego ramienia, skłoniła furę włosów na pierś tancerza tak, iż lube ciepło jej szyi musnęło mu skroń, niby rajski zefir, woń rezedy z włosów poczęła drażnić nozdrza i jowiszowy obłok rozkoszy omotał go, pogrążył w upojeniu, w niepa-mięci.

Nietuszyński zaś gryzł papierosa w zębach zawzięcie.

Otóż był „psychologiczny moment”, którego on—najwierniejszy z niewiernych—nie mógł się być doczekać. I kto?... Taki kołtun, pełen idjotycznych aspiracji do Parnasu... A najgorsze, że Alwinka przechodziła ponad jego krytyczną głowę do porządku, albo raczej do owego Sołłuba, poczyniała rozkochiwać się w tym bałwanie, zamiast po prostu jemu się oddać, a od tamtego brać pieniądze.

Tytek nie spekulował na wdzięczność białogłowy, lecz tylko na jej głupotę. Nie spodziewał się przeto, aby pierwszy lepszy idjota, dla tego, że ma banknotami wyładowaną kieszonkę, mógł jego usunąć w kącie. Nie przypuszczał, aby takie „głupie ciele”, jak Alwinka, miała tyle zdrowego rozsądku... Mądra głupota!...

Był wściekły. Gdy Alwinka zaprosiła ich do siebie na „literacką” czarną kawę z koniakiem, stróżował nad każdym krokiem pana Józefa, nie opuścił go na chwilę i odstawił go nad ranem do Continental'u—„z wdzięczności za drobną przysługę”.

## VII.

— Przepraszam pana sekretarza...  
— Proszę, proszę.  
— Nie chcę zabierać panu sekretarzowi drogiego czasu.

Niech pan siada. Cóż pan przynosi dobrego, panie Orlicz?

— Chciałem jedynie dowiedzieć się, czy „Trzy kobiety i mężczyzna” pójdą za trzy tygodnie. Nie dostałem dotąd roli Rogera i przypuszczam, że...

— To mnie pan się o to pyta? Przecież ja o tem nie decyduję!

— Wiem, ale... jeśli kto zasięgnie światłej rady pana sekretarza, co się tyczy obsady... Wiem, że pan sekretarz przeładowany pracą. Tyle rękopisów! Czytać takie stosy grafomańskich wymiotów... Podobno Sołłub także uszczęśliwił dyrekcję swą sztuką?

— Tak jest. Czy go pan zna?

— Owszem, trochę. Któżby go nie znał? Toż on wszystkich u Szolca zabawia swą parafjańską powagą, piramidalną pretensjonalnością i wiarą w swój genjusz. Zbikował na tym punkcie. No, kpią sobie tam z niego!... Wmawiają w niego, że komedię jego dyrekcja wystawi, że musi wystawić!... Nietuszyński za boki się bierze...

Sekretarz Szczypiński—starszy mężczyzna z twarzą nieprawdopodobnie pomarszczoną—siedział jakby bez czucia i ospałem, wygasłem okiem patrzył na Orlicza.

— Nietuszyński jednak poleca jego komedię — rzekł półgłosem.

— Oczywiście!... — zawołał aktor z tajemniczym, lechcącym ciekawość uśmiechem i spuścił oczy.

— Czemu „oczywiście”?



— Tego ja panu sekretarzowi wyjaśniać nie potrzebuje...

Szczypiński milczał chwilę. Podsunąwszy Orliczowi papierosa, ukręconego przed wejściem jego, rzekł z cicha:

— Niech pan mówi!

— Ot... wiadomo czem Nietuszyński był dla pana dyrektora — mówi Orlicz półszepem, zbliżywszy twarz do sekretarza — a czem jest dzisiaj. A w interesie jednego i drugiego leży, aby rzeczy wróciły do dawnego stanu... Czemu Nietuszyński zwrócił się nagle do pana dyrektora? Żeby z nim nawiązać dawny węzeł. Jeśli zaś uda mu się nastęrczyć dyrekcji chociażby jedną sztukę, która zrobi kasę, wtedy jego docinki w „Trybunie” pójdą w niepaamięć i...

— Psia krew! — syknął nagle sekretarz. — Kto tam znowu myszkuje?!

Otworzył szybko wypolerowane drzwi i zajrzał do przedpokoju, dzielącego jego biuro od kancelarii dyrektora. Lecz nie było tam nikogo.

— Niech pan mówi z panem dyrektorem — zwrócił się do skulonego w krześle aktora. — O ile wiem, „Trzy kobiety” nie pójdą tak zaraz. Nie wcześniej, jak za pięć, sześć tygodni, bo...

Rozmawiali jeszcze chwilę. Gdy Orlicz wymknął się po dywanie z biura, Szczypiński wydobyl z szafki kilka paczek i wrzucił je kolejno do przystani zapomnienia, z wyjątkiem jednej, zawiniętej w szary papier, na której niebieskim ołówkiem napisano: „Rozwód”.

Tymczasem Orlicz poszedł do Alwinki, gdzie zastał przy kawie i herbacie Sołtuba, Nietuszyńskiego, Iklaszewskiego i Rzędę, niekoniecznie dobrze widzianych przez gospodynię w jej dystyngowanym home'ie.

Bo w życiu Alwinki nic się nie zmieniło. Zamiar

ucieczki z mieszkania wywietrzył jej z głowy, gdy, po hulance w Eliseum, zbudziła się o trzeciej po południu z ciężką głową. Przecież mieszkanie było opłacone z góry do końca miesiąca, a pieniądze wyszypały się jakoś, rozeszły! „Kapitałów” zaś nie było już w kasie, bo Albin kupił jej za nie akcję, która miała pójść w górę w najbliższym czasie. Zresztą niech on przyjdzie! Dozna powitania!...

Ale Albin nie przyszedł. Natomiast napisał czuły list, w którym donosił „jedynemu ptaszкови swemu” (podleci), że przed chwilą wrócił z podróży (klamca!) „zmęczony” (oh!) i zajrzy do niej nazajutrz, „ogromnie stęskniony” (nikczemnik!). W liście przysłał jej sto reńskich „tymczasem” i mnogie całusy.

Gdy nazajutrz po zabawie w Eliseum zjawił się Sołtub, Alwinka trzymała jeszcze w ręku list „podlego kłamcy”. Pieniądze schowała zaraz do portmonecki z silnym zamiarem ciśnięcia w twarz baciarzowi. Głowę miała tak zaprzątniętą zagadnieniem, od jakich słów należy jej nawymyślać Albinowi, że bukiet kwiatów, piękna bomboniera od pana Józefa i on sam nie doznali bardzo serdecznego przyjęcia.

La donna è mobile! Pan Józef przypomniał sobie ten jedyny włoski zwrot, jaki znał, ale nie zrozumiał kwietniowej, sfinksowej zmienności niewieściej. Cofnął się w skorupę swej powściągliwości, przybrał na nowo maniery salonowe, zamiast kuć żiebnać żelazo, przeciwdziałać przygodnej kontrakcji Albina stanowczo.

Zresztą Orlicz nie odstępował ich prawie na krok, a nazajutrz przyszło do porozumienia między zwaśnioną parą. Miasto banknotów Alwinka rzuciła kochankowi kilka obelg, które jednak spłynęły bez wrazenia po wytartem czole adwokackiem. Oburzenie ciej żeniło się o skałę niewzruszonego spokoju i pewności siebie tak, że po kolacji we dwoje, głowa Al-



winki spoćzęła na sercu Albina jak spoćzywała owe go wieczoru na piersi Solłuba, który, owiany chłodem, stracił fantazję i z zielonego morza nadziei spadł na szary gościniec pokornie czekającego manta.

Wielki dzień jego nie powtórzył się więcej. W kółku Alwinkowych satelitów grywał tylko drugie lub trzecie skrzypce, najczęściej wtórzył innym na basetli i teraz, gdy Orlicz wzbogacił grono osób swą smyczkową postacią, nie mieszał się do rozmowy, którą sterował Tytek.

— Nie! Nie! Nie pokaże! — wołał Tytek do Alwinki, gniotąc w dłoni plikę listów. — Takich rzeczy się nie pokazuje. Ale patrzcie!

Rzuciwszy to z grandezzą, odsłonił przed oczyma ciekawych kopertę ze złotą koroną hrabiowską i inicjałami: M. K.

— Że od hrabiny Kromiczowej, to wiemy, ale co zawiera! — pytał Iklaszewski. — Na wieczór cię nie prosi!

— Dla czego nie?! — Wpadł na niego, jak kogut, Tytek. — Czy sądzisz, że nie byłem na pierwszych salonach? Pi! Mój kochany, ja w buduarze hrabiny Kromiczowej spędziłem tyle czasu, co ty u Szolca!... Alwinko, daj jeszcze tyk kawy! Bajeczna!

— Tytek, błagujesz! Skradłeś gdzieś kopertę, aby nam wycierać, że hrabina pisuje do ciebie czułe listy — wydeklamował Rzęda. — Taka głupia pewnie nie jest. Listy miłosne wyszły z mody. Zresztą scripta manent!

Daje słowo, że... — zaczął Tytek z ferworem, ale zaraz ugryzł się w język, jakby i tak już był powiedział za wiele, a Orlicz, który tymczasem nalewał sobie kawę z maszynki, chcąc wkraść się w łaski recenzenta, rzekł:

— Zapewne list miłosny.

— Od czogóżby Tytek był wytyśiał!... — zaśmiała się aktorka.

— Al! Niechajby w sprośnych jego objęciach zgorzał wszelaki Kromiczowej zapaf do płodzenia wierszydeł — wygłosił karawaniarz nabożnie.

— To pewnie Tytek pisuje za nią te rymy w „Trybunie”? — ozwała się Alwinka.

— Bardzo cię przepraszam!

— Dopiero baba byłaby wdzięczna!

— Ona ma talent, daję słowo.

— Do czego?

— Poetycki.

— Nie! Do malowania... lić.

— A ty jednak — odciął się Tytek Iklaszewskiemu — patrzysz się na takie malatury, jak wół na malowane wrota, które dla niego na zawsze pozostaną zamknięte.

— Jeśli ty jesteś tam odźwiernym, to daj mi klucz od tej żelaznej szafy, a ja zostawię ci jej serce — mówił karawaniarz.

— Gdyby to był list miłosny, to wszyscy u Szolca znalazłyby go już na pamięć, jak łowy z Pana Tadeusza — zaopinjował Iklaszewski.

Niby z tyłu ugodzony włoskiem stiletto, Tytek zachnął się i schował paczkę listów w kieszeń, chcąc przez to ukarać uszczypliwych sceptyków, poczem z ironicznym uśmiechem rzekł:

— Napróżno bratku wysilasz swój anemiczny dowcip, aby fortelern nakłonić mnie do przeczytania wam tego listu!

Podczas tej rozmowy, czując się piętem kołem u woza, Solłub nie otwierał ust. Ogarnęło go poczucie osamotnienia, bo nie mógł dostroić się do panującego tonu, a nie wpił się korzeniami umysłu w pojęciowy grunt środowiska. Na dźwięki takich kpín i docinków duchowa jego lutnia nie odpowiadała,



ecz kurczyła się, tężała, milkła. W Omiarkach nigdy nie czuł się tak samotnym, jak w tem zebraniu.

Zaprzagnął uciec, lecz Alwinka poczęła się nim zajmować, częstować ciastkami, zachowując dlań pewne względy, jako dla człowieka „solidnego“, którego instynkt zalecał trzymać przy boku na każdy wypadek. Bo jakąś cząstką jasnowidzącą duszy odgadynała, że Albin nie zerwał stosunku z ową „darnusią” i oddał się od niej.

— Niech pan wpadnie do mnie jutro — prosiła, gdy pan Józef brał za kapelusz.

— Dobrze — odrzekł Sołub odruchowo i cmoknął ją trzy razy w łapkę.

Wyszedł wszakże nieswój, niezadowolony ze siebie. Wszyscy pośmieli się, zabawili, tylko on jeden sterczał między niemi, jak sensat. Czemu?

Zastanowił się nad tem i z kłębów rozmyślań wynurzyła się wkońcu uwaga:

— Głupia rzecz, że ja jednak czuję się dobrze tylko wśród porządných ludzi...

## VIII.

Nazajutrz rano porwała pana Józefa tęsknota za Omiarkami.

Nie należał bowiem do tych rolników, co każda butelkę wina z osobna przywożą sami z miasta i przy takich okazjach przegrywają żyto na pniu w pokera lub w szlachetną stukułkę. Pan Józef nie czmychał ze wsi, nie wydzierał się w wir miejski; między nim a uprawianą ziemią istniał silny węzeł, wśród jednych wyziewów ugorów, rżysk i woni tak oddychał, jak sokół. Więc nie wcielił się w bytowanie miejskie i już po dwóch dniach pobytu w zgiejku

i tartasie ulicznym było mu duszno, nieznośnie w hotelowych murach.

I tego ranka, gdy rozbudzony spoczywał w łóżku, nękała go nuda, jakaś specyficznie miejska zmoira, zrodzona z rozstrzelania sił duchowych. Miasto wciąga jednostkę w hałaśliwe wiry, aby rozprzedać duszę jego na strzepy, wylupić zeń najcenniejsze ziarna indywidualności i wymleć z nich dla siebie jedną, wielką duszę. Pan Józef uronił coś ze swego ja, nie mógł odnaleźć samego siebie. Rozwiane włókna duchowe pozaczepiały się gdzieś, tu i tam na drutach telegraficznych, wokoło znikomych, jednodniowych spraw i nie mógł omotać ich na swój kołowrotek życiowy, który zwał się: Omiarki.

Z ram sennego, swojskiego obrazu wychylały się do niego ciemne cielska chat i plamy stodół, pod strażą służbistych grenadjerów: ściętych topoli, uplastycznione na seledynowem tle ogrodów warzywnych, dziwnie soczyste w kolorycie, namacalne, blizkie, żywe, zwierzające mu się z dziejów, rozgrywających się cicho we wnętrzu. Kiedyś zagranicą, pan Józef oglądał płótno Maneta, wyobrażające ot nic więcej, tylko pospolitą chatę, bodaj zapadłego kąta Normandji lub Pikardji—chatę, która widziana z pewnego oddalenia i pod pewnym kątem, narzucała się oku niesłychaną plastycznością, po prostu brutalnie przygniatała widza swem burem cielskiem, wołając na głos: ja jestem chata!

I teraz ujrzał pan Józef oczyma duszy ów symbol wsi, tak, że zdawało mu się dość wyciągnąć ramię by dotknąć zbrukanej ściany, przekonać się o rzeczywistości istnieniu chaty, wyczuć wieś.

Wieś!... Luby wiew, wykradłszy się z zarośli ogrodowych, nadleciał i musnął mu czoło, przynosząc matczyne pozdrowienie, nakrył go gazą ciszy podo-



blocznej, złożył mu na duszy woń siana, uszał zlu-  
dzenie pól i łąk rozlewnych.

Spichlerz wysoki, ufny w trzos, rozwiemożniony  
w środku podwórza, wydał się dumnie na widok po-  
wracającego dziedzica i witał go, niby zamożny go-  
spodarz. Potem psów skowyt radosny. Zbiegła się  
hałastra poszczekując, skomląc, piszcząc, przewala-  
jąc się, jak w obłędzie, około nóg pana jeden przez  
drugiego. Wspierając łapy na jego piersiach, wycią-  
gają pocziwe pyski, węszą, dopraszając się na wys-  
cigi karesu tkliwym mamrotem. Rozpieszczony, szla-  
chetnokrwisty Ryś drży wszystkimi mięśniami, zapa-  
miętuje się, szaleje. Obiega pana błyskawicznym pę-  
dem naokoło, wali w niego łbem, boryka, koziolkuje,  
rozpościera się, podnosząc jedną tylną łapę, porusza-  
jąc łbem nerwowo i merdając ogonem wachlarzowo.  
Lecz psiska rozochoczone obskakują go, niby natrę-  
tne przekupki, płaczące się wokół nóg, jak wikliny,  
poszczekując krótko: haw! haw! haw!

Dzień dobry!

Dobry. Bo ot tam uśmiecha się do niego niski  
stary dworek, jakby panna młoda nieskazitelnie biały  
i wymajony w obramowaniu krzewów. Wstąpił na pa-  
górek i patrzy, patrzy nieustannie w dal, zali pojawi  
się nareszcie kabriolet dziedzica na żółtej taśmie  
drogi.

I dziedzic wraca. Serce, dusza mu rośnie wśród  
swego królestwa, zatapia się w atmosferę ojcowizny,  
co go wychowała, ogrzewała, karmiła. Sto trosk co-  
dziennych, sfera kłopotów opada go zewsząd, pocią-  
ga i już ma zwrócić się w podwórze, gdy w progu  
pojawia się stara gospodyni, za nią łyska rumiane  
oblicze Maigosi i krzepka babina rozdziera się:

— Śniadanie na stole! Proszę jaśnie...

Pan Józef zrywa się na równe nogi, staje wpo-  
środku „numeru” i mówi po polsku:

— Psia krew! Nudy w mieścisku.

Lecz czeka go spotkanie z Alwinką! Przyrzekł  
jej przyjść, a chociaż w tym wypadku verbum nobile  
mogłoby nie być stabilne i świat nie przewróciłby się,  
jednakowoż, rzekło się słowo, więc trzeba. Zresztą  
nie jest to bodaj połączone z poświęceniem...

Kto wie, czy po za zaproszeniem Alwinki, lubo  
nie ukrywa się odcień obietnicy?... Warto się o tem  
przekonać, popatrzeć się na uwodne delecunki na li-  
cach, tchnieniem róż owianych, olśnić słodką har-  
monją alabastrowego ciała. Bardzo warto.

A gdyby tak przeciągnąć chwiejącą się na dwie  
strony kobietkę śmiałem coup d'état? Przelicytować  
Albina?...

Wprawdzie takie traktowanie sprawy erotycznej  
było w jego oczach niesmacznym, nieestetycznym,  
niegodnym. Zajrzał wprawdzie do pugilaresu. Przez  
cztery tygodnie plika banknotów dziwnie schudła,  
choć cygar hawańskich nimi nie zapalał, ale było  
dość na serwis z prawdziwej japońskiej porcelany,  
o którym Alwinka marzyła głośno, a może na wszyst-  
ko, o czym on marzył w skrytości.

Gdy około południa wyszedł na ulicę, rozbierając  
w myślach istotną treść swych dni, spędzonych  
w mieście, zastąpił mu drogę doktor Gólkowski.

— Jakto? Pan jeszcze bawi u nas?

— Jeszcze kilka dni.

— I jak pan czas spędza?

Po namyśle pan Józef odparł z nieznacznym  
uśmiechem:

— Robię studja nad krajową błagą i...

— Nad batiarstwem!...—dokończył ze śmiechem  
młody lekarz.

A potem, poprawiając na nosie wiecznie spada-  
jące binokle, mówił:

— Ale to potrwa długo, jeśli pan pragnie wysą-



dawać całą tę stajenkę augjaszową do dna, bo ona nie ma dna, jak nie ma go ziemia i nie ma innych granic, okrom geograficznych. Błaga, panie, jest, jak ozon, nieodzowną do naszego istnienia, jak ozon podniecającą nas do wszelkiej akcji. Choć nadmienić trzeba, że u nas wszystko robi się tak, jakby z łaski, więc nic się nie robi...

— Skończony z pana pesymista!

— Pesymista to jest człowiek, dla którego świat jest za złym.

— Dla tego malują go jeszcze gorszym, niż jest!

— A on tymczasem jest jeszcze gorszym, niż go malują.

W tej chwili przepłynęła obok nich mefistofełowska postać karawaniarza z pięknym ukłonem kaptura. Pan Józef nie mógł powstrzymać się od wykrzyknika:

— Ciekawy człowiek!

— Dla siebie.

— I dla innych.

— O tyle, że powierzchowność jego jest ciekawszą od wnętrza wielu innych ludzi. Cały geniusz jego wyczerpał się na tę powierzchowność. Spełnia swą misję życiową: dekoruje...

— Co to za człowiek?

— Gołębnik, w którym mieszkają puhacze, albo jeśli pan woli, kabotyn.

Wpadły im w oczy afisze teatralne i pan Józef naprowadził rozmowę na scenę miejską, nie zdradzając się wszakże z tem, co miał na sercu. Lękał się bowiem instynktownie, by pesymista nie zmroził jego nadziei.

Po odejściu lekarza, wysłał Alwince serwis porcelanowy, nudził się w dalszym ciągu i dlatego udał

się do niej wcześniej, niż zwykle. Spodziewał się zastać ją samą.

I nie omylił się. Alwinka dopiero co skończyła zupełnie bezpieczną lekcję muzyki u starego metra i po mozolnej pracy przyjęła gościa, jakby przynosił jej wyzwolenie z mąk.

Zaraz na wstępie poczęła wynurzać mu podziękę za wspaniały prezent.

— Bardzo piękny prezent, chociaż nie ten sam, który oglądałam niedawno w sklepie.

— Może zatem przejdziemy się do sklepu, by go wymienić?

— Nie. Ten może nawet ładniejszy. Spytam się Tytka. Oryginalny kształt filizanek. Musiał pan zapłacić drogo.

— Wcale nie za drogo, bo dla pani... — rzekł z pomadkowym uśmiechem amant, za co Alwinka podała mu łapkę.

— Dziękuję raz jeszcze. Będę miała piękną po panu pamiątkę. Kiedy pan wyjeżdża?

— Jeszcze nie wiem. Zależy to od losów komedji.

— Zapewne wystawią. Tytek coś mówił...

— Mówił? Pan Nietuszyński mówił do pani?

— Bąknął coś w tym sensie. Czy pan wyjeżdża do Monte Carlo?

— Nie, do siebie.

— I nie zanudzi się pan sam na śmierć?

— Nie, chociaż... Wkrótce przybędzie do mnie pewien znajomy, niejaki pan łowicz, potrzebujący wypoczynku, powietrza, ciszy — mówił ze szczerością prostoduszny hreczkosiej.

— A ja myślałam, że pan wybiera się na Lido, czy też na Riwierę. Albin obiecywał mi to tyle razy. Wszyscy teraz jeżdżą na Lido, albo do Monte Carlo, albo do Monachjum.



— Gdybym ja mógł pani towarzyszyć... — wymamrotał półbłagalnie Sołtub, rumieniąc się.

Na to aktorka odwróciła się do niego i oblała go uśmiechem.

— Tak? Nie może być? Niepodobna?

Wszystko to nie mówiło: nie.

— Proszę pana — poczęła nagle Alwinka zmienionym tonem—jak stoją obecnie papiery? Zapomniałam, jakie to papiery... Albin kupił za moje pieniądze, które miałam w kasie, jakieś walory czy efekty. Nazwał je, ale zapomniałam. I powiada, że jeśli pójdą w górę (a to prawie pewne), dostanie mi się piękny kapitalik. On zna się na tych rzeczach, jak nikt. Sam majątny człowiek, bardzo obrotny, ale ma ogromne wydatki. Utrzymanie domu na takiej stopie, rodzina, rozrzutna żona... Niedawno musiał zapłacić sześć tysięcy reńskich, bo poręczył weksel za kuzyna. Chwilowo pewnie z podróży naszej nic nie będzie.

— Ale pani sama mogłaby... pod moją opieką... chociaż dopiero po Nowym Roku...

— Nie mówmy o tem! Niech pan siada na otomanie, na pierwszym miejscu, nie baje trzy-po-trzy, będzie bardzo grzeczny, a ja nastawię wodę, bo pewnie wkrótce pojawią się... Jak zobaczą ten serwis...

— Cieszę się, że przypadł pani do gustu.

— Ale—możeby im powiedzieć, że to od Albina, bo gotowi sobie Bóg wie co pomyśleć!...

— Nie chciałbym pani wystawiać na złe języki—rzekł minorowym głosem Sołtub.

Na to Alwinka podała mu ładnym ruchem obie łapki, które on przycisnął do gorących warg i począł okrywać pocałunkami, krótkimi, palącymi, coraz wyżej, namiętniej, posuwając się na kostkę, na ramię, wkradając się w ciepłe cienie rozwiewnego rękawa, aż ognie szły od ust jego.

— Dosyć, dosyć!—bronila się słabo aktorka, usuwając ramię niedoładnie i patrząc się na zniżoną jego głowę przymrużonemi oczyma. — Gdybym pana nie lubiła...

— To mnie pani lubi? — pytał bez tchu Sołtub.

— Lubię, naprawdę lubię, ale...

— Więc na dowód... proszę... usta!

— Nie, nie!.. Nie tak blisko od znajomości do poufałości...

W zapale pan Józef chciał wziąć ją w ramiona, gdy wtem, w przedsiönku dały się słyszeć poważne kroki.

— Orlicz idzie—szepnęła trochę pokraśniała Alwinka, odwróciła się na pięcie i zabrała do nastawiania wody.

Wkroczył artysta dramatyczny, a pan Józef zajął honorowe miejsce na otomanie, trochę zły, trochę rozradowany. Aby słowami zamaskować pewne zmieszanie, ozwał się:

— Pan gra dzisiaj?

Aktor wzruszył ramionami.

— Raz tylko, panie, co tysiąc lat, jak kwiat paproci, wykwiła na ziemi taki pan dyrektor i...

— Mało pan grywał—przerwał Sołtub, domyślając się, jaki wulkan nienawiści zionie i huczy w aktorskiej piersi.

— Wiele, panie, za wiele. Przez ostatni miesiąc grałem... raz. Wyraźnie: er - a - zet.

— Jest w tem intryga — wtrąciła Alwinka, wierząc święcie we wszystkie mniej lub więcej fantastyczne urojenia brata-artysty.

— A nie słyszał pan nic o losie mojej komedji?

— Nie! — wyrzucił szybko aktor i cedził: Pewnie leży gdzie w błogosławionym spokoju. Ale... niezawodnie ją panu wystawią w naszym cyrku. Jeśli Nietuszyński ją zalecił...



Gdyby pan Józef w ym momencie spojrzął w oblicze aktora, byłby odgadł coś z zakulisowej jego sprawki. Bo komedjanci są najgorszymi komedjantami w życiu. Skutkiem zawodowego praktykowania sztuki, uzewnętrzniania odruchów, uczuć, wydróżają się wysubtelnione kanały nerwów tak dalece, że uczucia aktora promieniają na zewnątrz, przejawiają się w mimicznym układzie maski, jego ruchach i gestach nawet wtenczas, gdy sobie tego nie życzy.

Ale Sołtub nie śmiał podnieść palających oczu. Zresztą nagle owiała go tak żywa sympatja dla Nietuszyńskiego, że nie był zdolnym do odbierania wrażeń. I wpadł w dobry humor, na czem wszyscy dobrze wyszli.

## IX.

Nagle Nietuszyński począł stronić od Sołtuba. Ile razy zastał go u Szolca samego przy stoliku, oddał się natychmiast, „zmuszony pomówić w ważnej sprawie z jednym ze znajomych”.

A o komedji nie wspominał ani słowem. Kamień wpadł w wodę. Nawet w liczniejszym gronie wystrzeżał się wobec pana Józefa wszelkiej wzmianki o teatrze. Więc zniecierpliwiony autor przydybał go raz przy wyjściu z kawiarni.

— Nic pan nie słyszał o komedji?

— Nie, nie widuję dyrektora od pewnego czasu.

— Jak to długo potrwa?

— Pytanie, czy sekretarz już nie czytał... Aby rzecz wziąć za rogi, pójdziemy razem którego dnia do dyrektora. Ja pana zaprowadzę i przedstawię. Pomówimy z nim. To sprawę przyspieszy.

— Może jutro zaraz?

— Dobrze, zaraz jutro.

Tytek pożegnał go pośpiesznie.

W istocie nazajutrz autor ikrytyk siedzieli w niskim gabinecie, przylegającym do kancelarji pana Kellermanna, przerzucając ilustrowane czasopisma, wyłożone na stole i czekając na „zajętego w tej chwili” kapłana sztuki dramatycznej. Na białych liściach krytyka malowało się skupienie.

Nic nie mówili do siebie. U progu świątyni, w przeczuwanej bliskości bóstwa, zdejmowało ich lekkie drżenie łydek i słowa marły na ustach.

Wreszcie gdzieś ozwał się dzwonek elektryczny. Jednocześnie wyszedł z kancelarji aktor. Na widok „znanego krytyka” rozjaśniła się ruchliwa jego twarz, uścisnął dłoń Nietuszyńskiego z włoską nadmierną uprzejmością i przemówił stłumionym do słodkiego szeptu głosem.

— Dawno już nie mieliśmy przyjemności widzenia tu pana. Do miłego widzenia. Serwus.

Tymczasem do kancelarji wsunął się służący, który snadź szepnął dyrektorowi: „Nietuszyński...”, bo jeszcze aktor nie znikł we drzwiach biura sekretarza, gdy w progu ukazał się sam pan Kellermann, pewny siebie, jeneralski, a z miodowym wyrazem twarzy.

— Przepraszam nieskończenie, że kazałem panu czekać... Przepraszam. Niech pan będzie łaskaw — zwrócił się do krytyka, zaledwie przelotnym spojrzeniem musnąwszy fizjognomję pana Sołtuba.

Chociaż od lat kilku nie występując na deskach teatralnych, pan Kellermann golił smagłą, szeroką, ordynarną twarz. Był to mężczyzna w sile wieku, z krótkim, kędzierzawym włosiem, energją wypisaną na czole, sprytem strzelającym z piwnych źrenic. Elegancki, ciemny visitnig-coat perfumował silnie „peau d'Espagne”, pielęgnował paznokcie z pomocą manikurzysty. Z osobowości jego wydzielał się nieo-



rkeślony zapaszek, właściwy spekulantom giełdowym, który w pierwszym zaraz okamgnieniu tchnął w pana Józefa iskrę nieufności... Gdyby był zrealizował wrażenie, osądziłby, że ma przed sobą niebezpiecznego człowieka.

Podobnie działała osoba pana dyrektora na Nietuszyńskiego, gdyż, zapominając o obecności pana Józefa, wybuchnął z miejsca z tem, co miał na sumieniu:

— Sobotnia premiera „Umarłego miasta” wogóle przynosi reżyserji zaszczyt.

— Ale ją pan schlastał! — zaśmiał się dyrektor szeroko, ze złym uśmiechem w żenicach.

— Bo proszę dyrektora, jakże można było...

— Doskonale rozumiem — wpadł żywo Kellermann — i stawiam się w pańskie położenie. Miał pan przed oczyma duszy „La citta morte”, jak pan widział w Rzymie, inscenizowaną, wyreżyserowaną w ciągu miesiąca przez samego d’Annunzia. Tam cała Rzym, cała Italja czeka widowiska, jak zbawienia. A u nas trzy, cztery spektakle i... operetka. Z pewnością sam d’Annunzio mówił panu...

— Nie tylko o to chodzi — wtrącił Nietuszyński, który, jak dyrektor dobrze wiedział, nie był w Rzymie i d’Annunzia nie widział na oczy. — Ale owa Wisłocka!

— No, tak... To rzeczywiście było fatalnem, wyznaje. Lecz niech pan teraz postawi się w moje położenie... Poleciał mi ją pan, jako talent, rzeczywisty talent, przed trzema czy czterema miesiącami. Pięknie, jest talent, bezwątpienia. Jestem panu nawet za to bardzo wdzięczny. Ale cóż, kiedy kobieta chce debiutować odrazu w Ameljach, Francillon. Nachodzi, nudzi, piluje, błaga... Musiałem kazać jej czekać przez ten cały czas. Nareszcie „Umarłe miasto”. Skorowska trochę za uba, nie miała też wielkiej ochoty, więc

machnąłem ręką, chociaż strach miałem niemały, jak to z nią pójdzie. Reżyser mówi: dobrze. Sam jednak poszedłem na generalną próbę, gotów dać inną sztukę, jeśli Wisłocka nie odpowie kardynalnym wymaganiom. Ale grała wcale nie źle. A tu na przedstawieniu trema bierze ją febryczna, no i kładzie sztukę trupem. A wykosztowałem się!...

Tu, zacerpnawszy powietrza, pan Kellermann dorzucił powoli, półgłosem, znacząco:

— Co prawda, sądziłem, że pan więcej będzie miał względów dla protegowanej debutantki..

Strzelił przenikliwym okiem w żenice recenzenta, przeszył go błyskawicą pod żebra, aż Tytek zachnął się i począł sumitować.

— Niepodobna było wobec tego...

Ale dyrektor przerwał z królewskim gestem:

— Stało się! Niech panowie siadają.

Dotychczas Sołub sterczał, jak pacholek obok rozmawiających, nie wiedząc, co począć ze swą figurą, udając, że rozmowa go interesuje i rozglądając się po buduarowym gabinecie, rzęsiście oświetlonym, bańkami elektrycznymi w kształcie tulipanów. Dość cienki, niebieskawy kobierzec westminsterski powlekał całą podłogę wytwornego, bombonierkowego zająca. Duże, kosztowne biurko było w części zarzucone książkami, kajetami i ozdobione wielką, w złote ramki oprawioną fotografią żony dyrektora. Na ścianie rozpościarał się ładny rysunek kredkowy popiersia Aleksandra Fredry. W kącie półki zapchane bezładnie. Ściany gustownie tapetowane, akwarelowo-zielonkawe, złotemi pręgami poprzecinane pionowo. Tu i owdzie białą oprawioną akwarela, pastel, oraz dwa ogromne wachlarze, pokryte nieprzeliczonemi fotografiami aktorskimi. Pod jednym z nich mieściła się błękitnawa kozetka, stolik inkrustowany i taburety.

Dopiero teraz, gdy dyrektor niedbało-wytwornym



gestem wskazał krytykowi miejsce na kozetce, Tytek przypominał sobie o istnieniu Sołtuba na kuli ziemskiej i wyrzekł:

— Pan Sołtub.

— Domyśliłem się... „Rozwód”—bąknął dyrektor i zwracając się natychmiast znowu do Nietuszyńskiego, podał mu na obu dłoniach kasetkę z papierosami, niby dar królowi, poczem odstawił ją na stolik w pobliżu pana Józefa, który przykucnął na taburecie, czując się tak, jak ongi, gdy skutkiem wiecznego uciekania z pensji do teatru pocił się w krzyżowym ogniu pytań niemiłościwego belfra.

— Nie przeczytałem jeszcze — mówił dyrektor, podając zapalną krytykowi i do niego wyłącznie zwrócony — bo, proszę pana, pracuję około czterech godzin dziennie. Nadto niema prawie dnia, abym nie zabierał do domu rękopisu, książki i nie przeczytał tej samej nocy. Czy przypuszcza pan, że ja w roku zeszłym przeczytałem... żeby nie przesadzić...

Zbliżywszy się do biurka, dyrektor zajrzał w grubą kajet i ciągnął:

— Trzysta dwadzieścia dwie sztuki, proszę pana.

Nietuszyński, wtulony w kątek kozetki z nogą zarzuconą na nogę, zaniemówił pod wrażeniem wrzekomego zdumienia, jak ów augur, który oko w oko z kolegą, nie śmiał się, lecz milczał poważnie. A pan Józef, wyrzucony za nawias ich rozmowy, zapomniany, tkwił na swym niepewnym siedzeniu, z niezapalonym papierosem i z dość nieszczęśliwą miną.

Dyrektor zaś ciągnął:

— Trzysta dwadzieścia dwie! Już to nam nie brak „autorów”!... I, Boże drogi, jakich! Z tych wystawiłem—nie wiem, czy cztery. Ale każdą nadesłaną sztukę przestudjowaliśmy sumiennie: ja i mój sekretarz. Za dawnej dyrekcji nie tak to bywało... W jednym wypadku—sztuka niezła. Autor wprawdzie nie-

znany, przygodny. Pewien wysoko postawiony człowiek ze sfer urzędniczych. Chciałem rzecz wystawić, ale nie dało się tak natychmiast. Po upływie kilku tygodni przychodzi do mnie pewien bardzo dystygowany człowiek z arystokracji i... pod kwiatkiem ofiarowuje mi... dwa tysiące, jeśli wystawię sztukę jego przyjaciela!... Oczywiście, uciałem rozmowę i sztuki jedynie dlatego nie wystawiłem. A była niezła. Spotyka się człowiek z pretensjami, życzeniami i... bezczelnościami.

Pan Józef miał wielką ochotę skłonić się i iść, gdzie pieprz rośnie, ale coś kazało poddać się dalszym mękom i złożył je na ołtarzu Sztuki. Zdobył się wszakże heroicznie na pytanie:

— A czy sekretarz pański mojej komedji nie czytał jeszcze?

Były to pierwsze jego słowa. Dyrektor zwrócił na niego oczy na moment.

— Zdaje mi się, że nie. Zresztą ja go się wcale o to nie pytam. Procedura jest u nas taka: sekretarz mój notuje opinię o każdej przeczytanej sztuce w przeznaczony na ten cel książce i składa mi rękopis na biurku, bez słowa. Bo nie chcę, aby mnie suggestionował. Dopiero gdy ja sam rzecz przeczytam, wtedy porównywaną mój sąd.

— A czy pan sekretarz doręcza panu dyrektorowi wszystkie nadesłane sztuki, czy tylko te, które przeszły jego cenzurę?

— Wszystkie, wszystkie. Niema cenzury. Przeczytam „Rozwód”—ciągnął dyrektor, odwracając się do Nietuszyńskiego—do czwartku, najpóźniej do piątku i dam panu znać listownie, względnie zwrócę rękopis na pańskie ręce. Mam nadzieję, że z tego powodu nie przyjdzie między nami do... rozwodu. Tak, w czwartek... W przyszłą sobotę, albo raczej od tej soboty za tydzień mamy ciekawą premierę...



Krytyk, palący drugiego egipskiego papierosa, zdawał się ukołysany w skończonym bien-être.

A dyrektor ciągnął:

— Jest to dramat Swirgielły, młodego literata z zagranicy. Bardzo, ogromnie mi się podoba. Co za język, co za muzyka... poezja! Dałem się na to wziąć. Nie wątpię, że i na panu zrobi to wrażenie. To nie jest rzecz dla niższych peasystów żeńskich. Przemawia do artystycznego temperamentu. DIALOG błyskotliwy, miejscami porywający. Rujnuję się na dekorję, bo czegoż nie robi się dla Sztuki, chociaż nie da to więcej nad cztery spektakle. Myśl przewodnia oryginalna...

Dyrektor w dalszym ciągu wszczepiał w recenzenta rzekomą swą opinię o nowym dramacie, uczył go, co ma o nim pisać, raz po raz otaczając go dymem uwodnych kadzideł pochlebstwa, a autor „Rozwodu” z dojmującym poczuciem swej zbyteczności siedział jak na rozpalonych żużlach i klął godzinę poczęcia swego utworu. I tak pokutował za swój grzech.

Odetchnął głęboko, niby z kleszców wypuszczony, gdy wy dostał się z murów teatru. Postępował obok recenzenta, obleczonego w milczenie, jakby szum miał w głowie. Grały w nim jeszcze echa dźwięków głosowych pana Kellermanna, a treść ich zmacona, spieniona, odpłynawszy, pozostawiła mu w uszach piółun niesmaku, który w ostatnich czasach nawiedzał go tylokrotnie. Nadto gnębiło go przecucie, że „Rozwód” przepadł.

Zagadnął w tej materji Tytka, który, jakby ze snu zbudzony, zawołał:

— Ależ nie! Nie trzeba zaraz tracić fantazji. Sekretarz jeszcze nie czytał. Dyrektor da nam znać w piątek. U niego wszystko jakby według podwójnej buchalterji... Ale teraz czas na mnie. Mam

roboty na cały wieczór. Przynieślę nowelę do najbliższego numeru „Biblioteki”, a tu jeszcze ani słówka...

Zaczem wskoczył w tramwaj.

Mimo to, spotkał go Sołtub tego wieczora. Wstąpiwszy po teatrze do kawiarni Szolca, zastał „zajętego na cały wieczór” literata, gwarzącego w kółku artystów.

Tytek skłonił mu się chłodno, a gdy postać „przybłądy” znikła w bilardowej sali, bąknął do sąsiada z uśmiechem:

— Sołtub dziś kwaśny... Odpalili jego komedję!

## X.

Wyjechać, czy nie wyjechać? To prawie hamletowskie zagadnienie trafiło pana Józefa nazajutrz, gdy otworzył oczy na tapety numeru i sytuacja odrysowała mu się jasno i wyraźnie.

Zesumował w myślach refleksje i począł pakować walizkę. Załatwiwszy kilka sprawunków, zapłacił rachunek hotelowy i czekał godziny obiadowej. O trzeciej z minutami odchodził pociąg.

Przed drugą otrzymał błękitny bilet tej treści:

„Szanowny i drogi panie Jóżeńku!

„Jestem ogromnie (trzy razy podkreślone) zła i smutna. Niech pan do mnie przyjdzie na gawędę— ale bez prezentów, chyba butelka lekkiego wina. Do widzenia zaraz.

Alwinka”!

Zła — smutna — gawęda. Trochę dziwna kombinacja! Nie obiecywała miłej gawędy, ale... Może nowy dowód niewierności Albina, może z nią zerwał?



Może „jej” pieniądze w banku nigdy nie istniały? Może problematyczna akcja, zakupiona przez niego okazała się fikcją — fortelem, obliczonym na przykucie jej do nóg finansisty?

Pan Józef nauczył się już przypuszczać wszystko. Lecz nie mógł także obronić się przed różową myślą, że Alwinka potrzebująca powiernika i pocieszyciela, zapragnęła jego właśnie mieć przy boku (z butelką lekkiego wina), że nie widząc go przez dwie doby, czuła potrzebę jego towarzystwa, wreszcie, że w tym nastroju będzie skłonniejszą do wysłuchania nowych podszeptów Kupidyna. A była śliczna...

Pan Józef wsiadł do dorożki—z butelką i pojechał—bez walizki.

Straszne nieszczęście wycisnęło potok łez z fioletowych oczu Alwinki i stało się przyczyną roztrzaskania kryształowego zwierciadła toaletowego, tudzież dwóch filiżanek japońskich—z imitowanej porcelany.

Albin nie dał znaku życia od trzech dni. A przyjaciółka gospodyni, odnajmująca pokoje z osobnym wejściem, stosownie do polecenia Alwinki, oraz ze względu na oczekiwane wynagrodzenie, przyniosła wiadomość, że onegdaj pan sędzia spędził całą noc w swej kryjówce. Nazajutrz zaś, przy uprzątnięciu, znalazła gospodyni dwie szpilki do włosów na dywaniku podnożnym przed łóżkiem, które to corpus delicti nie chciała jednak złożyć w ręczki aktorki za żadną cenę, jaką jej ofiarowano.

„Początek końca!” szepnął instynkt ostrzegawczy do ucha kobiety i wtedy to dwie filiżanki rozbiły się z trzaskiem o róg pianina.

Lecz po półgodzinnej rozmowie i trzech kieliszkach szampana nerwy aktorki uspokoiły się, wzburzona powierzchnia duszy wygładziła się i w istocie Alwinka okazała się skłonną do wysłuchania — nie nowych podszeptów Amora, ale rozsądnej propozycji.

— Więc dobrze, jedziemy!...—mówiła stanowczo, nie wyjmując rączki z uścisków amanta — Tymczasem pojedę do Zakopanego, jak chcesz. Po Nowym Roku na Rivierę. Jednak lepiej, niżeli na to głupie Lido. Dość tej „szmiry”! Dość tych draniów.

Pan Józef był wniebowzięty. Autorskie przeczuwane niepowodzenie zatoneło w świetnym obłoku złocistej przyszłości.

— Muszę zaraz posłać do praczki — ciągnęła aktorka — aby odniosła bieliznę jak najprędzej. Najpóźniej pojutrze. Chociaż... z powodu tych akcji muszę zobaczyć się z Albinem.

— Napiszesz do niego z Zakopanego, poprosisz o zwrot tych papierów. Zresztą czy tylko te akcje istnieją?

— Widziałam je na własne oczy!

— Więc dlaczego ci ich nie zostawił w ręku?

— Ma je przy sobie, aby mógł je sprzedać niezwłocznie, skoro tylko pójdą w górę.

— Takiego gwałtu niema w takim wypadku, by nie miał nawet czasu przyjechać po nie do ciebie.

— Ale mówił, że najpewniej złoży te akcje wraz ze swemi własnymi u ajenta giełdowego,

— Mówiłaś dawniej o jednej akcji?

— Ostatnim razem Albin powiadał, że kupił mi nie jedną, lecz dwie.

— Nagle z jednej zrobiły się dwie...?

— Miałam w kasie coś 1200 koron. Albin dołożył kilkaset, chcąc nabyć mi dwie akcje i zrobić niespodziankę.

Pan Józef pokiwał głową niedowierzająco.

— Z pewnością—ciągnęła Alwinka. — Nawet zostawił mi kwit od ajenta, od którego nabył te papiery. Wynosiło to... Kwit tu nawet gdzieś mam.

— Czy tylko jesteś pewna, że to twoje akcje?

— Jakto? przecież kupione za moje pieniądze.



— Pięknie. Za twoje. Książeczka kasowa była wystawiona na twoje imię i nazwisko, prawda?... Dałaś Albinowi upoważnienie piśmienne do podniesienia tej sumy, prawda? A czy kwit od ajenta także brzmi na twoje nazwisko?

— Nie. Przecież on nie mógł powiedzieć ajentowi, że nabywa akcje dla mnie!

— A-ha!

— Ależ proszę cię, zostawił mi kwit!

— Kwit, ale nie akcje! Kwit! Pyszny kawał!

Na to Alwinka rozgniewała się srodze. Zdjęła ją obawa, czy nie padła ofiarą szalbierskiej mistyfikacji. Więc wycofała rączkę z dłoni rozśmieszonego amanta i wpadła na niego tak, że dla miłego spokoju musiał co tchu rejterować ze sceptycznego stanowiska choć częściowo.

— Albin zna się na tych rzeczach bajecznie! A nie możesz przypuszczać...

— Nic nie przypuszczam. Słyszałem wszakże to i owo o nim...

— Już tylko bez zazdrości! Skończyło się z nim, skończyło!...

— Więc niech się zacznie...

— Bez uścisków, proszę cię. Jestem taka zirytowana, chora... Za kilka dni odwiedzisz mnie do Zakopanego. Bardzo się z tego cieszę.

— Całusa!... Proszę!...

Alwinka popatrzyła mu w twarz ładnie, po chwili zastanowienia położyła dłonie na jego barkach i wycisnęła dwa pocałunki na jego policzku, uważając to za dostateczną dawkę. Gdy pan Józef, otoczywszy ją za pas ramieniem, chciał pociągnąć na kolana, wyrwała się i stanęła po przeciwległej stronie okrągłego stołu, gotowa do ucieczki. I wycedziła z rozbijającym wdziękiem pieśczołki.

— Widzisz, ja cię jeszcze nie znam... Nie mo-

żesz mnie uszanować?... Nie jestem przecież taka...

Pan Józef był ujęty, pobity na głowę, rozczulony. Podszedłszy pokornie, ujął jej ręce i podniósł do ust w milczeniu.

— Najlepiej idź teraz! Głowa mnie boli od płaczu. Połóż się spać, zamknę na cztery spusty.

— Kto wie, czy Albin...

— Dla nikogo niema mnie w domu. Ale... słuchaj! Pójdziemy sobie dziś we dwoje do teatru. Premiera: „Czar walca”. Przyjdź po mnie przed siódmą. Ubiorę się... ho, zobaczysz. Włóż na siebie frak, weź cylinder lub szapoklak i... lożę parterową, jak najbliższej sceny.

— Nie występujesz dziś w Edenie?

— Kazałam powiedzieć, że m chora. Weź lożę po lewej stronie. Najwięcej lubię. A postaraj się o nią bez zwłoki.

— Ale tylko we dwoje — szepnął po chwili namysłu pan Józef.

— We dwoje. A będziesz mnie szanował?...

Gdy potwierdził to słowem i zachowaniem się, zarzuciła ramiona na jego szyję, pozwoliła przytulić się do wezbranej piersi i wycalować po twarzy.

— Idź... teraz idź! Przed siódmą!

Sołub wyszedł pijany. Wszystko spłynęło nagle w chaos bezwartościowy, marny: ludzkie mary, przesuwające się po ulicach, posępne domostwa, anemiczne drzewa — teatry, komedje, wszystkie dzieła i rzeczy tego świata. Nawet Omiarki utonęły gdzieś w głębinach mgły jakiejś, po za kresami świata, którego wszystkie tryby, wszystkie nici i promienie ogniskowały się w czterech ścianach uroczej kobietki.

We śnie przeżył kilka godzin, we śnie zasiadł w łoży wyfrakowany, pokaźny w swej dobrze odżywionej, wiejskiej urodzie, przy boku dystyngowane i pięknie ubranej blondyny z cudownym bukietem



kwiatów, na którą zdawały się zwracać mirjady blasków i oczu patrzeć, jak gwiazdy, w czary księżycowego zjawiska.

Nigdy jeszcze pan Józef nie wystawiał się na widok publiczny w towarzystwie niewiasty, podejrzanego konduity, a tak uroczej, więc miał uczucie, że wszyscy jedynie na ich łożę, na niego skupili uwagę, że go znają z imienia i nazwiska, że szmery obiegają wianki łoż, a z nich wysuwa się i pada mu na czoło zbiorowym telefonem bez drutu ciśnięte: „Bezczelny!...” Zdjęło go lekkie drżenie nerwowe i zapatrzył się na kurtynę, jakby jej jeszcze nigdy nie był widział.

A gdyby tak podniosła się i odsłoniła rodzajowy obraz wnętrza jadalni...

Z głębi wchodzi stara, roztargana i rozczerniona gospodyni i odzywa się gniewliwie do uprzątającej pokojówki:

— Strapienie Boskiel... Już znowu piekło w domu! Od samego rana!... A nie baw się tam Magda!... Jeszcze z tobą.

Czy to sen?... Tam mówią jego słowa, jego myśli...

Robi mu się niewysłowienie głupio, naprzemian ciepłe i zimne smugi przepływają przez autora. Lecz złudzenie, opanowane aktem woli, zapada się, jak duch, w deski sceniczne—beznadziejny autor opanowuje się, trzeźwieje i pozwala kołysać się dźwiękom walca w stan spokoju, „wywołującego zazdrość śmiertelnych, a radość bogów”.

Tymczasem Alwinka, z rękoma usłanemi na łonie, wyprostowana, bardzo „correct”, żyje w tej chwili wydetem poczuciem zajmowanego w tym zespole stanowiska. To nie podła łoża aktorska!... Spoziera ukradkiem na wyższe teatralne regiony, odkrywa tam po za rampą dwie znajome, wymęczone twarze, kilka zawadjackich kapeluszy i powłóczysty wzrok jej

z odcieniem politowania przechodzi w niższe i lepsze sfery, rozlewa się po głowach, zaregutowanych w parterze. Czy ją spostrzegą znajomi? Gdzie Gucinek, Tomek, hrabia Zbaralski? Z pewnością nadejdą! Cóż powiedzą, gdy ujrzą ją w łoży z Sołubem?...

Światłocienie drgają na pulchnych licach blondyny, niekiedy tworzą się dołeczki — kielichy dla rosy róż arkadyjskich, a po za niemi przelotnych myśli tli się iskierka... Po wzniesieniu kurtyny, gdy chór poczyna wyrzucać gwałtowne pienia, Alwinka obiega śledczem spojrzaniem wianek łoż.

Raptem rumieniec tryska na jej twarz, skłania głowę, traci na moment świadomość niemal wszystkiego, aż wreszcie rozplywa się w lirycie operetkowego dolce far niente.

## XI.

— Zaręczam wam, że nikt z całej „Trybuny” nie wycisnął z tej skarby jeszcze ani jednego centa zaliczki — głosił Tytek z zapalem w kółku znajomych u Szolca.

— Przechwalasz się znowu, blagujesz! — bąknął głos z ubocza.

— Ależ to był historyczny wypadek!

— W annalach dotąd nie zanotowany, więc gadaj i przekaz go nam pro aeterna rei memoria.

— Dwa lata temu siedzimy kiedyś u Władka w pracowni. Koniec miesiąca. Jeneralne pustki. Niel Po prostu mór. Wypilo się, co było, wypaliło. Skąd u djabła wyrwać kilka głupich koron? Mieliśmy wszyscy w kupe kapitał w wysokości czterech centów austriackiej waluty. Wpół do dziewiątej. Nie odajemy się zatem rozpaczy. Można zawsze jeszcze coś denjalnego przedsięwziąć, ale dowcip w tym kie-



runku dawno się wyczerpał, albo raczej źródła wyschły. Dopiero ja wpadam na myśl, skromnie mówiąc, wiekopomną, godną pióra Pindara czy Machjawała! Wydobyć kilka koron od administratora „Trybuny”, który wszelkie ataki przedtem i potem odpięrał bohaterską, w ołów okutą piersią, wydało się wszystkim czemś niemożliwym, po prostu rozpaczliwym szaleństwem. Lecz od czegoż głowa? Wałę do niego do domu. Stary, po obfitej kolacji i piwie, oglupiały. Wpadam, jak bomba. „Panie, pożar. Ogromny pożar! Cała Ryzówka w płomieniach. Trzeba w ten moment ślać reporterka!” Stary wziął się za głowę, popytał i dał dwadzieścia koron na dryndę. Ha, ha! U Władka przyjęli mnie, jak bohatera, wracającego z trojańskich bojów. Było gaudium!...

— A na drugi dzień?

— Stary kłął szpetnie, plamił swą zatwardziałą duszę stekiem bezecnych słów. Ha! ha!

— Ekwilibrysta!

— Żałuję, że nie zrobiłem wtenczas z kim zakładu, że wezmę na kawał tego nieużytego balwan!

Wszyscy się śmieli.

— Ale, powiedz-no Tytek — ozwał się jeden z dziennikarzy — czemu tak schlastałeś Wisłocką za „Umarłe Miasto”, chociaż...

— Niema o czem mówić! Grała pod psem i kwita...

— Były jednak momenty wprost cudowne!...

— Sam Kellermann przyznał mi, że położyła sztukę trupem i nie ma krzty talentu.

— Przepraszam cię. W pierwszym rzędzie ma warunki...

— Warunki? Na co? Dajmy temu pokój!

Na to wszedł do kawiarni Sollub. Tytek zerknął w jego stronę i z nieznacznym nieukontentowaniem odwrócił natychmiast od niego głowę.

Zauwazywszy to, Sollub bez wahania omiął stolik, przy którym rej wodził „znany krytyk”, przysiadł się do doktora Gólkowskiego, zamówił herbatę i zapoił się w gazetach.

Upłynęły cztery dni od terminu, w którym pan Kellermann miał dać znać o losie „Rozvodu”, a Nietuszyński nie tylko nie wspominał o tem ani słówkiem, ale unikał go, poprostu od niego uciekał, jak od zapowietrzonego. I teraz po wejściu pana Józefa, podniósł się wkrótce i wymknął z kawiarni, tak, że autor nie zauważył tego nawet.

Gdy doktor Gólkowski odłożył gazetę, Sollub ozwał się w zamyśleniu.

— Przypominam sobie uwagi, jakie pan wygłaszał o naszej tutejszej „najmłodszej Polsce”. Zna pan to kółko. Zapewne równie dobrze zna pan poszczególnych aktorów tej komedji życia. Ciekawym, co pan sądzi o Nietuszyńskim, jako o człowieku.

Wesoły uśmiech okraślił twarz lekarza. Poprawił spadające binokle, zapalił papierosa i wreszcie rozesiadł się.

— Jako o człowieku?! Ależ to nie człowiek! To pospolity łapserdak.

— Ale przecież...

— Zapytaj się pan któregoś z jego przyjaciół, a każdy z nich dorzuci inny szczegół do charakterystyki tego męża.

— A cóż mają mu do zarzucenia? — spytał cicho, minorowym tonem Sollub.

— Czego nie mają mu do zarzucenia, pytaj pan raczej, chociaż—co prawda, oni nic mu nie zarzucają, bo taka rzecz, jak kryterjum etyczne lub etyczno-estetyczne — nie istnieje w tem środowisku. Ot na przykład taka historia. Umarł piwowar, zwykły groszorb, którego jedyną zasługą było, że nikt się jego piwem nie otrul, ani w jego piwie nie utopił. Rodzi-



nie jednak zachciało się pięknego nekrologu. I miała go... a Nietuszyński miał piękny pierścień.

— Czyż można być pewnym, że... — zaczął pan Józef cały w ogniu, jakby wypoliczkowany.

— Z jakiego źródła pochodzi klejnot, zdradził się on sam niebacznie przed przyjacielem, który mi to opowiadał.

— Ładny przyjaciel!

— Czy pan sądzi, że w tem bagienku są inni?

— Byłoby to smutne.

— Jest tak. Gdybym znał innego, oprowadzałbym go po mieście i pokazywał, jako niebyszącą zieloną małpę brazylijską. Wogóle... — dorzucił Gólkowski, wpadając w poważny ton — brak, straszny brak naszej młodej generacji jednej rzeczy...

— Czego?

Doktor Gólkowski milczał długą chwilę

— Zakładają jakieś towarzystwa umoralniania młodzieży, które pomnażają stosy zadrukowanej bibuły, operują słowami, morałami, kazania mi, co jest przywilejem niedołęgów fizycznych, a tymczasem to wyprodukuje jedyną obłudę—tę zakalę naszych pseudo-cywilizowanych czasów — powiększy zastęp świętoszków. Nie trzeba nam świętoszków, lecz... dżentelmanów, potrzeba... ideału dżentelmana polskiego.

Sollub zamyslił się nad tem, lecz po chwili rzekł:

— Wracając do Nietuszyńskiego, niepodobna przecież, aby, jako krytyk teatralny... Jak to powiedzieć? Jeżeli redakcja „Trybunu” nie tylko toleruje go, ale, zdaje się, ceni...

— To jeszcze z tego nie wynika, aby nie był bezgranicznie stronnikiem. Jest publiczną tajemnicą, że był czemś w rodzaju doradcy dyrektora teatru. Wtedy miał zawsze pod piórem pochlebny frazes dla dyrekcji, słowo uznania dla „doskonałej reżyserji”, pokłask za repertuar, za wprowadzenie nowych talen-

tów na scenę. Z niewiadomego powodu (nie będą powtarzał plotek) stosunek z teatrem rozchwiał się i dziś... No, czytuje pan, co on pisuje o kierownictwie teatru...

— Owszem, ale nie wiesz łątek na Kellermanie tak dalece, aby upoważniło to do wniosku, że wytoczył mu wojnę na śmierć.

— Na śmierć? Przenigdy. Tacy ludzie nie robią nic na śmierć. Raczej... na życie. Pokazuje mu swe zęby, ale nie pali mostów za sobą w walce z człowiekiem, którego można potrzebować. Z pewnością odnajdzie jakąś furtkę, wiodącą w objęcia dyrektorskie!... Nie zdziwi mnie wcale, gdy nastąpi między nimi znowu bajeczna zgoda. Długo bez siebie nie wyżyją, w żadnym razie nie wydziobią sobie oczu. O! nie.

Pan Józef pragnął zapaść się w ziemię, nie być, tak bolesną była operacja, jakiej się poddawał. Otwierały mu się oczy... Jeszcze półgębkiem wysuwał różne wątpliwości i pytania, na które lekarz dawał wyjaśnienia, jak najbieglejszy cicerone. Wreszcie ucinając rozmowę na ten temat, Gólkowski zawołał:

— Nie wiedziałem, że pan znał panią Klementynę Oleszkową jako pannę!

— Nie widziałem jej od bardzo dawna — bąknął Sollub, czując, że krew ucieka mu z twarzy i serce dygoce.

— Mówiła kilka dni temu o panu. Pytała się zainteresowana.

— Gdzież ją pan spotkał?

— U mojej siostry, z którą datuje się jej przyjaźń od czasów klasztornych. Bawiła u niej kilka dni w przejeździe na wieś do wujostwa.

— Do wujostwa? Na długo?

— Zdaje mi się, że na stałe... Zdradzę panu... I tak niema co ukrywać, bo dowie się pan o tem w swojej okolicy aż nadto szybko. Takie rzeczy lu-



dzie natychmiast biorą na języki i —referują błędnie, aż zamieniają się w legendę. Otóż pani Klementyna rozwodzi się, czy rozchodzi z mężem...

— Nie może być! — wyrzucił Sołtub, dziwiąc się sam, że opłynęło go, jak luba fala, cudowne uczucie zadowolenia.

— Może... Zdarza się to w najlepszych rodzinach.

— Z jakiego powodu?

— Głównie skutkiem zupełnego rozdźwięku charakterów.

— Nie byłbym tego nigdy przypuszczał — rzekł pan Józef, przypominając sobie, że jedna z sąsiadek, a wielka znawczyni spraw matrymonjalnych, na wieść o zaręczynach panny Klementyny, rzekła, niby wróżka, iż „marjaże sezonowe”, czyli zawierane w sezonie kuracyjnym, nic nie warte.

— Musi to być dobry pasażer — ciągnął doktor Gólkowski—jeżeli nawet taka anielska istota jak pani Klementyna, nie mogła z nim wysiedzieć pod jednym dachem.

— Ona nie z tych, co gotowe zrywać węzły małżeńskie dla błahego powodu. Musiało przyjść do scen.

— Żyli z sobą od dłuższego czasu jakby w separacji — mówił lekarz, nie hamując zbyt długiego języka.

Znowu fala zadowolenia wyniosła pana Józefa ponad świat kawiarniany. A doktor ciągnął:

— Zdaje się dlatego, że pani Klementyna pożycie z mężczyzną niekochanym uważa za prostytutkę. Rozgniewany małżonek, chcąc ją ukarać i nakłonić do posłuszeństwa, sprowadził sobie w dom jakąś dziewczynę. A żona, zamiast się poddać opuściła go na dobre.

— Bardzo tem przybita?

— No, trochę... Czuje się jakby wykolejoną. A to bardzo sympatyczna istota. I jeszcze wyładniała. Siostra, z którą kochają się niesłychanie, rozweselała ją, wyciągając do teatru, na koncerty. Notabene—zapomniałem na śmierć — siostra moja życzyła sobie, abym pana przyprowadził na herbatę, ale byłem przekonany, że pan już odjechał. Pytałem tu kasjerkę o pana, która mi mówiła, że nie zauważyła pana przez dwa dni. Ostatnim razem, gdyśmy się spotkali, nadmienił pan...

— Jak się stało, że pani Klementyna przypominała sobie o mnie?

— Spozstrzegła pana w teatrze, jeżeli nie mylę się, na premierze operetki.

Pan Józef spiekł raka, jak podłotek. Ona go widziała z Alwinką... Pałące pytanie uwięzło mu w krtań. Gólkowski zaś, kładąc mu dłoń na kolanie, rzekł z uśmiechem:

— Był pan podobno w towarzystwie ślicznej osoby... uroczej blondynki.

— Aktorka—wyrzekł poważnie pan Józef, chcąc tonem tym zabić dekolitowane podejrzenia.

Nie zdając sobie sprawy, dlaczego zależy mu na dobrej opinii dawnej panny Klementyny, był przekonany, że przedstawił jej się w najgorszym świetle. Z wyróżnionego obłoku nieuchwytnych nadziei stozył się w odmęty wyrzutów sumienia.

— Widzi pan — począł tłumaczyć się, jakby przed „nią”—to właściwie nie aktorka. Bardzo przyzwoita osoba. Znałem ją jeszcze, gdy z mężem aktorem jeździła po prowincji.

— Gdyby nawet nie była przyzwoita, zrobiło to na moich paniach wrażenie.

— Co sobie o mnie pomyślała? — wybuchnął pan Józef przerażony.



— Co? Że pan ma powodzenie u kobiet, a to zawsze robi wrażenie na kobiety.

Niczem na razie nie mógł Gólkowski zgotować panu Józefowi większej przyjemności, jak rewelacją tej odwiecznej prawdy.

Podniecony, wzburzony opuścił kawiarnię. Klementyna!... Niespodziewanie los zbliżył ją do Omiaraka, do niego. I jako rozwiedziona! A tworząc „Rozwód”, on poniekąd utożsamiał ją z bohaterką sztuki, a siebie z ukochanym przez nią człowiekiem... Czy przecucie nie włożyło mu pióra w rękę, aby skreślił coś z dziejów jej i swoich!? Zdarzają się jednak na świecie rzeczy dziwne. Tylko umysły bardzo płytkie nie podlegają nigdy zdziwieniu i mówią mil admirari!...

Zimny prąd jesiennej wichury, świszczącej po wyludnionych ulicach i bryzgającej gradem i deszczem, sprowadził go na bruk prozy. W posepnej atmosferze, w której drgały z rzadka wyleknione płomyczki latarni, gasły śmielsze pragnienia, marły złudy i mrzonki i milkła wiara w gwiazdę szczęścia.

— Wypełzył z głębi duszy piołunowy niesmak, skłębił się w siny gniew, wobec obnażonej szalbierek „przyjaciela”, który, po zdjęciu katarakty z zaściankowych oczu, zarysował się przed niemi w świetle swego „sprytu”, jako typ, jako symbol. Pan Józef, ugodzony w sedno godności osobistej, miał chwilami ochotę tłuc się kułakiem po twarzy za swą naiwność, to znowu dziękować spryciarzowi za odebraną lekcję życiową. Ogarniał okiem artysty ujawniony obraz komedji życia, aby za chwilę, jako człowiek, wymyślać sobie od osła, powtarzając:

— Byłem tam potrzebny, jak pies w kręglach. W bolesne, rekolekcyjne rozpamiętywania wplatała się złota niteczka myśli o pani Klementynie, ale

w rozgoryczeniu i pogwałceniu nie niosła mu pocieszenia. Przeciwnie—rozdzierając grób wspomnień, wy dobywała z niego kołącą świadomość niepowodzenia i wielkie utęsknienie za miłą dłońią kochającej kobiety, która wygładziłaby smutki i bole. W trzęsawisku miejskiem poczuł się sam, jak kolek.

Zamiast pójść do teatru, który mu obmierzył, skierował ciężkie kroki w stronę mieszkania Alwinki. Nie czekała go tam jasność, miłość, ale przynajmniej chwilowe zapomnienie.

Nie widział jej przez cały dzień, bo miała spędzić go u znajomych czy kuzynki, która przybyła do miasta z wiadomościami o jej dziecku. Z tego powodu Alwinka już dnia poprzedniego była tak roz-targniona, że pan Józef nie mógł się z nią dogadać. Wypędziła go prawie od siebie. Ozwąło się w niej serce macierzyńskie... Dobra kobieta!

Od chwili porozumienia nie chciała przyjąć od niego najdrobniejszego prezentu — prócz jednej czy dwóch butelek lekkiego wina,—mówiąc: „później wydasz na mnie jeszcze, jeśli pojedziemy do Monte Carlo”. Ona nie gniewałaby się, gdyby jej wcale nie wziął na „jasny brzeg”. Mógł być wyobrazić sobie, że ma narzeczoną, gdyby mu była pozwalała częściej ukraść całusa.

W pobliżu mieszkania Alwinki wpadł na Orlicza,

— Pan do teatru?—mruknął.

— Nie do trafiki—odmamrotał aktor, jakiś kwaśny.—A pan do Alwinki?

— Tak jest.

— Ale ona wyjechała...

— Jaktó, wyjechała??

— Wyjechała dzisiaj po południu.

— Dokąd?... Do dziecka?...

— Nie, do Monte Carlo.



Ziemia kołysała się pod stopami pana Józefa, chociaż zamienił się w słup soli.

— Chyba pan żartuje!

— Nie ja, ale ona...

— Widział ją pan?

Przez chwilę aktor bawił się widokiem zmaczonej twarzy amanta.

— Cały dzień dzisiaj pakowała rzeczy, na moje stukanie odpowiadając: „nie przyjmuję, jestem chora”, głosem, budzącym podejrzenia. Dopiero na krótko przed wyjazdem wpadła do mnie, już ubrana do podróży i woła rozradowana, trzpiotowata: „jaded! adio! à rivederci!”

— Co się stało u diabła?

— Po prostu pogodziła się z Albinem i frunęła sobie, w różnych przedziałach, aż do najbliższej stacji.

— Mówiła, że z nim?!

— Oczywiście. Po jej odejździe, gospodyni opowiadała mi, iż Alwinka, liczyła na to, że sędzia, widząc ją w pańskim towarzystwie w teatrze, zapala zazdrością i rzuci ową donnę z towarzystwa. Wprawdzie Albin widział ją w teatrze z panem, ale nie dał znaku życia. Natomiast onegdaj w południe przybiegła przyjaciółka gospodyni i doniosła, że tajemniczy lokator przystał jej polecenie, aby ogrzała jego pokój na szóstą. Alwinka jak wściekła, pobiegła, zrobiła mu scenę, odstraszyła swą obecnością damę, no i przyszło między niemi do zgody. A ponieważ, zdaje się, Albinowi poszczęściło się na giełdzie i żona uważała, że jest „bardzo przepracowany” i konieczne potrzebuje wytchnienia, wypoczynku, spokoju, i tym podobnych „miłych rzeczy”, więc zabral z sobą Alwinę, by, zamiast żony i owej damy czuwała nad jego spokojem i tym podobnymi miłymi rzeczami.

mi. Zgodzili się i Numa pojechała z Pompiljuszem, co było do przewidzenia.

Byłże to sen przykry i głupi? Czy życie całe jest snem takim?... Jakby osnuty w czarny tuman, pan Józef stał obezwładniony obuchem, ślepy na całe otoczenie, ogłupiały. Po długiej pauzie wyjąknął:

— Nie kazała mi nic powiedzieć?

— Gdy wkońcu zagadnąłem ją o pana, rzuciła: „Dobry chłop! Powiedz, że kazałam go uściskać...”

Nie dowierzając jeszcze, Solłub powlókł się do mieszkania Alwinki, gdzie posłyszał z ust gospodarka potwierdzenie opowieści Orlicza, który czekał na niego przed domem.

— No cóż? — spytał aktor zgnębionego amanta.

Za całą odpowiedź pan Józef wykonał tylko mdlejący ruch ręką.

Zwolna postępowali obok siebie w milczeniu, jakby za pogrzebem.

— Gdzie pan idzie na kolację? — zapytał wreszcie Orlicz.

— Nie wiem.

— Możeby pan poszedł ze mną?

— A, owszem, dobrze. Wszystko mi jedno.

Jakoż aktor podjął się wdzięcznej a chrześcijańskiej roli nakarmienia głodnego towarzysza niedoli. Łączył ich tego wieczoru żal za niewierną i kolacja.

Lecz pan Józef szedł, jak na ścięcie. Ferment miał w duszy.

„Dwa są rodzaje dramatów; — szepnął mu na ucho oportunistyczny wstręt do cierpienia, słowami Oskara Wilde’a — jedno pochodzą stąd, że człowiek nie otrzymuje czego pragnął, a drugie stąd, że otrzymuje...” Czyż w tym drugim wypadku dramat jego nie byłby stokroć przewlekleszym i boleśniejszym?... Byłby zakochał się, zatopił na łeb na szyję



w Alwince, oplół ją włóknami tkliwego serca, jak siostrzaną istotę, a budził się, mając w ramionach ciało. Może nie mogło go spotkać nic lepszego w tym dramacie.

Niestety jednak to nie dramat... Była to komedja, zabawna dla wszystkich prócz bohatera, farsa, zaprawiona satyrą i kończąca się dla ofiary śmiechu szcztukiem w nos. Komedje zaś są nieraz sto-kroć boleśniejsze od dramatów, a szcztutek w nos od cięcia szpady rycerskiej.

Zachichotała mu w duszy gama tonów dzikich, rozdzierających, bo zdało mu się, że stanął na plu-gawych deskach jakiejś sceny podrzędnej, w pośrodku pomiędzy Nietuszyńskim a Alwinka, którzy wśród burzy oklasków owacyjnych pokazują rozmieszzonej gawiedzi komiczną marjonetkę, funkcjonującą tak doskonale na pasku zgrabnych reżyserów.

Śmiechy! Oklaski! Kurtyna nie spada. Więc pajac kłania się, z gębą uszczęśliwioną — szcztukiem w nos!...

## XII.

Ze strasznym bólem głowy, po „zdrowej“ pija-tyce z aktorem, zabrał się nazajutrz pan Soltub do walizy po raz trzeci i ostatni. Zadzwoił na służące-go, by mu przygotował kąpiel i poskładał rzeczy.

Ale przed odjazdem miał jeszcze coś do załat-wienia...

A-ha! Komedja... Bądź co bądź o losie jej nie wiedział nic pozytywnego. Pójść do Nietuszyńskiego? Nie! Obraz tego oblicza wyblakłego, zaprawionego lukrecją obludy, w wyobraźni nawet działał na niego odrażająco, jak widok płazu. I miałby dotykać się rę-

ki tego „przyjaciela”? Więc pozostał Kellermann. Druga „przyjemność. Atoli z ust jego dowiedziałby się istotnie, czemu sztuka jego nie kwalifikuje się na scenę. Przecież stary profesor, sam dramaturg, który wydał o jego pracy sąd pochlebny, zachęcają-cy, to chyba nie ostatni osieł. Być może, że za jego lat młodych, gdy wystawiał swe utwory, inne były wymagania, inny smak, inni dyrektorowie teatrów, a dziś na ustroniu, w zaciszu biblioteki, nie wyczu-wał już tętna społecznej doby, jednakże...

Nie uśmiechała mu się wizyta w kancelarji tea-tralnej, wszelako ciekawość paliła, więc postanowił obrać drogę pośrednią: udać się do sekretarza i w po-ludnie przekroczył raz jeszcze próg znanej sobie klatki...

Po chwili ro-warły się drzwi od dyrektorskiego buduaru i pan Kellermann, wypuszczając od siebie sekretarza, wyjrzał, czy kto nań nie czeka. A spo-strzegłszy Soltuba, natychmiast poprosił go do siebie, zanim nieszcześliwy autor zdołał wybelkotać, o co mu chodzi.

Nie dopuszczając pana Jozefa do słowa, dyrek-tor, bez wstępu, bez wskazania mu miejsca, poczał łać mu na głowę:

— Przecież przed tygodniem odesłałem panu Nietuszyńskiemu pańską sztukę z długim listem, w którym wypowiedziałem cały mój sąd o tym dra-macie—nieudanym, zupełnie nieudanym.

Tu dyrektor zachłysnął się. lecz zaraz monolo-gował:

— Nic nie mam zgola przeciwko nieznanym autorom. W sobotę wystawiam rzecz nowicjusza, nie-jakiego Świrgiełły z Paryża. Rzecz słaba, ol słaba. Ani ekspresji, ani architektoniki, fabuła wcale nie tak zajmująca. Ale jest jeden dobrze narysowany czło-



wiek i muzyka słowa — jak flet czarodziejski. A czegoż nie robi się dla Sztuki?... Przytem, panie, myśl szczytna, górna, etyka kryształowa, z łoża ideałów artystycznych wykwitła, a tego chyba o „Rozwodzie” nie da się powiedzieć. Oczywiście galerja nie pozna się na tem, ale czegoż nie robi się dla Sztuki?... Rujnuję się na dekoracje...

Przez chwilę jeszcze dyrektor opowiadał z pewną zawziętością o przyszłej premjerze, a mówił o niej coś niemal wręcz przeciwnego, aniżeli do Nietuszyńskiego. Pan Józef zaś, stojąc, jakoby żak przed perorującym dyrektorem, miał jednak tylko na myśli wtąpić jak najprędzej:

— Pan redaktor Nietuszyński nie wspominał mi ani słowem o pańskim liście:

Udało mu się to wreszcie.

— Chce pan wiedzieć, co sędzę o jego dramacie? — wpadł na to pan Kellermann i zająknął się. — Zaraz, zaraz... Wpierw wszakże muszę napisać kilka słów i... wysłać.

Rzekłszy to, dyrektor zasiadł do biurka, ujął za pióro, przyciągnął kilka ćwiartek papieru i kopert i rozglądając się jeszcze za czemś, rzucił półgłosem, ochłonawszy z gorączki:

— Niech pan siada.

Pan Józef klapnął na taburet, najbliższy drzwi.

Dyrektor zwrócony doń szerokimi plecami, nie pisał jeszcze, lecz zawzięcie czegoś szukał, przewracając nerwowymi palcami beładny stos druków i zeszytów, aż wreszcie wy dobył gruby, solidnie oprawiony kajet i powtarzając sobie w myśli: „Rozwód”, przewracał stronicę. Zatrzymał wzrok na kilkunastu kaligraficznie wypisanych wierszach, przeczytał je uważnie, zamknął książkę, odsunął, zwinął czystą ćwiartkę papieru i prostując się, włożył ją w kopertę ostentacyjnie.

Poczem podniósł się. Zapominając, że miał pilny list wysłać, zwrócił się do autora z ironicznym uśmiechem, błędzącym w kącie ust i począł uroczyście, tonem profesorskim:

Przyznaję, chętnie, z przyjemnością, że komedja pańska nie jest bez zalet. Są przebłyśki talenty, jest mianowicie styl miejscami wprost wytworny. Język poprawny. Początek dość interesujący, może cały pierwszy akt uszedłby od biedy, ale, panie...

To organ dyrektora zagrał o trzy tony wyżej.

— Gdzie pan widział takich ludzi? Co oni wygłaszają za zasady? Co za przedpotopowe, dziwaczne poglądy? Ani krzty niema psychologii, niema w tem ludzi i—to może najgorsze—etyki. To nie literatura. Do tego z pewnością nie rościł pan pretensji. Coś tam może z Dumasa, ale... nie Dumas, panie. Więc weźmy to z drugiej strony. Czy rzecz ta, lubo bez wartości literackiej, może trzymać uwagę publiczności na uwięzi przez wieczór? Czy ludzie wysłuchają takich czterech aktów? Nie, panie, bo to ciężka kolumbryna, która jeśli nie jest literaturą, nie jest niczem. Nie, panie, tak djałogów się nie pisze. I te nieprawdopodobieństwa panie! Na przykład w trzecim czy w czwartym akcie to wejście... No, mniejsza z tem, ale całokształt wadliwy. Musi się pan wszystkiego jeszcze nauczyć, ale to ciężka praca, panie... To nie kazać chłopom posiać i samemu grosze zbierać!..

— Czy pan czytał tę sztukę? — wybuchnął par Józef, w którym na te ostatnie słowa wszystko poczęło wrzeć i kipieć.

Smagła maska dyrektora pogłębiła się w tonie. Lyknął okiem gniewliwie.

— Trzy godziny, panie, straciłem na tem i prawdę mówiąc, nie zgotował mi pan biesiady literac-



kiej. Ale, Boże drogi, nie mam panu tego za złe. Myślał pan, że to rzecz doskonała, świetna. Przyjaciele nagadali panu komplementów...

Obryzgawszy autora spienionym potokiem tych słów, dyrektor powtarzał dalej w kółko to samo, aż wreszcie palnął:

— Więc rzecz całkiem chybiona... Napisałem to prawie wszystko w liście do pana Nietuszyńskiego. A teraz proszę wybaczyć... próba. Czekają na mnie.

Sklonił się i znikł, jak sen jaki nie-złoty.

Autor wyszedł z gimachu z chaosem w głowie, z którego wyłoniło się stanowcze: Nie czytał.

I ważył w myśli słowa pana Kellermanna. Płatało mu się: dramat — komedia. Mówił o czterech aktach, a było ich trzy. Nie wymienił ani jednej postaci z nazwiska, ani jednego nie dotknął momentu, ani jednej nie wzmiankował sceny, chociaż mówił tak wiele. Nic, tylko ogólniki, słowa, dźwięki...

Powtórę, zastanowiło strapionego autora, że sąd dyrektora wypadł wręcz odmiennie od opinii profesora... Styl? Profesor wytykał mu poważne braki, wadliwości, usterki, chropowatości. On sam czuł, że styl jego pozostawia wiele do życzenia. Już po wręczeniu scenariusza Nietuszyńskiemu, przypomniał sobie jeden zwrot i drugi, w których dostrzegł teraz krzyczące błędy językowe. Tymczasem dyrektor chwalił styl.

Mimo to, nie była to w jego oczach literatura. Nie było także psychologii, ni etyki. A profesor był właśnie zachwycony rysunkiem bohaterki, uderzony szlachetnością pojęć, które wiały z „Rozwodu”, szczytnymi ideałami, wcieleniami z apostołskim zapalem — ideałami, które dyrektor zdawał się tak kochać, że aż dla nich rozbijał swą kasę. W „Rozwodzie” nie dopatrzył się ich wcale... Pojęcia autora były przedpotopowe, dla profesora zaś „aż nadto modern”, swoiste, przyszłościowe.

Nic dziwnego. Jeśli sekretarz, człowiek bez wykształcenia i zapewne bez ideałów, za którym dyrektor powtarzał kazanie, był jedynym sędzią jego pojęć, etyki, ideałów, to sąd nie mógł wypaść inaczej. A on jeden czytał „Rozwód”.

To pan Sołtub rozumiał, nie przypuszczając wszakże ani na moment, aby sekretarz mógł mieć jakikolwiek osobisty interes w pogrzebaniu jego sztuki.

Mimo wszystko bowiem, wody literackie miały pozostać niezbadanem do dna, tajemniczem topielskiem dla twardej głowy hreczkosieja. Odlatując od nich sercem i duchem, spozierał na ich tafle wygładzoną, zwierciadlaną, wyłożoną słońcem miljonowych spojrzeń struchlałej nierzeczy, jak na uwodne zjawisko, pełne przeczuwanych oparzelisk, trzęsawisk, wirów i raf...

.....

— Co to za ów Świergiełło? — pytał tego wieczora Tytek znajomych u Szolca — Autor sobotniej premjery?

— Gdzieś czytałem, że mieszka w Paryżu.

— W Paryżu? Pił — pochwycił Tytek. — To mi pan.

— Spytaj się o niego Kellermanna. Czy nie jesteś z nim jeszcze za pan brat?

— Nie zupełnie jeszcze — uśmiechnął się recenzent i po chwili, z głupią, bezmyślną szczerością, która go niekiedy napadała, dorzucił: Chce on abym mu zrobił parę spektaklów tej sztuki.

— No, to będziemy mieli dytyramby na cześć Świergiełły. Panowie, narodził się nam nowy talent!

— Nie błażnuj! Boże broń! Tego nie wiem. Zobaczmy... — bronił się Tytek.

Na widowni giełdowej ukazał się karawaniarz.



Wodził okiem po twarzach „hołoty”, poczem podszedł do Nietuszyńskiego.

— Nie było Sołtuba?—zagadnął z cicha.

— Odjechał.

Rzęda przygryzł wargę i zastanowił się.

— Chciałeś z niego wyciągnąć jakie trzy korony, co?—roześmiał się Tytek.

Na to, wbrew oczekiwaniu, karawaniarz zachnął się, nasrożył i wyśpiewał podniesionym do fis tonem:

— Ej, od ciebie, bratku, uczyć się nam, durakom, jak skubać dudków!...

**SŁABY CZŁOWIEK**  
**KARTY Z DZIEŁÓW SERCA**



Deszcz siekł w szyby różgami, bębnił zawzięcie i biegł po nich krętymi strumyczkami, niby jaszczurki żwawe, uciekające w popłochu. Bębnił niezmordowanie przez kwadrans jeden i drugi, zalewał rozległy pejzaż wiejski gęstemi smugami wód. Wreszcie z ołowianego, miejscami rdzawego sklepienia poczęły ściekać miarowo siatki kropli i monotonne pluśkanie słycać było przez szyby.

O polowaniu nie było można pomyśleć. Utonęło ono w tym deszczu. Wyżeł mój poddał się wyrokowi aury ze spokojem urodzonego fatalisty: rozpostarł się na podłodze i zasnął. Niekiedy jednak wzdychał przez sen żałośnie, dzielając snąc moje uczucia.

Nie pozostało mi nic innego, jak pocieszać się towarzystwem pana Józefa, brata owdowiałej dziewczyczki Strzelawy, od której dzierżawiłem polowanie.

Ile razy spędzałem wieczór w tem sielskiem zaciszu, grywałem z nim w karty lub szachy i gawędziłem, bo chociaż małowówny i bardzo cichy, pan Józef oswoił się ze mną i bywało czasem, że rozgadał się w cztery oczy na dobre. Zadziwił mnie wtedy oryginalnymi uwagami i przebłyskami niemałej kultury umysłowej, jakiej nie podejrzewano w tym zgąsłym mizantropie, snującym się w pantoflach podomu, jak cień bez głosu, bez znaczenia.

W środowisku rojnem nie byłby nikt zwrócił uwagi na jego bezbarwną, jakby wypętlą fizjognomję i cherlawą osobę, zwłaszcza, że całem swem obej



ściem cofał się na ostatni plan, usuwał gdzieś za nawias towarzystwa bojaźliwie, niejako przepraszając ludzi za to, że pozwala sobie istnieć wśród nich, odbierać im nieco miejsca i powietrza.

Dość wysoki, wąty, blade, z anemicznym zarostem, skędzierzawionym dookoła twarzy, siwawy, czterdziestokoletni blondyn, stapał powoli, cichuteńko, przysiadł na boku pod ścianą i zamieniał się wśród ogólnej rozmowy w woskową figurę, udającą jako tako żywego człowieka. I milczał uporczywie. Nigdy ruch żywszy nie wstrząsał niemrawą jego postacią, nigdy słowo głośniejsze nie wydzierało się z bezkrwistych ust, nigdy blask nie tryskał ze źrenic, jakby spłowiałych bladofazurowych, nigdy nic nie zdradzało, że w organizmie tym pulsuje krew, falują myśli, grają uczucia.

Nie inaczej zachowywał się w cichym dworze strzelawskim: błakał się po nim senliwie, niby zbędny automat. Życie płonęło w nim nikłym płomykiem, nieraz zamierało tak, iż potrafił siedzieć na jednym miejscu godzinę niemal bez ruchu i bez zajęcia. Zatoniony w skończoną bierność unicestwiał się, staniał na krawędź nicości. Na pustkowiu mimowoli wzrok zatrzymywał się na nim, jak byłby zahaczył się o bezlistne, samotne drzewo, tem więcej, że nie miał on żadnej z cech siostry—rolnika, stał w zasadniczej sprzeczności z otoczeniem i nie było można odgadnąć jaką rolę odgrywa przy boku swej ruchliwej gospodarnej siostry.

Wkrótce jednak zrobiłem odkrycie, że był on ustronnym, a niezbędnym jej doradcą we wszystkich sprawach gospodarczych, zarówno jak rodzinnych. Bez jego aprobaty zaściankowa pani Walentyna nie robiła żadnego ważnego kroku; on nieznacznie, cichaczem kierował wszystkim, decydował o tem kie-

dy należy sprzedać zboże i do jakiej uczelni posłać syna i córkę dziedziczki.

Zacząłem mu się przyglądać, czytać w tej zamkniętej i jakby niczem nie zapisanej ksiąźce. Związał się między nami stosunek dość poufaly, odcieniem sympatji zabarwiony i dowiedziałem się, że odbywał studja handlowe w Antwerpji i pracował przez szereg lat w bankach, aż odziedziczywszy pewien kapitał umieścił go na hipotece Strzelawy i osiadł przy siostrze. Jednakże wewnętrzne jego życie było dla mnie zagadką.

Dnia tego zatem, gdy ulewa położyła zaporę mym myśliwskim zapędom i skazany byłem na kilkugodzinne z nim sam na sam, ośmieliłem się wtargnąć w zakamarki jego istoty. Naprowadziwszy rozmowę na znane tory nicowania bliźnich, ozwałem się:

— Wyznam panu, iż mam wrażenie, jakby w życiu pańskim było zaszło coś, co wywarło na jego usposobienie wpływ stanowczy, przełomowy.

— Zrazu pan Józef nic nie odrzekł. Skręciwszy papierosa, spojrzął na ociekające deszczem szyby i bąknął przed siebie:

— Może być...

— Ale w gruncie jest pan człowiekiem mocnym, niezłomnym — rzekłem, aby pociągnąć go za język.

— Chce pan powiedzieć, że pozory mylą — wyszeptał z nieruchomą maską i podniósł na mnie wzrok pytający, kwestjonujący szczerość mej uwagi. Mnie się wydaje, że pozory nigdy nie mylą, tylko ludzie się mylą. Ja robię wrażenie słabego człowieka i jestem nim. Ale..., to nie zajmujące.

— Przepraszam, to bardzo ciekawe. Cóż to jest człowiek słaby? Każdy ma swe słabe strony, swe słabizny, więc i pan niezawodnie nie stanowi wyjątku. Z tego wszakże nie wynika, aby dał się pan dowo-



dować obcym wpływom, pozwolił sobie narzucać wolę, załamywać się pod jej naciskiem, wykolejał się i sprzeniewierzał swemu ja. Mam wrażenie, że pan daleko mniej od innych—pozornie stanowczych osobników, ulega naciskowi innej indywidualności. Nie mogę przeto nazwać pana człowiekiem słabym.

— Myli się pan **bardzo**... należę wprawdzie do ludzi samodzielných duchowo, znam swoją linię charakteru, stoję na wysokim poziomie etycznym, jednakże—głęboko jestem o tem przekonany—dałbym się wciągnąć w błoto, potrafiłbym zrobić coś, co zgoła nie licuje z mojem ja, co przejmowałoby mnie wstrętem do samego siebie. Dlatego to... ja boję się instynktownie życia i losu, w którego rękach jestem całkowicie bezsilny, jakby lalka.

— Odnosi się pan do siebie z pesymizmem, a gdy kto raz ugrzęźnie w czarnowidztwie... — zacząłem, lecz on zamknął mi usta, rzekłszy:

— Mówię na podstawie doświadczenia.

— No pojmuję, że dałby się pan wciągnąć w wesolą kompanję, hulał do białego dnia wbrew inklinacjom wrodzonym, ale nie uwierzyłbym, gdyby mi kto powiedział, że popełnił pan szalbierstwo, oszustwo, porzucił kochającą kobietę, złamał słowo...

Cierpki uśmiech sfałdował policzek pana Józefa.

— Ma pan do mnie więcej zaufania, aniżeli ja sam do siebie... Coprawda, nie mam żadnego zaufania do siebie. Z pewnością nie mam skłonności do oszustwa, do zdrady, brzydzę się tem, co brudne, a jednak... niema bodaj takiego złego, którego nie zrobiłbym w pewnych warunkach i okolicznościach. Jedno tylko mnie pociesza, a mianowicie przekonanie, że nawet najpiękniejszy człowiek miewa momenty nikczemności, podłości! Bo człowiek, to paskudne zwierzę. Cała różnica między dobrym a złym człowiekiem polega na tem, że pierwszy popełnia

brzydkie rzeczy rzadko, najczęściej pod wpływem innych osobników lub okoliczności, wystawiających go na pokuszenie, a zły często naogowo, z własnego popędu wytwarzającego okoliczności.

— Istotnie tego ludzie nie chcą zrozumieć.

— Tak, upierają się przy podziale bliźnich na aniołów i djabłów i wykrzykują tak często:

— Czyż to podobna, aby taki porządny człowiek mógł dopuścić się czegoś tak haniebnego? A tymczasem wszystko jest możliwe; każdy miewa chwile zaćmienia duszy, zaniku szlachetnych pierwiastków, a nawet chwile, w których zło, plugawe odmęty i zbrodnicze czyny, mają dlań przedziwny, nieprzeparty, fascynujący urok. Lud, mający swoją, może najlepszą filozofję, rozumie to najlepiej i w takich razach mówi po prostu: „djabeł go opętał”!

— Czy pan doświadczył na sobie wpływu diabła?

— Nie—odparł pan Józef i ciągnął poważnie — djabeł wstępuje tylko w jednostki mocne, potężne temperamentem, skłonne do ekstremów, do wybujałości, rzuca się na charakterników, poluje tylko na grubego zwierza. Słabe jednostki wydaje się na pastwę lada wiatru, który ugina je raz w tę, raz w ową stronę.

Umilkliśmy na chwilę, aż zapatrzony w jego łagodną, bezkrwistą a ewigmatyczną twarz, spytałem:

— Czy pan poznał siebie do dna?

— Nie trudno jest przejrzeć innych na wylot, ale poznać siebie samego jest absolutnem niepodobieństwem. Nie widzujemy siebie z pewnej, koniecznej perspektywy, nie podlegamy pozorom własnej osoby i osobowości, nie odbieramy wrażenia wywiebranego przez nas na innych, nie chwytamy promieni emanujących z naszej maszyny cielesnej, do której nigdy nie odnosimy się bezstronnie. Zresztą człowiek



a priori nie chce poznać siebie, lęka się swego ja, jakoby świętego misterjum. Człowiek vult decipi. Skoro kto obnaży jego istotę i wskaże mu na jego jaźnię, wzdyga się i zżyma, nawet wówczas, gdy prawda ta nie jest ujemną. Prawda sieje lęk, jakby upiór i jeśli chcesz kogo obrazić srodze, zranić na zawsze, powiedz mu prawdę. Kto woła: poznaj samego siebie, drwi, sobie lub pojmuje rzecz całkiem powierzchownie i płytko. Jedynie osobniki o przeuczulonych, kołowych, kalekich duszach zapuszczają sondę analityka w jej trzewia, zaglądają w mętne nurty swego życia duchowego, zdrowi zaś wyszafowują swoje siły żywotne na zewnątrz, a siebie samych poczytują po prostu za machiny, które są takie jakie są, niezależnie od nich.

Zapaliwszy flegmatycznie papierosa, pan Józef ciągnął:

— Długo byłem dla siebie zagadką zgoła nieodcyfrowaną i gdyby mi był kto wtędy powiedział, że jestem człowiekiem słabym, byłbym nie tylko doznał przykrości, lecz wręcz temu zaprzeczył i nie dał temu wiary. Ludzie nie tylko nie chcą poznać siebie samych, ale również nie chcą, aby inni ich poznali. Trzeba być niezbadanym, niezrozumiałym, trzeba zatem co chwila robić coś, czego nikt nie oczekuje. Za największych ma świat tych, których psychiki zgoła pojąć nie może. Stąd największą postacią w literaturze jest Hamlet. Kto obnaża istotę swej duszy przed pierwszym lepszym na ulicy, w tym niema nic ciekawego do ujawnienia. Kto każdemu jest gotów opowiadać swe *curriculum vitae*, ten w istocie nic nie przeżył, chociażby życie jego obfitowało w zgoła nadzwyczajne wydarzenia. Ale odszedłem od rzeczywistości. Zachodzą w życiu incydenty charakterystyczne, po przez które osobnik chłodnym, brutalnym autokrytycyzmem uposażony, może ujrzeć coś niecoś

ze swego ja. Pamiętam dwa takie wydarzenia; otworzyły mi okno do wnętrza i ukazały całą straszną słabość i kruchość mej istoty. A dlatego, że były tak blahe, rikłe, zwiewne, tonące bez śladu w kanwie bytowania, przekonały mnie o tem jak najwymowniej. Bez żadnego sztafażu pomocniczego, bez wysiłku, słabe kreatury podyktowały mi linię postępowania wręcz z moją wolą, z moją naturą i charakterem niezgodnego.

Pan Józef zadumał się.

— Opowiadał to panu, chociaż incydenty te są, jak wzmiankowałem, całkiem blahe i nieinteresujące. Pogodziłem się już, zżyłem z faktem swej słabości tak, że nic mnie nie kosztuje przyznać się do tego... dzisiaj. Naturalnie nie rozkrzykiwałbym tego na jarmarku, aby mi ulicznik w duszę nie pluł. Nie chciałbym, aby szpaki świergotały o tem na dachu, nie zwlekałbym zasłony ze swego mizernego ja przed motłochem, ale przed panem?... Sądzę, że pan wyniesioną z mej spowiedzi opinię zmodyfikuje, przepoti może w kotle filozoficznego poglądu na człowieka, ujmie ją w szczypcę psychologa, a nie weźmie na młynek plotkarski. Słabość moja przeto wyda się panu nie tyle ułomnością, ile raczej mniej więcej trwałym stanem, który być musi, bo jest. Słowem nie poniży mnie to tak bardzo w pańskich oczach?...

— Zareczam. Niech pan mówil

Szczęśliwym trafem, po ukończeniu akademiji handlowej w Antwerpji dostało mi się stanowisko w pewnym dość znacznym domu handlowym w Gandawie. Nie było to moją zasługą. Stało się to dzięki znajomości rosyjskiego i—wypadkowi.

Cudowne to miasto, oddające się w spokoju przebiegłemu groszorbstwu, spodobało mi się głównie wskutek tego, że znalazłem w niem kawałek



chleba. Zamieszkałem w skromniutkim pokoiku, u pewnej niezamożnej rodziny angielskiej.

Mister Elworthy, ściągnięty do Belgji przez jakiegoś rodaka, był dozorcą w wielkich magazynach towarów importowanych. Żona jego, pospolita, ciemna jak tabaka w rogu, krzątała się, gderała w klitkach mieszkaniowych w dzień, a wieczorem kuła płatki zawzięcie u kumoszki przy herbacie, lub chętniej przy kieliszku Schiedarnu. Starsza ich córka, dotknięta chroniczną słabością krzyża, niemal ułomna, nie podnosiła się prawie z fotelu. Zarabkowała trochę szyciem, karmiła kanarka i kota, rozmawiała z nim, lub za przykładem matki dogryzała stale brudnej służącej. Młodsza, przeciwnie, nieprawdopodobnie wiotka i drobniutka: Miss Jersie sprzedawała rękawiczki w eleganckim sklepie, w pobliżu giełdy.

Przytuiliłem się do tej rodziny z dwu motywów: aby wydoskonalic się bez kosztów w języku angielskim, a powtóre dlatego, że pokoił był bardzo tani a czysty. Dwadzieścia franków miesięcznie z pierwszym śniadaniem. Wchodziło się do schroniska wprost ze skrzypiącej klatki schodowej.

Na lepsze mieszkanie pozwolić sobie nie mogłem, zwłaszcza, że... młodsza moja siostra zapadła na chorobę piersiową i trzeba było wysłać ją do Zakopanego na czas dłuższy. Musiałem liczyć się z każdym frankiem.

Miasto nie kusiło mnie, nie wywabiało z zacisza izby. Rodaków w Gandawie nie było, po kawiarniach wogóle nigdy wysiadywać nie lubiałem. Niekiedy w południe, po skromnym „repas” grywałem w domino z kolegą biurowym przy czarnej kawie i na tem kończyły się moje wybryki. Wieczory spędzałem w czterech ścianach mej przystani przy herbacie, którą sam sporządzałem, przy zimnej przekąsce i gazecie lub książce.

Owa herbata, jedyny mój luksus, zbliżyła do mnie miniaturową rękawicznikę. Przymówiła się pewnego razu o herbatę, bo matki jak zwykle nie było, służąca wyszła, a ona zawsze miała nieprzeparty wstręt do zajęć kuchennej natury. Być może lękała się o swe wypielegnowane rączęta i elegancją jedwabną bluzkę. Wyglądała zawsze jakby z igły zdjęta, zdawało się, że wyjęto ją z okna wystawowego sklepu zabawek, gdzie figurowała jako gigantyczna lalka. Cesała się z największą starannością, ondulowane ciemno-blond włosy powlekając siatką.

Nigdy nie zauważyłem w jej ubraniu choćby najdrobniejszej niedokładności czy zaniedbania, nie dostrzegłem ani plamki, ani pyłku na sukni, ani błota na bucikach, ani kosmyka włosów odczepionego od fryzury. Sylf niepokalany, unoszący się nad prochami ziemi! A tualecie swej poświęcała nie wiele czasu i — wprost fenomenalne — strojami zajmowała się mało.

Jednem z najmilszych zajęć kobiecych jest kupowanie fatalaszków, zwłaszcza wtedy, gdy niczego nie potrzebują, a najmilszym tematem rozmowy, okrom krytykowania służby, są mody, kapelusze, krawiec i wszystko w zakres kalotechniki wchodzące. Zwykle ludzie z tego się naigrywają. A jest to po prostu nakaz kobiecości, jest w tem utajony wielki rozum życiowy, bo kobieta instynktem rozumie, że mężczyzna zakochuje się przez swe oczy.

Pozornie dla małej Jersie nie istniało to wcale. Posiadała talent gustownego ubierania się, który jeśli się nie mylę, spotyka się najczęściej u kobiet starych ras zachodnio-europejskich. A praktykowała go nie z zalotności, lecz z przyrodzonego popędu i zamiłowania do pedantycznej schludności i skończonej, estetycznej harmonji.



Mało kobieca, jakby bezpłciowa, nie zdradzała ani cienia chęci podobania się. Pod niejednym względem była naiwna, zresztą pozytywnym wyposażoną umysłem, bardzo „matter of fait”, bardzo dobra kupcowa. Miłość utożsamiała całkiem z małżeństwem, jak każe angielski „cant”, i mówiła o niej jakby o zwykłej, dziś zajmującej transakcji. Trudno znaleźć okaz niewiasty tak dalekiej od erotyzmu.

Znajomość nasza zacieśniła się, gdyż wkrótce zamiast w samotności, pijałem herbatę z siostrami Elworthy. Rodzice ich, zresztą świecący nieobecnością, uważali ten stan rzeczy za całkiem naturalny. I słusznie, bo o jakimś flirtowaniu nikt z nas nie myślał.

Mis Jersie poczytywała flirt za coś arcyzdrożnego, skandalicznego, ze znaczenia tego słowa nie zdając sobie może sprawy. Ja zaś do umizgów nie miałem nigdy skłonności, jest to dziedzina dla mnie obca. O ile, uświadamiam sobie w kobiecie, z którą rozmawiam, kobietę, czuję się odrazu krępowanym nieznośnie i najchętniej—uciekam.

Zresztą mimo wzmiankowane talenty i doskonałości, mała Jersie za ładną i ponętą uchodzić nie mogła. Nie działała na mnie, nie budziła dreszczów. Zachowywałem się wobec niej, jakby wobec kolegi, konwencjonalnym, przygodnym węzłem ze mną zwiączonym.

Ciche te wieczory zatem nie miały żywszego zabarwienia. Miss Jersie odkryła w sobie namietność do warcabów i domina, którą i ja podzielałem, więc staczaliśmy mnogie potyczki na tem niewinnem polu.

Nie podobało się to pannie Rucie, która wogóle nieprzychylnem okiem spozierała na naszą zażyłość. Czemu? Czyliż omotała mnie jakimi obłocznymi dziejami sercowymi? Bynajmniej. Serce nie wchodziło tu w grę, lecz—przedziwna, kobieca zazdrość. Ko-

biety ubiegają się nieraz o sympatję mężczyzny, całkiem im obojętnej nawet, tylko z tej przyczyny, aby nie obdarzył ją innej kobiety. To kwestja miłości własnej.

Z tego powodu wywiązała się między siostrami pewna rywalizacja. Jedna i druga pragnęła otrzymać ode mnie komplement pierwszeństwa. Doszło do tego, że Ruta poza memi plecami protestowała przeciwko grze w warcaby, dokuczwała małej Jersie tak, iż stosunek, wogóle dość chłodny między niemi, oziębił się jeszcze więcej. A gdy pewnego razu Ruta w mej obecności ozwała się do niej opryskliwie, mała rękawiczniczka udrapowała się w obrażone dostojęństwo, zabrała naszą szachownicę i rzekła:

— Chodźmy grać do pańskiego pokoju!

Odtąd rzadko pojawiałem się w saloniku, natomiast około wpół do dziewiątej wieczorem odzywało się delikatne stuknięcie do mych drzwi i głosik szczerliwy pytał:

— Czy ma pan ochotę zagrać w warcaby?

Grywaliśmy tedy przy herbacie i ciastkach. Gadatliwa dziewczyna opowiadała mi przytem wszystko, co dotyczy domu, sklepu rękawiczek, powtarzała mi posłyszane koncepty, zwierzała się ze swych spraw i drobnych kłopotów. Gdy nadeszła wiosna, zabierałem ją niekiedy ze sklepu na przechadzkę, która kończyła się wspólną wieczera i czekoladą w mej klitce. Miałem w niej miłą towarzyszkę, która meła językiem za siebie i za mnie i wносиła w moją samotnię promycek jasny.

Drobne wydatki, połączone z jej wizytami, nadwierały trochę moją suchotniczą kieszeń. Musiałem bowiem powiększyć sumę wysyłaną co miesiąc biednej Stefce do Zakopanego, na domiar trzeba było spłacać krawca ratami, więc bieda zaglądała mi oczy tak, że kilka razy przyjąłem od małej Jersie



kilka franków pożyczki. A że finanse moje nie poprawiały się, zabrałem przeto niepostrzeżenie w dług osiemdziesięciu franków.

Jersie, jako prawa ręka rękawicznika, zarabiała dość dużo, mogła bez uszczerbku służyć mi raz po raz niewielkimi pożyczkami, zwłaszcza, że rodzicom nic ze swej pensji nie oddawała. Ale czy wyrachowana osóbką była zdolną do zupełnej bezinteresowności? Czy nie łączyła z tem jakiej spekulacji? Nie oczekiwała z mej strony... procentu?

Byłem o tem przekonany, aczkolwiek ona nie dawała niczem tego poznać po sobie. Bezinteresowność nie jest nigdy bezinteresowną, dlatego najczęściej spotykają się z nią—magnaci.

Zresztą, w objęciu jej matki odczuwałem teraz odcień serdeczności; śnać uważano mnie tam za „young man'a” panny Jersie, czyli za kandydata do narzeczeństwa. Wprawdzie ów „young man” był biednym jak mysz kościelna, ale do czasu tylko; posiadał przecież stanowisko niezłe, wykształcenie niemałe, mógł sięgać wysoko a robił wrażenie pożądanego i solidnego człowieka, zakrawał nawet na gentleman'a!

Jersie była od miłości tak daleką jak ja, kochała atoli ubóstwiane przez młode kobiety małżeństwo, wynoszące pannę na jakiś wyższy stopień hierarchiczny.

Tak stały rzeczy, gdy odebrałem z Warszawy wiadomość o spadku, jaki przypadł mi nagle w udziale po dalekim krewnym. W pierwszej chwili wydało mi się, że jestem milionerem, że unoszę się w złotej gondoli nad falami mottłochu.

Skoro pojawiła się Jersie, oznajmiłem jej wielką nowinę i dodałem:

— Za kilka dni otrzymam z Warszawy trochę pieniędzy. Zwróć pani zaraz te pieniądze...

Oczekiwałem, że wielka ta nowina ucieszy ją, bo wydawało mi się, że cały świat radować się powinien urodzinami dwudziestotysięcznego Krezusa. Tymczasem na twarzyczce mej przyjaciółki osiadł wyraz głębokiego niezadowolenia. Świdrowała mnie nieubłagalnie swemi niebieskimi oczkami i milczała długo, co jej się rzadko zdarzało. Wreszcie nie spuszczając mnie z pod obserwacji bąknęła:

— I cóż pan teraz zrobi?

— Co zrobię?... Jakto co zrobię?... Nie wiem jeszcze. Ostatecznie cóż mam zrobić? Magnatem nie jestem. Będę pracował, jak pracuję, nie tu, to gdzie indziej.

Zabrałem ją na koncert bardzo dobrej orkiestry brukselskiej.

Nazajutrz napisałem do Warszawy po kilkaset rubli, chcąc jak najprędzej spłacić me długi u Jersie i u krawca, oraz posłać telegraficznie trochę pieniędzy Stefie, która wprawdzie odziedziczyła taką samą sumę jak ja, ale w tej chwili, jak przypuszczałem, łaknęła widoku stu lub dwustu rubli. Było można przewidzieć, że na odziedziczony kapitał przyjdzie nam poczekać nie długo, ale jednak zadługo dla biedaków.

Minęło wszakże kilka dni a pieniądze nie nadchodziły. Natomiast otrzymałem list od Stefy, buchający radością i wzywający mnie do natychmiastowego przyjazdu do Zakopanego. Pisała, że dopiero wtedy ucieszy się prawdziwie z tego daru fortuny, gdy mnie zobaczy i ze mną podzieli się radością. Nadto namawiała mnie gorąco i wymownie, abym opuścił tę „dziurę belgijską” i powrócił do kraju, gdzie z łatwością otrzymam posadę w banku i więcej zarabiać będę, niż „głupie” dwieście franków. Po jednym liście od Stefy przyszedł zaraz drugi. Sztur-



mowała do mnie kartaczami, atakowała mnie z naj-  
słabszej strony, t. j. rozniecała całą przygasającą  
chwilami tęsknotę za swoją przemiłą osobą.

Być z nią razem w zacisznych górach i czuć nad jej zdrowiem, wydawało mi się najwyższem dobrem. Sądziłem, że każdy młody człowiek musi kochać się w mej siostrze na zabój, że każdy, kto ma choćby tylko kroplę oleju w głowie, powinien ubiegać się o jej rękę. I dziś tak sędzę. Niestety nie ma jej już.

Nie łatwo było mi rozstać się z Gandawą. Przyrosłem już trochę do tej „dziury” i do mego biurka w kantorze, nadto mniemałem, że kilkuletni pobyt za granicą wyjdzie mi na dobre, lecz jakżeż można było nie pojechać do Stefy?! A to wiedziałem z góry, że skoro ją ujrzę, żadna siła nie oderwie mnie od jej boku. Więc nie pozostało mi nic, jak pożegnać się...

Jak skończyć z panną Jersie? Zastanowiłem się nad tem głęboko, czując, że zaciągnąłem wobec niej dług, przewyższający o wiele osiemdziesiąt franków, że nie można załatwić sprawy kilku serdecznemi a banalnemi frazesami. Przecież ona oczekiwała oświadczeń, lub jakiegoś wyznania i chociaż między nami nic nie było, miała pełne prawo oczekiwać. Nie zabiera się przecież dziewczynie całego jej wolnego czasu, nie posługuje się nią dla swej wygody, aby porzucić jakby łachman. „Murzyn spełnił swe zadanie, murzyn może odejść”. Prawda, że na angielskiej ziemi, pozrywając mnie przed sąd pod zarzutem „złamania przyrzeczenia małżeńskiego” byłaby sprawę przegrała, gdyż niczego jej nie przyrzekałem. Jednakże...

Łamałem sobie głowę, jak wybrnąć z tego położenia bez zbrukania sobie tego wspomnienia, borykałem się z myślami. Nic mądrego nie wymyśliłem;

postanowiłem obdarzyć ją jaką piękną bluzką i zabrać ją z sobą na wakacje do Zakopanego, w przypuszczeniu, że za szczęście poczytywać sobie będzie, iż pozna moją siostrę. Lecz czyż, jednocześnie w nadziejach swych zawiedziona, zechce przyjąć ode mnie cokolwiek? Od człowieka sprawiającego jej bolesny zawód?

Ale która dziewczyna nie przyjmie strojnej bluzki? Barwny gałganek i lzy otrze i na szlak do piekła wiodący zaprowadzi.

Od chwili, gdy nawiedziła mnie fortuna, pewien chłód zawiął od malej rękawiczniczki, odczuwającej smac, że uzależniam się od niej. Nie zwracałem na to uwagi, lecz jakiś instynkt zamykał mi usta i nie wymieniałem daty swego wyjazdu, nie zdradzałem jasno swych planów. Utrzymując ją w pewnej niepewności, kierowałem się bodaj t. zw. delikatnością uczuć, pod którą kryje się ordynarny lęk przed widokiem wyrządzonej przez nas przykrości. Tak wygląda—altruizm.

Nadszedł, raczej dowlókl się dzień wyjazdu. Pewny tego, że bądź co bądź nie obejdzie się bez niemiłej przeprawy dla mnie i dla niej, byłbym pragnął wyfrunąć natychmiast.

Pani Elhorthy i Ruta przy pożegnaniu odprowadziły mnie do drzwi wielkimi oczyma, pytającemi o coś.

Zaczem udałem się do sklepu rękawiczek—o godzinie, w której Jersie bywała tam sama, — z uczuciem takim, jakbym szedł po różgi. Lękałem się czegoś, chociaż cała moja szczerza przyjaźń dla niej podniosła się we mnie, jak obłok wysłoneczniony. Pragnąłem gorąco nagrodzić jej hojnie za wszystko, co zaznałem od niej dobrego, zasypać ją dowodami wdzięczności i przyjaźni.



Cóż ja jej powiedziałem? Otóż bardzo zmieszany położyłem przed nią osiemdziesiąt franków z wyrazami podziękowania za przysługę i oznajmiłem, że mam zamiar wyjechać o ósmej wieczorem.

Płatał mi się w palcach banknot na bluzkę i płatały w głowie przyjazne propozycje, lecz na widok pieniędzy, zamykających w jej przypuszczeniu literalnie wszystkie obrachunki między nami, panna Jersie uderzyła we mnie stalowem spojrzeniem, od którego fala mych uczuć zlodowaciała i padła w martwość.

— Więc pan wyjeżdża o ósmej? — ozwała się oschłym tonem, jakby do najwięcej obcego. — Zatrzyma się pan w Brukseli?

Paplała, a oczy jej gnębiły mnie, policzkowały. — Tyś zawiódł mnie! — syczały z pogardą. — Tyś wyzyskiwał mnie pod fałszywym pretekstem! Nikczemny!

I pod sztyletem tych zrenic stałem się takim, jakim byłem w jej mniemaniu.

Zamieniwszy kilka czczych zdań, rozstałem się z nią, nie wynagrodziwszy jej niczem za przysługę. Odszedłem urażony uchybiającą opinią o sobie i pozostawiłem ją urażoną, potwierdziwszy to ujemne przypuszczenie.

Nikt więcej nie pragnął odwdziżyć się za doznaną przyjaźń niż ja, a cóż uczyniłem zasugerowanemu? Uczyniłem to, co nakazywało mi jej przewidywanie. Odtąd nie ręcę za siebie i nie wiem w żadnym razie jakim będzie moje postępowanie.

Cóż warta przyjaźń i dobroć słabego człowieka, jeżeli zwieje ją jak puch lada wiatr przeciwny, jeżeli sama myśl silniejszej istoty obróci ją w niwecz, albo raczej przemieni ją w zarodku?...

Gdzie jest nasza wolna wola, jeśli ujarzmi ją i pokieruje dowolnie lada wpływ przelotny innego

osobnika?... Cóż warta etyka i kultura duchowa człowieka, którego byle co przeobraża w pospolitego płaza? Cóż warte ludzkie chcenia, postanowienia i zamiary?...

Vanitas vanitatum et omnia vanitas.

Czasami nawiedza mnie podejrzenie, że mała trzeźwa Jersie polowała na mnie od pierwszego momentu, że zupełnie programowo dążyła do celu — do ołtarza. Ale o to nie chodzi.

Słaby jestem...! Przyszła lalka i jednym spojrzeniem, jedną myślą przekreśliła śrubę w mym mechanizmie duchowym i tak zniewoliła mnie do kroku, rdzennie mi wstrętnego...

## X

Najmilsze lata moje — opowiadał mi p. Józef później — to lata, które przeżyłem w Warszawie przy boku mej siostry Stefy, chociaż raz po raz zapadała ona na zdrowiu i to chmurzyło nam pogodne współżycie. Zajmowaliśmy trzy pokoiki z kuchnią przy ul. Smolnej, ja pracowałem w banku, ona zajmowała się domem i kształciła w rysunkach.

Jak pan widzi i z siostrą Walerją płynię mi życie zgodnie, ale to nie to, co ze Stefą. Walerja całą istotą ciąży ku dzieciom, na nie wyszafowuje swe zasoby uczuciowe i tkliwość matczyną, które Stefa skazana przez swój stan zdrowia na panieństwo, przelewała na mnie. Jakoż lata te z nią były jednym, nieprzerwanym rankiem słonecznym.

Aczkolwiek Stefa wypełniała bodaj całe moje serce — zakochałem się. Może właśnie dlatego, że rozpieszczała mnie, ogrzewała swym sentymentem, owiewała kobiecością i tak, zniewalając mnie do żywego życia uczuciowego, wytwarzała we mnie popęd do jeszcze bujniejszego. Pod nieustannym dzia-



łaniem jej ciepłoty sercowej, rozrastały się moje potrzeby uczuciowe.

Z sercem ma się podobnie jak z rękami lub nogami. kto bardzo dużo chodzi i rozmiłuje się w chodzeniu, nabiera ochoty do forsownych, wielkich wycieczek pieszych, aby poznać do dna przyjemności turystyczne i wyczerpać całą potencjonalność swych nóg. Kto dużo kocha i roztopia się w sentymencie, czuje pewnego razu pociąg do poznania nowych sfer i nowych odcieni miłości, do zagłębiania się tem większego w tę czarowną, mgławicową krainę i do zupełnego wyżycia się sercem. I oto w daleko większej mierze aniżeli ten, kto pędzi dni w chłodnej atmosferze domowej i nie nauczył się żyć sercem.

Przyszło to na mnie *comme un coup de foudre*. Od pierwszego wejrzenia zakochuje się nie tylko osobnik erotyzmem dotknięty, ale także nieraz sentymentalista, zakochuje się każdy, gdy wybije jego godzina amora.

Było to w rojnym salonie mej dalekiej krewnej, której wypadło mi powinszować imienin. Dostałem się tam w kątek pokoju, literalnie zabarykadowany przez chwaszczącą, wonną cizbę strojnych dam.

Jakaś starsza persona uwikłała mnie w rozmowę, gdy nagle zauważyłem, że o me ramię ociera się nieznaną mi damą, rozmawiając z gronem osób. Widziałem jej profil, słyszałem jej głos i czułem, że przyszedłem sam li tylko dla spotkania jej. Czułem iż ona jedna w tym zespole ma znaczenie dla mnie.

Czemu właśnie na nią musiałem skierować wzrok z najintensywniejszym zajęciem, jakby na objawienie długo oczekiwane? Czemu wśród obojętnego mi tłumy pachnących tualet wykwitł nagle kwiat dla mnie przeznaczony i wonią swą wypełnił salon i mo-

ją duszę? Tego mi nikt nie wyjaśni. Była to wprawdzie bardzo przystojna, w całym tego słowa znaczeniu rasowa kobieta, ale wcale nie pierwszej wiosny a w salonie nie brakło osób młodych i powabnych, więcej godnych uwagi.

Odtąd błąkałem się wokół niej, krążyłem niby wokół osi mego istnienia — nie jak pajak w koło muchy, lecz raczej jak mucha w koło pajaka fascynującego, który zgodnie z swym przeznaczeniem ma ją omotać swoją pajęczyną.

Zapytałem się mej kuzynki o jej nazwisko, wszelako, gdy chciała mnie z nią zapoznać, uchyliłem się od tego. Od chwili bowiem, gdy padł na mnie czar, zląkłem się czegoś. Przysiadłem się wszakże do grupy osób, w której i ona zajmowała miejsce, gdyż czułem nieprzeparte pragnienie przebywania w pobliżu jej.

Zjawiła się uprzejma gospodyni domu i przedstawiła mnie pani Marji. Byłem jej za to wdzięczny i uszczęśliwiony. W toku rozmowy zdobyłem się na wykrztuszenie kilku zdań:

Wróciwszy do domu z Stefą, bąknąłem:

Najładniejszą była pani Marja.

— Wiesz, że ona ma zameźną córkę, nie wiele młodszą od siebie? Musi mieć czterdzieści trzy lub cztery lata. Była bardzo ładna i dziś trzyma się doskonale, wygląda dość młodo, ubiera się umiejętnie.

— Znasz ją?

— Bardzo mało, ale wiem, że owdowiała przed trzema laty. Mąż adwokat, zostawił jej dość znaczny majątek.

Nazajutrz wspomniałem znów o pani Marji. Stefa popatrzyła na mnie uważnie, a wieczorem z własnego popędu zaczęła mi o niej opowiadać. Śnać poprzednio rozpytywała się o nią między znajomymi. W końcu dodała jakby od niechcienia:



— Mam wrażenie, że pani Marja chętnie wydałaby się za męża...

Ognie uderzyły na mnie i jakby oszołomiony, nie mogłem już rzec ani słowa.

Nieraz Stefa wspominała o pani Marji, informowała mnie o wszystkich szczegółach jej minionego i teraźniejszego życia. Wiedziałem, że żyła z nieboszczykiem mężem bardzo dobrze, że była dobrą żoną i matką, wiedziałem gdzie była na wieczorze, w jakiej tualecie i co o niej mówiono.

Aż pewnego dnia, było to w czerwcu, Stefa, widocznie zaafierowana, wpadła do mego pokoju.

— Józiu!—woła—jutro w ogrodzie „Flora” podwieczerek na rzecz dzieci więźniów. Spotkałam panią Marję, która należy do pań, urządzających to i kazała cię prosić, abys nie zapomniał o jej stoliku. Prosiła cię... wyraźnie.

Gdy na to milczałem, Stefa dodała z naciskiem:

— Musisz pójść. Nie namyślaj się długo!

Przytem machnęła ręką chwacko, jakby wołając: „Nie lękaj się! Śmiało! Raz kozie śmierć!”

Rozumieliśmy się bez słów. Ona wiedziała, że pani Marja wywarła na mnie wrażenie, z którego wyłoniły się sny matrymonjalne, a ja pojmowałem, że ona nie tylko zamiary te pochwalała, ale ułatwiła mi poza memi plecami wszystko tak, że pozostało mi do spełnienia tylko kilka formalności.

Pani Marja przyjęła mnie już w zasadzie.

Pójść na ów podwieczerek znaczyło tyle co wystąpić oficjalnie w roli starającego się i to z najlepszą nadzieją sukcesu.

Są wszakże ludzie, których przeraża... szczęście. To co wczoraj z daleka nęciło ich czarownie, dzisiaj, zbliżywszy się na odległość ramienia—przejmuje ich lękiem. Brzmi to nieprawdopodobnie, a jednak tak jest.

Za wszystko na rynku życia, a więc i za szczęście, trzeba płacić, nieraz nawet wygórowaną cenę.

Słaby, to znaczy ubogi człowiek, wzdryga się przed zapłatą i cofa przed ciężarem szczęścia, wkładającego nań zobowiązania i obowiązki. Tylko sen o szczęściu jest wolny od podatku i — nieskazitelnie piękny.

Przeląknęłam się ceny, aczkolwiek normalnej, jakiej pani Marja miała prawo żądać za siebie, przeląknęłam się jeszcze więcej jej indywidualności, która niewątpliwie byłaby zagórowała nade mną, dalej zmiany losu, czegoś nowego i nieznanego, wreszcie — czynu. Słaby człowiek jest jak kamień, spoczywający tam, gdzie go los umieścił, mocą inercji przyrodzonej. Żądza poruszenia z miejsca wydaje mu się kataklizmem.

Byłbym tedy nie poszedł na to spotkanie, byłbym borykał się z sobą, ale stchórzył w ostatniej chwili, gdyby Stefa nie była sobie życzyła tego.

Poszedłem — z uśmiechem skazańca.

Skoro tylko ładne, żywe oczy pani Marji spotkały mój wzrok, zajaśniała w nich gwiazda zadowolenia. Wielbiciel! Stała przy stole, zasłanym filiżankami, ciastkami i kwiatami, otoczona gęsto przez grono pań i panów, w białym kostjumie flanelowym z różą u piersi. Włożyła go — byłem tego pewny — dla mnie, aby mi się przedstawić młodo. Jednak nie udało się jej to; w świetle dziennym wyglądała mniej korzystnie, niż w blasku kinkietów salonu, w tualecie wieczorowej. Nie wątpiłem, że była starszą, niż wydało mi się przy pierwszym naszym spotkaniu.

Odkrycie to wszakże nie spowodowało zmiany mych uczuć. A jeśli sprowadziło małą obniżkę na moim termometrze sercowym, to wyrównała ona to swym pierwszym spojrzaniem, w którym czytałem



sympatję dla adoratora i swem przyjęciem, pełnem swobody towarzyskiej i uprzejmości, wprowadzającej między nas odrazu ton naturalny, trochę przyjacielski, trochę salonowy a bardzo miły.

Umiała mnie przywitać, jak potrafi jedynie dama obyta z ludźmi, panująca nad sobą i dyplomatka. Rzucając tu i owdzie w rozgwar głosów kilka słów, usadziła mnie w pobliżu siebie, w sposób całkiem niepodpadający i niby od niechcienia zaczepiała mnie pytaniem i spojrzeniem.

Czułem się bardzo dobrze w tej przez nią wytworzonej atmosferze, jak wypoczęty człowiek w dzień jasny, pogodny i bawiło mnie, że w kanwie zwykłej, płytkiej rozmowy dostrzegłem namacalnie nic poważnej sprawy życiowej, przeblysłk komedji życia.

Barwne pióra swego wdzięku roztaczała dla olśnienia mnie i pod moim adresem mówiła wszystko. Dowiedziałem się, że na najbliższą niedzielę zaprojektowała wycieczkę i mile widzianym będzie każdy znajomy, który zechce przyłączyć się do tego towarzystwa. Ponad to podała nieznacznie do mej wiadomości, kiedy i w jakich godzinach przyjmuje przyjaciół, co sądzi hrabina X, o jej szafie gdańskiej, jak praktycznie i zgrabnie urządziła się na lato i wiele innych rzeczy.

Przekonywałem się, jak bajecznie przebiegłem stworzeniem jest—kobieta. Mężczyźni są wiele głupsi, daleko częściej mówią pod wrażeniem chwili co mają na sercu.

Podziwiałem jej subtelny spryt kobiety, podziwiałem ją całą szczerze, ale nie umiałem tego po sobie pokazać. Tymczasem przy całej swej przebiegłości pani Marja nie odczuła, że nic nie straciła w mych oczach.

Wypadalo mi przywitać się z znajomymi osobami przy innym stoliku. Zamieniwszy z niemi kilka

zdawkowych frazesów, chciałem powrócić do boku pani Marji, lecz gdy zbliżyłem się do niej, ona widocznie była przekonana, że pragnę się z nią pożegnać. Czytałem to w wyrazie jej twarzy.

Pożegnać się w tej chwili, nie zapowiedziawszy swej wizyty, ani nie wyraziwszy gotowości towarzyszenia jej w wycieczce projektowanej, nie zdradziwszy wcale chęci zacieśnienia znajomości, znaczyło to powiedzieć brutalnie:

— Nie podobasz mi się! Omyliłem się. Bezwrotnie zadawałem sobie tyle trudu. Adieu...

Nie! Ja nie chciałem powiedzieć jej nic podobnego. Koniecznie pragnąłem upewnić ją, iż mi się podoba i utrzymać w rękę nic nawiązanego stosunku. Ale sparaliżowało mnie to coś, co jakby lęk wyrzuciło ku mnie z jej źrenic i poplątały mi się myśli na chwilę. Nie umiałem nic wyjąknąć.

Przez moją nieśmiałość czy raczej bojaźliwość, utwierdziłem ją w błędnem mniemaniu, rozpedziłem obłoczek jej różowych nadziei.

Nareszcie miałem coś wykrztusić miłego dla jej ucha... Zapóźno! Sekundę czy dwie zapóźno.

Uderzyła mnie lodowatym spojrzeniem, oddechnęła wzrokiem, głęboko w swej kobiecości dotkniętej osoby.

I... zabiła we mnie słabowitą iskierkę odwagi. Jak w Gandawie, uczyniłem to co moja partnerka sądziła, że uczynię i przez myśl swoją zacydowała o losie moim i swoim...

Uścisnąłem jej rękę i odszedłem.

A tak snadnie mogła była doprowadzić mnie do ołtarza! Podobno kobiety odgadują myśli i intencje mężczyzn, tak jakby czarodziejską lampą Aladyna rozświetlały tajniki dusz męskich. Wątpię! Dwa razy w życiu bowiem przekonałem się, że tak nie jest. Przeklamowano domysłność kobiecą...



Popchnięty przez Stefę, zdobyłem się na pierwszy, stanowczy krok i ot—nie stało się nic niemiłego. Tak samo, powoli, trwożliwie byłbym posuwał się dalej, wolał Stefę dopingowany, aż do ślubnego kołnierca, gdyby pani Marja nie była zwątpiła w swój urok, w swoją moc, gdyby była utrzymała mnie na magicznej nici niegasnącego pragnienia.

Ta chwila upadku jej ducha, ta jedna myśl z milionów jej myśli sprawiła, że nie ożeniłem się, a ona nie dostała męża.

Nie dosyć być ładną, trzeba chcieć być ładną. I nie dosyć chcieć wyjść za mąż, trzeba niezachwianie mocno wierzyć w podbojową potęgę swych wdzięków.

Skoro zrozumiemy, że wypadki życiowe rozgrywają się nie z zewnątrz, lecz w głębi naszych istot, tracimy interes dlatego, co się stało, a poczynamy pytać, jak się stało.

Znów kwestja, gdzie podziła się owa wolna wola, jaką podobno jesteśmy wyposażeni wszyscy...

Pozostał mi w duszy jakiś osad tęskną żalnością nasączony. Przesunąłem się przecież tuż obok bukieców radości życia i odszedłem z pogardą dla siebie.

Kto wie, ubezwładniła mnie nie tyle może jej myśl, ile lęk przed szczęściem.

Pewien pisarz rosyjski przedstawia w powieści młodego człowieka, zakochanego w hożej, uroczej dziewczynie, odpłacającej mu hojnie miłością. Mają się połączyć. Jednym słowem na promieniu słonecznym zeszło do nich szczęście. Lecz on—odbiera sobie życie. To rzecz niepojęta!

Autor nie podaje przyczyny, nie nazywa rzeczy po imieniu. Mnie się zdaje, że choroba anemicznych lub kalekich istot, od której on zginął, zwie się lękiem przed szczęściem.

Może być, że mylę się. Ja nie byłbym się z nią ożenił...

Dla słabych nie ma szczęścia, co śmieje się w głos i tryska fontanną blasków.

#### IV.

Gdy sięgnę pamięcią w me lata dziecięce, przekonywam się, że był we mnie zadatek na innego zakroju człowieka.

Jako ośmioletni chłopak dokazywałem, zbyt kowałem z rówieśnikami i żywy, wesoly, przedsiębiorczy, uchodziłem za typowego urwisa. Ale w rok czy półtora zmieniło się coś we mnie, jakby operator rękę włożywszy mi pod żebra, przekreślił jakąś utajoną strunę, albo raczej zerwał ją i skazał na mi! czenie.

Jednym z mych towarzyszków, któremi dowodziłem niby generał, był szewczyk, ze srodze odstajacymi uszami, któremi Pan Bóg obdarzył go na to, abym darł go za nie. Nosił on wytworne imię Fredzia, co w piątym przypadku brzmiało: Fryd!

Że żywiłem dla mego powolnego towarzysza jakiegokolwiek uczucie, było dla mnie zupełną tajemnicą. A już zgola nie przypuszczałem, że ja go lubię.

Mieszkał on w tym samym domu co ja; ojciec jego miał warsztat w przybudówce, w podwórzu. Dość było przeto pokreć się w sąsiedztwie drzwi i okien szewckich, świsnąć raz i drugi, aby Frydek wymiarkował, iż gotów jestem do harców, igraszek i figlów. Wtedy chłopak szukał wybiegu, aby wydostać się z pod oka matki i kopyta ojca, któremu musiał się on już wysługiwać.

Pewnego dnia szewc kazał sprawnemu łobuzowi odnieść parę zelowanych „kamaszów” na miasto. Spotkawszy się w bramie kamienicy, puściliśmy się razem w dość daleką drogę, a że natknęliśmy się



na garść urwisów, więc zabawiliśmy się w rozbójników, kryli po zaułkach, bramach i schodach, tak we solo, że upłynęły coś trzy godziny, nim ów jego mość otrzymał swe buty a wieczór zapadł, gdy wróciliśmy zziębnięci jak psy gończe.

Tymczasem właściciel tych butów wielce zaniepokojony czekaniem na swe „kamasze”, przysyłał po nie do szewca. Wreszcie sam przybył do niego i zwymyślał go srodze, chcąc może wziąć odnowione buty na schadzke.

Wpłynęło to bardzo źle na humor szewca. Skoro wreszcie Frydek, przeczuwający burzę i ociągający się z powrotem do domowego ogniska, zjawił się w promieniu ojcowskich źrenic, pochwyliła go za kołnierz jakaś siła wyższa, cisnęła na warsztat, uniosła znów w górę, grzmotnęła jeszcze silniej na bezładny stos szydeł, kopyt, podeszew i poczęła weń walić. W miarę tego wzrastał gniew szewcki, wyrastał w furję i śnać krew zalewała mu mózg, odbierała przytomność i świadomość. Raz kulakował syna brutalnie, raz siekał rzemieniem z całej siły i tak wywierał na nim nagromadzony zapas wściekłości, brał odwet za posłyszane od klienta wymówki, dawał upust swej brutalnej naturze.

Frydek darł się w niebogłoso, wił, tarzał, potem skamlał, zбитy na kwaśne jabłko, pokaleczony, okrwawiony na czole i twarzy, nawpół żywy.

A ja przyglądałem się jego dramatowi z podwórza, przyczajony pod wozem przygodnie tam stojącym i drżałem jak liść. Co działo się we mnie, trudno opowiedzieć. Czulem, że nie Frydek, lecz ja byłem głównym winowajcą, że bądź jak bądź miły i dobry ten chłopak nie zasłużył na takie cięgi, na takie katowanie. Przechodziłem męki i katusze, kurczyło się we mnie wszystko, prężyło i mdlało, wyło i lkało żałośnie.

Nerwy moje doznały pierwszego ogromnego wstrząśnienia, zdawało mi się, że to nie on, lecz ja, na pryczy wyciągnięty, odbieram chłostę, tarzam się w boleści. Każdy krzyk Frydka, każdy jęk jego rozdzierał mi duszę, sączył ze mnie krople krwi serdecznej.

Gdy wreszcie ukończyło się widowisko, które wywaliło na podwórze kilka bab i sług i w oknie izby ukazało się rozgorzałe oblicze szewca, miotającego szatańskie spojrzenia, (widzę to oblicze dzisiaj!) powlokłem się do domu, jak pies obity, znieczulony, zmiażdżony, rozbity.

Dramat Fryda był moim dramatem. Stargwały się we mnie jakieś struny, porwały i omdlały i pozostało głuche osłupienie bez nazwy, echo przeszywające go na wskroś bólu i ogromny lęk przed bólem.

Odtąd zmieniłem się do niepoznania.

Później, wiele później, zastanawiając się nieraz nad tym momentem mego życia, zrozumiałem, że w tem osłupieniu, jakie kamieniem położyło się na mej młodej duszy, tkwiło bolesne odkrycie brutalności w człowieku, z którą dotychczas nie spotykałem się jeszcze, a nadto odkrycie, że na świecie niema sprawiedliwości, że czasem winowajca wychodzi obroną ręką, a niewinny odbiera karę, że mądrym jest przysłowie: „kował zawinił, a ślusarza powiesili”.

Ideał sprawiedliwości drzemie w każdym, przeciętnym dziecku i wyrostku z pnia kulturalnego. Kto nie zna psychiki młodych dusz, kto nie odczuwa młodzieży, nie ma wyobrażenia jakim kataklizmem jest dla nich spostrzeżenie, odślaniające nagą prawdę i przynoszące bolesną naukę.

Gdyby ojciec dał za to w skórę, nie byłoby to wywarło na duchową stronę mej osoby żadnego wrażenia. Ostatecznie byłbym przyjął to jako coś za-



służonego, jako wymiar sprawiedliwości. Tymczasem pod faktem brutalnej chłosty niewinnego chłopca załamane się raz na zawsze. Wspomnienie tego obrazu boli mnie dzisiaj tak dojmująco, jak wówczas widok tej sceny.

Odtąd znałem lęk przed bólem i przed — niesprawiedliwością losu, to znaczy stałem się słabym, sparaliżowanym psychicznie na całe życie.

Później, pozbawiony odporności na boleść, odebrałem drugi cios, który zabił we mnie resztę tej energii życiowej, jaka trzymała mnie przy senliwej pracy biurokratycznej i zagasił wszelkie światła. Odkiedy odeszła ode mnie moja siostra Stefa, nie żyję, gasnę jak lampa.

Inni ludzie uczą się przez całe życie żyć, ja zaś uczę się umierać. Oni górują nade mną stokrotnie dziś, ja zaś wyższym będę od nich w chwili skonu. I mocnym... Zrazu umieranie codzienne jest czemś przerażającym, lecz z biegiem czasu staje się instynktem i błędym, zimnym wprawdzie, ale niebiańskim usmiechem, spoczywającym na duszy niby jutrznia wyśnionego świata.

Idę mocny coraz dalej do życia — za nią i do niej...

— — — — —  
Szept pana Józefa padł cicho w milczenie pokoju, melancholiję wieczoru omotane, które stało przy nas teraz, jakby cmentarny cyprys nad zawartą księgą jego duszy.

Deszcz nieustannie dzwonił o szyby, mamrotał coś tajemniczo, zażawiał kraj bezmiarem smętków. Życie wydało się posępnem i głupiem.

## MOCNY CZŁOWIEK



Mister Henry Hallward strawił gdzieś w czeluściach Londynu lat kilka, nim świat artystyczny raczył otworzyć nań oczy i uświadomił sobie, że ów Mister Hallward swą olbrzymią niedźwiedzią łapą potrafi tworzyć arcymisterne maleńkie rzeczy, rozmiarami swemi w skrajnej stojące sprzeczności z jego dość wysoką a ciężką, baryłkową postacią, przypominającą małomiejskich rzeźników lub opastych barmen'ów. Wielkolud, zajmujący sporo miejsca, lubował się w kreacji lilipucich cacek.

Z pod łapy jego wychodziły figurki z terakoty, wyobrażające pierotów, arlekinów, karłów, gnomów i cudaczne dziwotwory bez nazwy. Widywano je w dziale artystycznym najwytworniejszych magazynów w towarzystwie wytworów fabrycznych, gdzie, lubo droższe od sąsiadów, cieszyły się pewnym pokupem dzięki niewątpliwej swej wartości artystycznej. Twórca ich wszakże pozostawał nieznanym i Mr. Hallward nigdy w życiu nie byłby dźwignął się na wyższy szczebel, gdyby był poprzestał na lepieniu tych wdzięcznych gracików, które dawały mu skromniutkie utrzymanie i możliwość poświęcania się malarstwu.

Ale i obrazy jego odznaczały się śmiesznie małymi rozmiarami; nie były większe od arkusza kancelaryjnego papieru a panował na nich taki natłok ludzi, sprzętów, zwierząt domowych i różnych akcesoriów, że wszystko to maleńkie zdawało się wyo-



brać jakiś świat zdrobniały karykaturalnie. Tymczasem treścią i manierą, obrazki te przypominały starych mistrzów holenderskich lub malowane sceny jakby powieściowe, najczęściej groteskowe lub satyryczną point'ą natchnione i wykończone z drobiazgową skrupulatnością, nieomal cyzelowane.

Bardzo długo tulały się te płócienka po kątach kunsthändlerów londyńskich, którzy nie mieli interesu faworyzować tanich prac nieznanego malarza-oryginała, upierającego się przy tworzeniu niepokupnych minimalnych obrazów, a nie idącego torami nowoczesnego malarstwa, nie mającego się żadnych „izmów”. Gdy zaś dostąpiły one zaszczytu i zawisły na ścianach w złotym obramowaniu, nikły tam w ciżbie sąsiadów przytłaczających je rozmiarami, przygaszających kolorytem. Nie zwracano przeto baczniejszej na nie uwagi, zwłaszcza, że bajkę ich odcyfrować było można istotnie z pomocą powiększającego szkła.

Kto wszakże zadał sobie ten trud, odkrywał nie tylko bardzo interesującą scenę, lecz wielkie zalety pędzla, dziwował się nad znakomitym, precyzyjnym rysunkiem, nad modelowaniem twarzy albo raczej twarzyczek, subtelnie odzwierciedlających chwilową grę uczuć, nad potężnym wyrażeniem myśli przewodniej. Lecz kunsthändler nie pokazywał tanich obrazków, nazwisko artysty nic nikomu nie mówiło, krytyka milczała jak zakłęta i Mr. Hallward tonął w mroku, jedynie dzięki swym figurkom, mając za co fundować sobie beefsteak, pint cienkiego ale'u i nieco taniego tytoniu do fajeczki.

Aż pewnego razu magnacki adwokat krwi semickiej, nazwiskiem Lewis, fantazją jakąś pchnięty, począł się przyglądać dziełom Hallward'a. Było to siedm grzechów głównych, zobrazowanych w siedmiu rubasznych, całkiem oryginalnie pomysłanych

scenkach z ery królowej Elżbiety i Szekspira. Uśmieł się nad nimi i... kupił je.

Przez pewien czas wstydził się tego, że śmie wprowadzać nieznaną firmę w dystygowane towarzystwo gwiazd artystycznych, reprezentowanych w swem przewspañiałem mieszkaniu. Miał przecież u siebie nad kominkiem płótno Burne-Jones'a miał portret żony swej, malowany przez Sergeant'a! Więc siedm obrazków Hallward'a ukrył wstydliwie, chociaż podejrzewał, że są to istne klejnociki. Wypadkiem zauważył je u niego pewien lord, przyglądał się im długo i wreszcie ku radości adwokata, bąknął jedno, przypuszczenie pana Lewis'a, potwierdzające słowo „extraordinary!” nadzwyczajnie! Odtąd pan Lewis począł chlubić się obrazkami i dawać do zrozumienia, że odkrył nową, wschodzącą gwiazdę. Lord Torrington zaś zlustrował wystawy kunsthändlerów, kupił kilka płócienek Hallward'a i w pewien mglisty dzień marcowy, wybrał się do jego pracowni.

Była to istna wyprawa. Malarz bowiem mieszkał na skrajnej północy miast, na wzgórzystem Hampstead, w jakimś odwiecznym domostwie, ukrytem daleko od większych arterji. Duże, rdzawo-oliwkowe, przez mgły przegryzione cielsko budowli, otoczone było wysokim, omszałym murem i robiło wrażenie czy dawnych więzień, czy też poklasztornego gmachu, w czarnej zadumie pogrążonego. Wśród sąsiadującego z nim pospólstwa przebąkiwano, że tam straszny.

Dwa piętra tej niegościnniej rudery zapełnione były meblami, magazynowanymi przez jakąś firmę spedytorską, poniżej mieściło się mieszkanie stróża i warsztat ciesielski. Opodał, na wybrukowanym dziedzińcu, wznosiła się w dawnym lamusie duża pracownia rzeźbiarska, do której tuliły się dwie zgrzybiałe akacje, a na strychu starego domóstwa, urzą-



dzono kilka pracowni malarskich, z których najmniejszą zajmował Mister Hallward..

Po dłuższych wywiadach w sąsiedztwie lord Torington dostał się wreszcie w obręb ponurych murów i po zaśmieconych schodach wdrapał się na Parnas, albo poprostu na obszerny korytarz, mroczny i milczący. Na najbliższych drzwiach nalepiona była kartka z napisem: Mr. Henry Hallward.

Gdy drzwi te otworzyły się przed nim, ujrzał malarza w stroju zgoła do przyjęcia gościa nieodpowiednim: w niebieskich, żółto kratkowanych kalessonach wełnianych, w rozdeptanych papciach i w krótkim, brązowym kubraku, z którego wynurzał się skrawek flanelowej koszuli. Z księżycowej, nieogolonej twarzy bez zarostu, spozierały na dystyngowanego intruza, duże, ciemne oczy, ogniem djamentów płonące, potężne a jakby nieruchome. Z czerstwego oblicza i z całej tęgiej muskularnej, postaci tej biła nadzwyczajna siła.

Tak pięknie przyodziany artysta trzymał w ręku patelnię, na której czerwienił się pyszny kawał baraniny, Chciał go akurat postawić na ogień, raźnie płonący na kominku, gdzie bulgotały już ziemniaki w żelaznym garnku. Za plecami jego bielił się czysto nakryty stolik z butelką piwa i flakonik musztardowych korniszonów i cebulek. Kąt wysokiego, górą oświetlonego pokoju, zawalony był rdzawą gliną, obok na stole z desek zbitym, widniało kilka niewykończonych cacek. Przysłaniała to trochę sztaluga z niewielkiem płótnem. W innym kącie rozpościerało się żelazne łóże, ręką malarza starannie posłane, pod ścianą ubarwioną szkicami gnomów, sylwów i smoków, ciągnęła się wysłużona otomana, a w pobliżu drzwi znajdował się zbiór starodawnych kostjumów, przyłbic, hełmów, halabard, ryngrafów i broni, częś-

cią rozwieszonych, częścią spoczywających na podłodze.

W pierwszej chwili najwięcej spodobały się dostojnemu wicehrabiemu błękitne kalessony malarza. Szepnął w duszy „extraordinary!” i przemknął niesforny uśmiech, cisnący się na usta, zaczem przedstawił się, nadmieniając, że prosił kunsthendlera, by uprzedził pana Hallwarda o jego wizycie.

— Nie odebrał pan zawiadomienia?

— Odebrałem dziś rano — odparł malarz sucho, nie zdejmując wzroku z pięknej fizjognomji mężczyzny, który z cylindrem i laską w rękę zdawał się królować nad wszystkim, wysoką chudą postacią.

— Przeszkodziłem panu w lunch'u — bąknął lord, rozglądając się dokoła.

— Nie chce mi się tak bardzo jeść. Mogę poczekać — uspokoił go mr. Hallward, odstawił patelnię pod kominek i zdjął z niego garnek, przyczem lord mógł podziwiać potężne jego uda, wystawione na pokaz w całej okazałości.

— Pozwól pan, że zajmę miejsce? — spytał przybysz.

— Owszem — brzmiała lakoniczna odpowiedź i malarz sam klapnął w tandetny fotel trzcinowy, który zaprotestował zgrzytem przeciw ciężarowi.

— Pragnąłbym zobaczyć, co pan przygotowuje dla Royal Academy.

— Dla akademji? Nic.

— Dlaczego?

— Boby mnie tam nie przyjęli.

— Nie sądzę. Takie „siedm grzechów głównych” lub „miłość pierota”, którą nabyłem u Jones'a otworzyłyby panu podwoje tego przybytku z pewnością.

— Ludzie mówią, że to rubaszne, cyniczne... — rzekł z przedziwną obojętnością malarz, naładowując



fajeczkę tytoniem — zresztą takich małych obrazków nikt na wystawie nie pożąda.

— A czemu nie maluje pan większych rzeczy?

— Bo mi to nie sprawia przyjemności.

— Pan tylko robi to co, mu sprawia przyjemność?

— Idę tylko za własnym upodobaniem. Zresztą nie podejmuję się rzeczy, których nie umiem.

— Czy pan nigdy nie malował większych płócien?

— Gdy miałem lat dwanaście, ale to mnie nie bawi. Im mniejsze płótno tem lepiej.

— Pan pragnąłby w obrazku nie większym od asa zamknąć świat cały...?

— Może tak jest istotnie... Rzeczywiście, byłby to kunszt na płótnie wielkości asa...

Błysk łysnął w źrenicach malarza.

— Pan łączy ze sztuką kunszt... Czy pan już od dwunastego roku życia zajmuje się malarstwem serjo?

— Od dziesiątego — rzekł Mr. Hallward, zapalając fajeczkę. — Pod kierunkiem starego malarza, który większą część roku spędził w domu swego ojca, farmera, w hrabstwie Kent. Był to pedagog wyśmienity i człowiek nadzwyczajny. Jemu zawdzięczam wszystko.

— Na czem polegała jego nauka?

— Głównie na tem, że mi codzień przy sztaludze powtarzał: „plaease yourself”, rób jak ci się podoba, ale gdy bazgrałem byle jak, dodawał: „to ci się podobać nie może”, bo jego „plaease yourself” znaczyło także: „rób jak najlepiej potrafisz, a zresztą gwizdź na wszystko“. To był doświadczony i mądry człowiek ten Mr. Clausen.

— Co mi pan pokaże ciekawego ze swych naj-

świeższych prac? — ozwał się lord, rozglądając się tu i ówdzie,

— Nie mam obecnie nic — odrzekł malarz, nie podnosząc się z miejsca, ale lord Torrington sięgnął po obrazek, stojący pod ścianą, wydobyl z kieszeni duże szkło powiększające i począł wpatrywać się w malaturę, mruknawszy:

— Pan pozwoli...?

Rozpoczął tedy przegląd prac. Były tam drastyczno-humorystyczne sceny z komedji Williama Congreve'a z ośmnastego wieku oraz trzy obrazki oryginalnie pomyślanej treści, które wszakże malarz uznał za nie wykończone i nie przeznaczone na sprzedaż. Gdy wicehrabia zapragnął nabyć ilustracje do Congreve'a, Mr. Hallward nie umiał określić ceny, a wreszcie zaproponował, by lordowska mość zapłacił mu od sztuki tyle, co za poszczególne obrazki u kunsthändlera. Lord zgodził się, lecz nadmienil:

— Wyznać muszę, że wszystkie te pańskie prace nabyłem za tanio... Pozwolę sobie przeto dopisać dziesięć funtów szterlingów do sumy, jaką mam panu wyasygnować za te przez Congreve'a natchnione rzeczy.

To mówiąc, sięgnął w zanadrze po książkę czekową i dodał:

— Zapewne nie powiekuje pan tutaj już długo w tych murach. Urządzenie nowej pracowni w okolicy West-end'u pociągnie za sobą wydatki. Może byłoby wskazaniem, gdybym wypłacił panu zarazem tytułem zaliczki jakie sto funtów? Skoro pan wykończy rzecz szczególnie w swem mniemaniu cenną, zechce mi pan dać znać o tem, chociaż ja i tak ośmielę się zajrzeć do pana.

— Sto funtów — bąknął malarz, wyjmując z ust fajeczkę. — Dziękuję. Cóżbym ja z tem robił? I nowej pracowni mi nie potrzeba. Jest mi tu całkiem



wygodnie. A mam dziś kapitał na prawie dwa lata, a nawet na wycieczkę do Holandji.

Wicehrabia, kreśląc samopiszącym piórem czek na nakrytym stole, podniósł głowę i spojrzał ciekawie na tak ładnie ukostjumowaną, dębową postać artysty, zakutego w lodowatą nieczulość.

— Rzeczywiście, nie potrzebuje pan?

— Nie, dziękuję. Mam nadto.

Wręczywszy mu czek i kartę wizytową z swym adresem, lord zaprosił go do siebie na lunch na dzień następny i nadmienił półgębkiem, że pragnąłby, aby Mr. Hallward zapoznał się z wnętrzem jego siedziby londyńskiej i, skoro przyjdzie mu ochota, wyruszył mu zbiorowy portrecik rodziny. Lecz artysta odrzekł:

— Ja nie pracuje nigdy na zamówienia... A, co się tyczy śniadania, to, byłbym u lordowskiej mości krępowany. Dziękuję za zaproszenie, ale, milordzie, pozwolę sobie nie przyjść.

Wicehrabia uśmiechnął się. Nie zraził go odpychający brak uprzejmości, nie mógł zżymać się na niego, jak nie byłby gniewał się na zimny gład za to, że jest gładem. Wszystko bowiem było w tej osobowości faktem kategorycznym, emfatycznym, niewzruszalnym, z którym godzono się bez szemrania.

Jest pan wiernym sobie — rzekł półgłosem — a to zasługuje na uznanie...

Ucisnął jego dłoń i wyszedł, a Mr. Hallward, nie rzuciwszy okiem na czek, zabrał się żywo do zajęć kuchennych.

## II

Mgły wiosenne pograżyły miasto w topieli szaroty, nie nabierającej już wszakże, jak jesienią i zimą, owych ceglanych albo wręcz czarnych tonów, które gaszą dzień i oddają panowanie nocy, urąga-

jącej wszelakim światłom ulicznym. Lekkie, popielate tumany kadzidel wilgotnych wznosiły się z niżej położonych dzielnic ku wyżynom sielskiego Hampstead'u, po których chadzała już wiosna, seledynowe rozkładając kobierce i rozsiewając po nich barwne centki i złote gwiazdy kwiateczków. Słońce stało jeszcze wysoko, ale mgławica, rozpościerając na szyby pracowni szarą gazę, sprowadzała przedwczesny wieczorowy nastrój.

Malarz spoczywał na otomanie z fajeczką w zębach. Oddawna pokutowała mu po głowie myśl stworzenia kilku obrazków, wyrażających po malarsku, w przeciwstawieniu do jego „siedmiu grzechów głównych“, kardynalne cnoty. Ale nie umiał ich nazwać.

Cztery cnoty proklamowane przez nadczłowieka Nietzschego, sprzeczały się z tradycjami chrześcijanina, w głębokim poszanowaniu biblii wychowanego, jednakże wybitny jego indywidualizm popychał go nie tylko do sceptycznego traktowania grzechów głównych, ale kazał mu poszukiwać „cnót, które w jego swoistem pojęciu powinny uchodzić za cnoty. — Z Nietzschem godził się tylko w uznaniu męstwa za jedną z cnót kardynalnych, lecz i dla męstwa nie miał jeszcze skryzlowanego wyrazu artystycznego.

Gdy, tak rozmyślając, leżał bez ruchu, wsunęła się do pracowni stróżka, raz w tydzień uprzątająca ją radykalnie i wręczyła mu liścik od rzeźbiarza, który służył swej muzie w dawnym lamusie.

Mister Dudley Grafton pisał, że modelka jego, Miss Gladys Hopc, pragnie mu podziękować osobiście za uprzejmie jej przysłane figurki z terrakoty i zapowiadał wspólną ich wizytę na godzinę szóstą. Że Gladys była kochanką eleganckiego Graftona, nikt nie wątpił.

Hallward podniósł się żywo z legowiska.

— Niechno pani słucha, Miss Smyth! — zwrócił



się do stróżki. Najpierw niech pani powie panu Graftonowi, że oczekuję Miss Hope i jego. A następnie pospieszy pani po babkę do herbaty i po cukierki. Ile mogą kosztować? Nie wiem, Niech pani kupi za pół gwinei. A tu szyling za fatywę dla pani.

Z widocznym zdumieniem przyjęła stróżka ten wybryk rozrzutności artysty który nie wydawał więcej nad trzy sowereny miesięcznie, sam uprzątał, sam buty czyścił i gotował.

— Patrzy pani na mnie, jak na warjata! Tak, Miss Smyth, jestem djablo bogatym. Tu jeszcze szyling dla pani na piwo! Teraz pani uwierzy, żem Rothschild.

Baba wycofała się, unosząc poważanie dla talentu malarza, którego dotąd poczytywała za półgłówka, malującego obrazy dla dzieci i lalek.

A on rozniecił na kominku ogień, mający nadać pracowni sympatyczniejszy wygląd, nastawił wodę do herbaty, nakrył stół najładniejszym swym obrusem, i począł rozwieszać starodawne kostjумы szable, kaszki i czapki. — Nadto wydobył ze skrzyni srebrnobłękitną tkaninę indyjską, skrawek złotego brokatu z złototitej materji i porozmieszczał to efektownie nad otomaną. pokrytą teraz w części barwnym szalem orjentalnym, przytwierdził szmat ciemno-purpurowego, złotem obrzeżonego aksamitu hiszpańskiego a tajemniczym emblematem w pośrodku, wyobrażającym złote widły Posejdona. I żałował, że nie kazał przynieść z miasta kwiatów.

Aby pójść po nie samemu, nie było już czasu, gdyż dochodziła szóstka i za chwilę mogła wejść Miss Gladys, dla której przeprowadził tę metamorfozę w pracowni,

Grafton, lubo okrom sztuki, nie miał nic wspólnego z tym pustelnicznym człowiekiem swojskiego chowu, zaglądał do niego niekiedy, by obejrzeć jego

prace, dla których miał w głębi wiele więcej uznania niż dawał to poznać. Był to łagodny, bardzo elegancki człowiek o manierach bardzo dandysowskich, doskonale wysportowany, dobry krykiecista, trochę hulaka w lepszym guście, a jednocześnie utalentowany, pracowity i ambitny. Mówiąc o nim dodawano: „wystawia w akademji”... i powszechnie wrószono, że wkrótce wejdzie w poczet członków tego dostojnego instytutu. Modelka jego, którą Hallward spotkał dwa razy przy wspólnym lunch'u u rzeźbiarza, nie przestąpiła jeszcze jego progów.

A opanowała ona umysł Henryka tak, że nie mógł uciec od wizji tej miniaturowej dziewczyny. Nieraz, gdy zamknął oczy, by medytować w skupieniu nad cnotami, pojawia się przed nim mała, maleńka Gladys w postaci marmurowego sylfu, tak, jak wyrzeźbił ją Grafton — cudna w skończonej harmonji dziewczyczych kształtów, dziecię w wyrazie misternie cyzelowanej swej twarzyczki, z wężłem rdzawo złotych włosów i motylem, uwisłym nad czołem gwiazdzistem.

Rzeźba splotła się w rojeniu z rzeczywistością, zachwył nad udatnem dziełem sztuki zmącił się z bezwiedną miłością. Hallward rozczulił się w myślach nad maleńką, abalastrową jej rączką, jakby nad zgola nieprawdopodobnem arcydziełem, nad marmurową białością jej ciała, nad fiołkowym zapachem jej chabrowych oczu, nad złotem przetkanemi i luną pożarną podpalonemi włosami a szczególnie, że była tak mała, taką powiększoną dziewczynką, zgrabną jak wartalka i pszedziwnie naiwnie dziecięcą, jak cnota.

Wyprosił od Graftowa fotografię rzeźby i w ostatnich dnia zajmował się jedynie lepieniem figurek owej sylfidy drobnej, owego zjawiskowego cacka, bytującego w jego wyobraźni gdzieś między baśnią a jawą, między baśnią a jawą między poezją a pro-



zą. Gdy nie miał jej przed oczyma pieścił wrażenie, że ona istnieje wyłącznie w eterycznej sferze złudy, w srebnym śnie. I teraz zdawało mu się, że ona nie wejdzie po schodach jak śmiertelnicy, lecz opuści się z rosą operlonej łodygi gigantycznej paproci — naga, jak rzeźba i lekka, nieuchwytna, jak motyl na czole. Że zstąpi w kadzielne zmroki mgły londyjskiej nie tyle dla tego, by cisnąć w nie snop słońca i uradować swem zjawiskiem oczy jego, takie gburowate chama, takiego tura, niedodnego obcowania ze śliczną sarenką, lecz w tym celu, by, tchnąwszy iskrę swego życia w jego gliniane figurki, poigrać w ich kolisku, pośmiać się w płasch, rozwinąć tęcze wdzięków w korowodach.

Tak ją widział, tak malował w myśli na płócienu, oplatając całe taneczne koło girlandą storczyków leśnych. Nad zespołem chochlikowatych jego gnomów, nad głową ich życiodajnej królowy unosiła się niby pęk kwiatów, chmurka różnobarwnych motyli, wesolych, płochliwych. Ale Henryk nie rzucił się do zrealizowania tego obrazu, gdyż pieśzcotliwe modelowanie figurek sylfidy sprawiało mu przyjemność, jakiej nie obiecywało malarskie traktowanie jej postaci. Operując dłutem, wyczuwał piękno jej kształtów i linii, niejako dotykał jej buzi malinowo-alabastrowej.

Wykonał kilka takich dekoracyjnych cacek i gdy, siedząc na herbatą, modelka swym srebnym szczebiotem napełniała pracownię niby rozśpiewany kanarek, Henryk postawił przed nią jedną z najudatniejszych figurek bez słowa.

Niespodzianka ucieszyła ją ogromnie; wszelkie objawy hołdu dla swej urody przyjmowała wdzięcznym sercem. Poczęły się szczegółowe oględziny figurki, przyczem Gladys ozwała się do rzeźbiarza:

— To będzie dla ciebie, Dudley, dobra reklama!

Bo przypuszczam, że pan Hallward odda kilka tych figurek do wielkich magazynów... Wystawi mnie na sprzedaż?... No Dudley, jeśli twoje dzieła pojawiać się zaczną w reprodukcjach na biureczkach dam, wkrótce będziesz sławny. Bez pomocy kobiet nikt chyba jeszcze sławnym nie został. Ja dla przysporzenia ci sławy, rozbieram się i wystawiam, a pan Hallward dłubie wykałaczką w glinie. Oboje pracujemy dla twego dobra, dajemy ci tytuł i prawo do zadzierania nosa nad innych artystów. Będzie to dzisiaj kosztowało. Zabierzesz nas do Music-hall'u na ową nową pantomimę, a przedtem na obiad do Gatti'ego. (Zapowiedziałam w domu, że mam posiedzenie artystyczne). Nie mów: „Nie!” Dudley. Nie idziez nigdzie w towarzystwo na flirtowanie. Nie pozwolę ci. I tak za wiele daję ci wolności. Mężczyzna musi chodzić w chomontach, w przeciwnym razie wykoleja się.

Grafton rzadko przychodził do głosu, a malarz nie ośmielił się wcale odzywać, dość było mu zachwycać się maleńką istotą, która snadnie przegadałaby najtęższego i — może obwinęła sobie w koło palca.

Wieczór upłynął im według programu modelki. Henryk, który nigdy w życiu nie wtargnął do tak wspaniałej restauracji, gdzie goście nie wyłączając Graftona i Gladys, byli w wieczorowych tualetach, dał się tam zawieźć jak obłaskawiony zwierz.

Odtąd nawet jawił się dość często około jedenastej wieczorem w nowej, na modę niemiecką urządzonej kawiarni West-end'u w której Grafton, najczęściej z swą Gryzetką, spotykał się z kilku młodymi artystami i literatami.

Dla lokalu tego, odbiegającego całkiem charakterem od starobrytyjskich barów, obwieszanego tandetnami, zlocistemi festonami, upstrzonego świeci-



delkami, pretensjonalnego, a niesmacznego, nie mieli oni wszyscy dość słów pogardy, jednakże uczęszczali do niego przez wzgląd na orkiestrę, wygrywającą urywki z oper i walczyki i to na życzenie bardzo między nimi popularnej Gladys. Milczący, nieoszlifowany Hallward nie licował z wesołym kółkiem, ale tolerowano go z łaski modelki, wyczuwającej w nim instynktownie szczerego wielbiciela.

Pewnego dnia, idąc pod wiecór po zakupy kuchenne, Hallward spotkał na obmurowanym dziedzińcu rudery małą Gladys, wychodzącą z pracowni rzeźbiarza. W żółtawym, przez krawca skrojonym kostjumie, w słomkowym kapeluszu chłopięcym, przedstawiała się tak zgrabnie, jakby zdjęta z żurnalu. Ale malarz spostrzegł, że miała zapłakane oczy.

— Mr. Hallward... Dokąd pan idzie? — spytała go.

— Kupić coś niecoś na kolację.

— No, już mnie pan tu nie zobaczy więcej. Ani w kawiarni. Skończyło się... Nie zobaczę się z Graftonem. Teraz wiem jak on mnie haniebnie zdradzał! Z tą podłą Amerykanką, panią Meyrick, dwa czy trzy razy rozwiedziona. Przyjechała teraz do Europy, aby tu ludzi wodzić na manowce i rozwodzić. Podła lafirynda. Może sobie ona zatrzymać całego Graftona. Odstępuję jej go z całym inwentarzem. Ah, ten nikczemnik!...

Tak wylewając swe żale w mnogich słowach stała w bramie obok malarza, jak kwiat przy potężnym drzewie.

— Musi pani starać się być znów szczęśliwą — rzekł na to wszystko pan Hallward. — Bo pani jest do szczęścia stworzoną.

— Ja już nie będę szczęśliwą — odparła bezymyślnie.

Gladys po zastanowieniu zagadnęła.

— A pan do czego stworzony?

— Do niczego, do malowania małych płócien.

— Ani do szczęścia, ani do nieszczęścia? Czy pan nigdy nie był szczęśliwym?

— Nie. Ja wyznam pani Miss Hope, że nie pragnę nawet być szczęśliwym.

— Dlaczego?

— Bo jeśli kto nie jest do szczęścia stworzonym, a sięgnie po nie, to za karę odwraca się ono w nieszczęście.

Gladys milczała przez chwilę, nie wiedząc co odrzec na oryginalne to twierdzenie.

— A coby pan nazwał szczęściem? — spytała wreszcie.

I teraz z kolei zamilkł malarz.

— Nie chce mi pan powiedzieć. Niech mi pan mówi! Koniecznie. Pragnę wiedzieć... Do tell me!

— Well!... — wycedził malarz, osiągając się i urwał.

— Niech mi pan powie! Co dla pana byłoby szczęściem?

— Gdybyś pani była moja...

— Ach, domyślam się tego! — wybuchnęła Gladys z serdecznym uśmiechem i patrząc mu w oczy bystro, rzekła: Co by pan ze mną począł? Czyba uwiesił mnie jako brelok przy zegarku?

— Nie mam żadnego breloka u zegarku, więc... Dziewczyna śmiała się w głos.

— Więc ja panu daruję jaki breloczek, ha! ha!... Do widzenia, Mr. Hallward, do widzenia. Niech się pan nie gniewa, ale to takie zabawne!...

Rzuciła się pospiesznie ku nadjeżdżającemu omnibusowi.

Odtąd mr. Hallward nie pojawił się w kawiarni. Pocóż miał tam chodzić, w koło światowców, z jakimi nie umiał się zharmonizować, jeśli nie ujrzy między nimi małej sylfidy?



Pędził dni w samotności, ale tęsknił za widokiem chochlika, co wniósł nutę niepokoju w sferę jego myśli. Tęsknił za nią, chociaż miał wrażenie, że ona nie istnieje w obrębie świata ludzkiego, tęsknił jakby za gwiazdką mrugającą na firmamencie.

Opuścił go zapal do pracy, a, że wiosna zakręlowała na podmiejskich błoniach, więc wychodził na długie spacer, siadał w starodawnym, podaniem historycznym owianym barze „The Spaniards” nad szklanką piwa i tak w obliczu rozległych, zielonych przestrzeni, spędzał nieraz godzinę z fajeczką w ustach.

Ale w tydzień po rozmowie z modelką, gadatliwa stróżka, uprzątając jego pracownię, poczuła się do obowiązku podzielenia się z nim wiadomościami, dotyczącymi nielicznych lokatorów rudery i w ciągu swej opowieści mówiła poufnie:

— Coś panu powiem... Między panem Graftonem, a jego panną, cosik się zepsuło, bo nie była u niego przez cały tydzień... Nie dziwota. Taki sztywny kawaler niemałą ma biedę, by się kobietom opędzić. Czasem się nie uda opędzić... Niejedna na niego parol zagięła i to większa od Miss Gladys. Ale ta pestka dziś się znowu znalazła. Nie wiedzieć, co między nimi zaszło... Pan nie słyszał?... Muszę podpytać pana Graftona. On jednak lubi te okruszyny, choć to jeno próbka niewiasty, którą można pocztą w świat posyłać, tak jak kupiec „próbkę bez wartości”.

Wskutek tej wiadomości, malarz wybrał się następnego wieczora do kawiarni, by ujrzeć małą modelkę. Został tam przy stole, przy którym zwykle zasiadało to kółko, tylko młodego ilustratora pana Hicks'a, w oczekiwaniu przyjaciół, oprawiającego pracownicę swe paznokcie.

Dopiero około północy ukazał się w głębi dość

pustej sali Grafton z dwoma towarzyszami. Na moment zatrzymali się u wejścia, poczem rzeźbiarz ruszył przodem, niby wódz na czele legji. I jakiś dziwny uśmiech igrał na wygolonej, ładnej twarzy smukłego, elastycznego bruneta.

Malarz zauważył tylko, że nie było małej Gladys.

Rzuciwszy ponad jego głowę powitanie panu Hick'sowi, Grafton zajął miejsce naprzeciwko Hallward'a i zamówił u garsona whisky. Nim je przyniesiono, trzej przybysze rozmawiali między sobą żywo, z pewnem nerwowem podnieceniem, na Hallward'a żadnej nie zwracając uwagi.

Gdy stanęły przed nim szklanki i syfony, rzeźbiarz, dolewając sobie wody do starki, począł do pana Hicks'a z chmurą na czarnych brwiach i sardonicznym grymasem na licach:

— Przytrafiła mi się... historia, z której jak z bajki możnaby wyciągnąć moralną naukę, a mianowicie, by nie wchodzić w komitywę z byle kim, nie nawiązywać stosunków z nieokrzesanymi gburami z pod ciemnej gwiazdy czy z pod zdechłego śledzia. Dopuściłem do swego towarzystwa takiego draba — cędził Grafton jak najdobitniej — raz nawet odwiedziłem go wraz z Miss Gladys, pomąciło nam się od tego w głowie. Pozwolił on sobie za memi plecami na jakieś niedźwiedzie umizgi do niej, gorzej, nawet wystąpił jako kandydat na jej kochanka! Taki cham!!!

Zachichotał przybłady, a pan Hicks, poczynając wyczuwać w powietrzu elektryczność, bąknął pod nosem półtonem:

— Niemiła rzecz...

— A to jakiś obcesowy, bezczelny łobuz z czełści Whitechapel'u! — zawołał młody literat, Mr. Cleve, serdeczny Graftona przyjaciel, jakby teraz dopiero postłyszawszy o tej sprawie.

— Co za uchybienie dla Miss Gladys! — zasekun-



dował drugi satelita rzeźbiarza, Mr. Adams, niechętnie odnoszący się do obrazków i osoby Hallward'a.

— Musisz mu dać pożądaną naukę raz na zawsze, Dudley! — rzucił Cleve z przekonaniem.

Wszyscy raz wraz muskali spojrzeniami twarz Hallward'a, która zgoła żadnego nie wyrażała uczucia. Skamieniał w obojętności, Zdawać się mogło, iż nie należał do towarzystwa, nie słucha i nie słyszy.

Ani muskuł nie drgnął w księżycowym, mięsistym, czerstwym jego obliczu, ani najmniejszym gestem, nie zdradził, co się w nim dzieje. Z przedziwną flegmatycznością wpychał grubym palcem tytuń w fajeczkę. Słowa Graftona i innych padały przed niego, niby syczące wybuchowe lonty, lecz nic nie mogło zapalić w nim iskry ludzkiej wrażliwości. Istny głaz.

Szturmowali do niego jadowitemi pociskami, kłuli go szpilkami, wyzywali go na rękę.

— Jak się zowie ten hotentot zakazany? — pytał usłużny Cleve.

— Taki okaz rozpoznasz na pierwszy rzut oka! Coś między niedźwiedziem a zatyłem w bezmyślności zwierzęciem ludzkim — mówił Grafton.

— Istotnie takiej bestji należałoby podbić oko kuliakiem, nacechować go niebieską plamą — sądził pan Adams.

Tymczasem p. Hicks oglądał się za swoim paltem i kapeluszem niespokojnie. Raptem zerwał się.

— Czas na mnie wielki! Nie przyłapałbym ostatniego mego omnibusu. Dobranoc!

Uciekł, a Grafton rzekł:

— I my pójdziemy, ale nie bez ciąłem tu obecnego pana Hallwarda.

— Ha, ha, domyśliłem się, że to o nim mowa!

— Zakała świata artystycznego! syknął p. Adams. Nic. Hallward, jakby całkiem ogłuchły, wodził

obojętnem spojrzeniem po ścianie, puszczając maleńkie kłęby dymu.

Na chwilę lodowata jego martwota zamknęła usta sprzysiężonej trójce. Wreszcie Grafton zwrócił się wprost do niego z wojowniczym zacięciem:

— No rozprawimy się z sobą! Idzie pan z nami?

Nie było odpowiedzi. Kamień nie drgnął, nie przemówił.

— Dajmy mu lekcję boksowania, ha, ha — zaśmiał się Cleve i wszyscy trzej podnieśli się z krzeseł, ciekawi, co pocznie Hallward.

On powstał z miejsca, włożył wytarte swe letnie palto i poszedł za nimi, trzymając się w ich pobliżu.

Życie nocne Londynu gasło w kipiącym rozhorze ulicznym. Zamykano bary i restauracje, garstki splełanych sylwetek wylegały na chodniki, jakby z paszczy wyrzucone, samochody i pojazdy dudniły, przebiegając sznurkiem arterje, wpadając z poświstem w przecznice, roznosząc w głąb miasta echa nerwowego tetna teatralnej dzielnicy. Miejscami fale przechodniów zlewały się w gęste rzesze tworzyły chwilowy zator i znów rozsnuwały jak przedza w zygzaki.

Tymczasem w sąsiedztwie zgiełkliwego, wielkomiejskiego świata panowała już cisza nocna. W okolicy hal targowych i wielkiego teatru operowego Covent Garden, milczenie w kiry odziane chodziło po ubogich uliczkach i małych, w czworoboki ponurych domostw wtulonych skwerach. Na oknach wisiła ciemnica, skąpo rozmieszczone latarnie, skąpymi plamkami światła rozświetlały mroki zacichłej, uśpioonej przystani proletariatu. Nie wpadał w te pieczary ni odzew mamrotów zanikającego wieczora wszechświatowej metropolji.

W senną, czarną toń tej dzielnicy wtargnęły cztery męskie postacie i przystanąły pod latarnią,



stróżującą nad okoloną sztachetami murawą pięknego skweru.

— No, Mr. Hallward, zabierajmy się do pracy! — rzucił junacko rzeźbiarz, szukając oczyma baryłkowej sylwetki malarza, który zawiesiwszy na żelaznych sztachetach swe palto, zabierał się do zdejmowania surduta.

— Będzie pan miał do czynienia z nami trzema! — cisnął mu Cleve, jakby rozbawiony,

— Owszem... — bąknął od niechcenia Hallward i było to pierwsze słowo, jakie posłyszano z ust jego tego wieczora.

Trzej przyjaciele zamienili między sobą krótkie zdania. Jeden z nich proponował, by ciągnąć węzółki, kto pierwszy ma zmierzyć się na kułaki z Hallward'em, Grafton zaś uważał, że ma prawo pierwszeństwa. Wmieszał się w ich głosy nagle podniesiony organ Hallwarda.

— Możecie wszyscy trzej uderzyć na mnie jednocześnie — oznajmił im z uroczystym spokojem.

Stał o kilka kroków od sztachet bez surduta, odwijając sobie po łokcie rękawy koszuli i ciągnął:

— Ale zbierajcie się żywo, bo ja nie myślę bawić się z wami długo po nocy.

Przycichli, padło na nich jakieś zastanowienie. A, zanim Grafton wysunął się na ich czoło, Hallward ozwał się jeszcze metalowym dźwiękiem:

— Daję wam trzy minuty czasu... Jeżeli nie opróżnicie placu, to ja sam na was uderzę...

Na to pan Adams począł coś mętnie przekładać, że na takich warunkach nie można stoczyć bokserskich bojów i byłby jeszcze bełkotał długo, gdyby nie przerwał mu komandorski głos Hallward'a:

— Trzy minuty upływają... Pytam się was: Jesteście gotowi?

Nim padły te słowa, pan Adams, szarpnąwszy

za ramię literata, cofnął się i znikł niepostrzeżenie w ciemnicy. Poczem Cleve pociągnął Graftona tak silnie, że obaj zatoczyli się pod sztachety.

— Ty nie będziesz potykać się tutaj z tym chamelem!

Lecz Hallward doskoczył do nich elastycznie, zatrzymał się przed nimi murem — wspaniały ze swą napiętą muskulaturą ramion zapaśnika, ze swemi potężnemi, prawidłowo do walki wzniesionemi pięściami z wyprężonym torsem gladiatora.

— Chodź stąd!! — wybełkotał literat na ucho przyjacielowi.

Ośliznęli się obydwaj po sztachetach wstecz, a skoro Hallward postąpił ku nim krok jeden i drugi gromiąc ich, waląc w ciemność wrażeniem zwycięskiego boksera — ustąpili znów, rejterowali i unosząc na ramieniu palta i surduty, przepadli w topieli nocnej.

Malarz zaś odsapnął przez nozdrza, niby smok ogniem bryzgający, stał chwilę bez ruchu i wkrótce oddalił się spokojnym krokiem.

#### IV.

W pewien czerwcowy przedwieczór Mr. Hallward pakował nieco manatków w tanią, ręczną walizkę. Wybierał się na kilka dni do Holandji, by nakarmić się widokiem dzieł dawnych mistrzów niderlandzkich, pomówić językiem artystów z duchem swych protoplastów.

Przez szczytową szachownicę szyb lały się strumienie słońca, wypełniały pracownię morzem roztopionego złota.

Raptem zapukano do drzwi samotnika i w ton poświaty pojawił się uśmiechnięty chochlik — nieoczekiwana Miss Gladys z piękną różą u białego sta-



nika, z którego wyrastała w marmurze rzeźbiona szyjka.

Henryk oplótł zjawisko zdumionem spojrzeniem.

— Nie oczekiwał mnie pan...? — zadzwonił wesoły głosik. Tak, to ja, Gladys, ha! ha! Rzeczywiście! Przybywam, by uściśnić się z przyrzeczenia... Przynoszę panu obiecany wisiorek do zegarka, ha! ha! Wie pan jaki?... Siebie...

Fala śmiechu rozlegała się w pracowni, a jemu wydawało się jeszcze, że klejnocik — sylfida spłynęła po promieniu słonecznym na skrzydłach rajskiej ptaszyny, srebrzystym świergotem wnoszącej w niego jaśń radości.

— Pan wybiera się gdzieś w podróż? Dokąd?

Do Holandji — odparł malarz, całkiem nie wiedząc jeszcze, co ją sprowadziło.

— Niech pan włoży na siebie surdut i siada obok mnie na otomanie — zakomenderowała. — Nie byłam pewną czy zastanę pana jeszcze w tym starym gmachu. Sądziłam, że pan zajmie teraz inną piękną pracownię, bo podobno obrazki pańskie wchodzi w modę. Zarabia pan wiele. Prawda?

— Więcej, aniżeli potrzebuje.

Wrzuciwszy na siebie płócienną bluzę, zajął miejsce na skraju otomanki i nie zdejmował oczu z pięknej dziewczyny, opromienionej uśmiechem.

— Tak pan patrzy na mnie! Czy mnie pan nie zna? Czy mnie pan nie kocha? Tego do prawdy nie wiem. Kocha mnie pan?

Z modrych źrenic strzeliło w twarz wielkie zapytanie.

— ... Może kocham?

Ja pana bardzo lubię. Wierzę, że pan jest wyjątkowo dobrym człowiekiem, czy tak?

— Ludzie nie są ani dobrzy, ani źli, my ich tylko tak nazywamy, jak mówi Szekspir, stosownie

do tego, czy odpowiadają naszym życzeniom i interesom.

Wierze, iż pan jest dobry. To mnie ośmieliło i przysłałam z zapytaniem, czy pan chce mnie poślubić?

— Poślubić? Nigdy nie myślałem o małżeństwie

— Ależ do tego nie jest koniecznym myślenie. Lepiej nawet nie myśleć. To i tak przychodzi i po ślubie zwykle zbyt wcześnie. Jeśli pan mnie istotnie kocha, to otóż jest okazja.

— Co panią do tego kroku spowodowało? Czy pani nie kocha Graftona?

— Ach, Grafton! — wyrzuciła Gladys i frunął uśmiech z jej lic. — To się skończyło... na zawsze tym razem. Istotnie na zawsze. On wyprowadził się stąd, wyjechał, czy wyjeżdża wkrótce. Słyszał pan, że, mianowano go „associate” królewskiej akademii sztuk, a może i to, że zaręczył się z bardzo majątną panną. Podobno wynajął już wspaniały dom w dzielnicy Kensington z bajeczną pracownią w ogrodzie. Puściłam go. Nie mogłam go już kochać, nie kocham. Z małżeństwem mi się nie spieszy, co prawda. To wątpliwy interes. Czytał pan w „Daily Telegraphie”, jakie ze strony mężatek nadeszły odpowiedzi na kwestję, czy małżeństwo daje kobiecie szczęście? Nie? To niech pan czyta. Ogromnie ciekawe. Gdyby mi chodziło o ślubną obrączkę, mogłabym mieć ją bezzwłocznie. Nie na dwa dni, od soboty do poniedziałku na czas wycieczki do Brighton lub Margate, ale naprawdę. Kocha się we mnie szalenie nie od dzisiaj pewien bardzo zamożny i przyzwoity kupiec. Piękny ma sklep. Robi arcydystyngowane wrażenie, istny dżentelman. Ale go nie kocham. Kramarstwo mi nie pachnie, a głównie... Mniejsza. Nie kocham go i basta. Lubię sztukę... Czy pan wykoń-



czył jeszcze więcej owych figurek mnie wyobrażających.

— Wykonałem kilkanaście. Dwie najładniejsze zachowałem, reszta poszła do magazynów.

— I kupują je ludzie?

— Mógłbym zbyć tam natychmiast nie wiem ile jeszcze tych figurek. W jednym wielkim magazynie... u Whiteley'a...

— Ah, to i tam są te figurki! — ucieszyła się Gladys-

— Są. Chcieli tam zamówić u mnie dwa tuziny.

— Więc czemu pan nad nimi nie pracuje?

— Nigdy nie pracuję na komendę mamony. Odmówiłem. Dość figurek. Wymalowałem panią teraz na obrazku.

— Gdzie? Niech pan pokaże! — wybuchła głodna holdów kobieta.

Z głośnym zachwytem oglądała minjaturową, alabastrową dziewoję o jasno-rdzawych włosach, która wpleciona w płasające groteskowo na murawie koło brodatych gnomów, pokracznych karzełków i żab, ujawniała swe nagie kształty we wdzięcznych podrygach i śpiewała z zacięciem bachantki. Królowa nad lilipucio-fantastyczną czeladką względnie wysoką postacią i pięknnością niewieściego cacka pod baldachimem fruujących motyli.

Była to „Wiosna”.

— Ach, jak jestem duża, a jednak jaka mała! — zaśmiała się Gladys. — To ślicznie! Szkoda że obrazek taki niewielki. Dlaczego nie większy?

Ja nie lubię wielkich rzeczy. Ani wielkości... bo zbliska okazują się one małością.

— Dlatego mnie pan kocha, że jestem tak drobną!... Urodzony model do małych obrazków, ha! ha! Jestem dla pana przeznaczoną. No, może pan

otrzymać ten model, o ile pan zechce poślubić mnie w najbliższym czasie. Czy pan gotów?

— Jestem gotów — odparł bez wahania malarz, jakby na najprostsze pytanie.

— A zatem ślub weźmiemy w przyszłym miesiącu i wyjedziemy gdzieś nad morze. Najlepiej do Boulogne. Bardzo lubię Francję. Naturalnie pracownię tę odda pan niezwłocznie, a wróciwszy, wynajmiemy sobie jakiś skromny „flat” z pracownią, albo jeśli by to wypadło nam za drogo, jakiś miły domek w dalszych stronach miasta. Wszelako nie na takim przedpieklu jak to atelier. Utrzymanie moje nie będzie pana kosztowała wiele, jednakże musi mi pan dawać tygodniowo funta na moje wydatki. Najmniej funta.

Wszystko to wygłosiła mała Gladys niejako programowo bez namysłu, zdejmując delikatną rękawiczkę.

— Nie posiadam wielkich rzeczy... — bąknął malarz.

— Ale musi mi pan dawać funta tygodniowo na stroje i bagatele. Ślub weźmiemy w kaplicy Weselejańskiej. Zgoda?

— Nie mam nic przeciw temu.

— Więc zgoda! Jesteśmy narzeczeni.

Wyciągnęła doń pachnącą rączkę i gdy uściśnęła ją serdecznie, rzekła:

— Teraz możesz mnie pocałować Henry!

Ale on nie śmiał. Wykonał ramionami w powietrzu ruch jakiś dziwaczny i wrócił do pierwotnej pozy.

— Nie obawiaj się, Henry, nie rozłupię się pod całusem w kawałki! — zaśmiała się i raptem skoczywszy, zarzuciła mu ramionka na szyję i musnęła jego policzek całusem.



On zaś pocałował ją za to w rączkę, nic nie mówiąc.

— No, czy jesteś szczęśliwym? — zagadnęła go ubawiona, próżno starając się wyczytać cośkolwiek w jego rysach.

— Jestem—wyszeptał kamienny człowiek.

Przychodząc zaraz do spraw bieżących, Gladys zaproponowała, by odprowadził ją do domu i przy tej sposobności przedstawiał się jej matce, emerytowanej wdowie po urzędniku pocztowym. Gdy okazało się, że Henryk nie miał ochoty składać wizyty, narzeczona zwolniła go od tego, zaznaczywszy, że przed ślubem wypadnie mu jednak wstąpić do matki jej na chwilę, by mogła się przekonać naocznie, że znalazł się „wielki człowiek dla jej małej córki”.

Pierwotnie Gladys, złożwszy odnośny egzamin, pracowała w biurze pocztowym w głębi pewnego wielkiego handlu korzennego, zarabiając tygodniowo 30 szylingów. — Uchodziła za bardzo zdolną i inteligentną dziewczynę, lecz roztrzepaną i myślami wybiegającą poza swą sferę. Wówczas poznała ponętneho Graftona, który często i długo kupował tam marki pocztowe, aż przyszedł raz po nie w chwili zamykania biura. Nie dostał już marek, ale odprowadził Miss Hope do domu,

Było to przełomowym momentem w jej życiu. Wkrótce wprawdzie Gladys zaręczyła się z młodym rachmistrzem bankowym z City ale pewnego dnia rzuciła niespodzianie swój urząd, którego miała się wyrzec dopiero przed ślubem, a jednocześnie znikła z domu matczynego.

Po wymianie listów z matką, zjawiła się u niej wreszcie. Słabowita kobieta tęskniła za córką tem więcej, że opuścili ją obydwaj synowie, odpłynawszy do Transwaalu. Nastąpiła scena tak czuła, że Gla-

dys osiadła znów w dawnym gniazdku, gdzie osobi-  
stej jej swobodzie nic nie zagrażało. Jak Hallward  
stosowała na swój sposób dewizę: rób, co się tobie  
podoba.

## V.

W tym wypadku Gladys nie uciekła narzeczonemu przed ślubem. Nie z jej winy. Prostu nie miała w odwodzie Graftona. A więc ślub odbył się w końcu czerwca i wszystko potoczyło się biegiem przepisany przez małą panią Hallward. Młoda para wyjechała do Boulogne-sur-mer, poczem roznieciła ognisko domowe w stereotypowej, małej willi londyńskiej w labiryncie zachodniego Hampstead'u.

W nowem stadle harmonja istniała taka jakby między małżonkami wzajemnie się nie kochającymi. A opierała się na głębokiem obopólnem poszanowaniu indywidualności, swoich upodobań i nawyknień: Henrykowi wolno było dysponować i gotować niewybredne potrawy, jakich Gladys nie brała w usta, kopicie fajkę, nie przyjmować zamówień na obrazki, o jakie dopominali się handlarze, coraz to wyższe ofiarowując ceny. Gladys zaś mogła bywać w teatrach i odwiedzać przyjaciółki, nie krępując się małżonkiem. Służył on za wygodny mebel, za fotel, nie zawadzający jej bynajmniej. Jednakże, korzystając ze swobody jako rzeczy przysługującej każdej angielskiej kobiecie, Gladys, nie nadużywała jej. W dni słotne lub mgłą zasnułe nie wychodziła z domu. Wstawiała późno, ubierając się długo, nuciła operetkowe arje, potem syzła i wczytywała się pilnie nie tylko w powieści ale i w rozprawy dotyczące sztuk pięknych, któremi zajmowała się coraz serdeczniej.

Tak minęła zima i wiosna i gdy począł się sezonowy ruch artystyczny. Gladys zwiedzała niezmor-



dowanie pokazy obrazów, znała wszystkie wybitniejsze dzieła na wystawie królewskiej akademii i rozprawiała o nich z olśniewającą erudycją.

Na wystawie tej figurowała oprócz dwóch innych prac Hallwarda jego „Wiosna“. Zrazu malarz wzbierał się przed wdzieraniem w progi akademii, wkońcu jednak uległ namowom swego wiernego a dyskretnego opiekuna, lorda Torringtona i żony, która pragnęła „być wystawioną“.

Gdy ujrzała „Wiosnę“ na ścianie dostojnego przybytku muz, ucieszyła się bardzo w swej polaskotanej próżności. Obrazek przypominał jej płótna francuskie Lancretów i Fragonardów, chociaż mimo to posiadał wszystkie swoiste cechy swego twórcy, a mianowicie przypominał „jej występy“ w tych salach — główkę malowaną przez Adamsa oraz powszechnie podziwianą rzeźbę sylfidy.

Grafton? Rzeźbiarz wystawił tam wielką ambitną a korzystnie umieszczoną pracę w gipsie: „Fantazję“, którą wszakże przyjęto dość chłodno. Gladys wiedziała o tem i — radowało ją, że odkąd inna przyświecała mu gwiazda, zeszedł na niższy stopień doskonałości. Każdy jego sukces byłby ją bolał dojmująco.

Pewnego dnia czerwcowego, przybywszy na wystawę wcześniej, krótko po jej otwarciu, mała pani Hallward skierowała się z przyzwyczajenia w tę stronę, gdzie wisiała „Wiosna“. Ale zatrzymała się w progu wyludnionej sali jak wryta, gdyż przed obrazkiem ujrzała siedzącego Graftona.

On to był ze swą zgrabną głową Antinousa, ciemnymi włosami tu i ówdzie skarbowanymi, ze swem małym czołem, rzymskim profilem — smukły, elegancki. Zatopił się w ścisłej kontemplacji obrazka, jak to potrafi zawodowiec, i na wsuwających się do sali widzów najmniejszej nie zwracał uwagi.

Radosne jej oszołomienie, przygwałdzające ją do miejsca, potęgowała myśl, że on zapatrzył się tak w nią i zapomniał o świecie w tumanie erotycznych wspomnień, które wiały ku niemu upojonym, ciepłym zefirem od pływającego skrzacika. Może odgadywał, że scenę tę natchnęła i powołała do życia jego rzeźba sylfidy a może nie odgadywał, ale z pewnością rozmyślał się w skierce — kochał się w swej małej kolibrowej modelce, w swej wesolej, gwiazdnej muzie, w swej drogiej Gladys. Kochał się w niej w tej chwili tem goręcej, że jej już nie miał...

Skłębione uczucia grały w niej hymn wiosenny, serce jak ptak kołatało się w piersi i omotała ją słoneczna niepamięć istnienia — owa podniebna radość serca wynosząca istotę ponad sferę ziemskiego bytowania, w olimpijski, bajkowy świat beztroski.

Opanowując rozfalowane nerwy, zbliżyła się doń cichuteńko i przysunęła nieznacznie.

Wtedy dopiero Dudley podniósł głowę, zdziwienie i radość przebiegły błyskawicą przez lica i wyszeptał:

— Gladys!... Na Jowisza. Gladys!

Podniósł się z taburetu i ujął jej rączkę w dłoń. Tak cię dawno nie widziałem... A właśnie myślałem, jak to byłoby ładnie, gdybym cię zobaczył, Gladys...

— Znać wszystkie życzenia spełniają się... Jesteś faworytem bogów a zwłaszcza... muz.

— Nie tak całkiem! — odrzucił żywo, widocznie dotknięty w bolączkę, bo oprzytomnił sobie ocenę swej rzeźby. — Widziałas moją „Fantazję“? Co sądzisz o niej?... Nie wszyscy to rozumieją. Śmiałe przedsięwzięcie... Ale powiedz mi najpierw, jak ci się dzieje? Nie możemy tutaj porozmawiać swobodnie. Chodźmy stąd!

Wyszli, gawędząc o wystawie, o jego „fantazji“.



Skoro wynurzyli się z akademji na piękną, stolicy godną, arterję Piccadilly, rzeźbiarz wsadził ją w czekającego fiakra samochodowego i wskakując za nią, rzucił szoferowi:

„Regents — parc”. Nie wiózł jej do pobliskiego Hydeparku, lecz na ustronie. Gdy samochód, pogwizdując syreną na skrętach, przewijał się wężowo bocznymi skwerami ku szerokiej taśmie ulicy Regenta, Gladys poczęła żywo:

— Czy ty wiesz że jestem jego żoną?

— Wiem...

— Od kiedy?

— Uwiadomił mnie Cleve, w lipcu zeszłego roku, już po twym ślubie. Pisałem do ciebie przedtem dwukrotnie, ale nie było odpowiedzi...

— Dopiero w lipcu?... — szepnęła do siebie Gladys, stwierdzając, że p. Cleve wbrew jej intencjom, jakie zapewne odgadł, wspomniał o tem przyjacielowi dopiero wówczas, gdy nie mógł on już przeszkodzić małżeństwu modelki. Zapóźno.

— Powiedz mi, Gladys... Powiedz mi szczerze: on wyraża się o mnie z pogardą? — spytał pochmurny rzeźbiarz.

— Henryk? Nie, wcale nie! Czemu miałby mówić o tobie z pogardą?

— Miałby powód... Wiadomo ci, co zaszło owe go wieczora, gdy zrobiłem mu o ciebie taką scenę.

— Nie widzę w tem nic takiego... — odparła kobieta, skaptowana miłością, która spowodowała go wówczas do impertynencji względem malarza — Hallward nigdy nie wspomniał o tem ani słowem, a, rozmawiając niedawno o tobie z lordem Torringtonem, wyrażał się o twych pracach bardzo pochlebnie.

— O „Fantazji”?? — pochwycił żarliwie Dudley.

— I to chwali bez zastrzeżeń.

— Tak?... Czy jesteś z nim szczęśliwa?

— To ci całkiem obojętne... Nie stawiaj pytań, na jakie tylko przyjacielowi odpowiada się szczerze.

— Ależ Gladys, ja jestem twym przyjacielem i pozostanę nim zawsze, zaręczam ci... Czyż mam ci mówić, ile razy myślałem o ślicznej żabce albo prawić ci teraz, jak się cieszę, że widzę cię... widzę taką świeżą, pachnącą różyczkę, taką niezmienną. A wyznam ci, że obawiałem się, iż przywiedniesz. — Było to pierwszą moją myślą wówczas, gdy Cleve uwiadomił mnie o twym marjażu. Zrobiło mi się żal, że nie ujrzę cię już taką śliczniutką, przemiałą, malinową. A tymczasem, na Jowisza, jesteś równie urocza... Perełka! — szepnął i nachylił się ku jej złoto-bursztynowym włosom, nakrytym słomkowym kapeluszem marynarskim.

A ona zaśmiała się w głos, przymykając oczy. Jego szczerzy a ocukrzony egoizm nie tylko nie raził jej, ale posiadał swój niemały powab. Wogóle ów okrzyczany przez kobiety egoizm męski prowadził stokroć dalej aniżeli idealny altruizm Filonów i głębsza analiza wykazuje, że kobiety kochają się właśnie w tym egoizmie. I to nie bez dobrej racji, gdyż jest on atrybutem prawdziwej męskości.

— Nic się nie zmieniłeś... — wyrzekła.

— No, jeśli oboje nic nie zmieniliśmy się... — począł z łobuzowskim uśmiechem Grafton.

Urwał. Samochód, okoliwszy znaczną część olbrzymiego parku, dobiegał w pobliże sadzawki. Dudley zatrzymał go przy furtce. Wysiedli i ruszyli przez murawę ku luźnie rozmieszczonej grupie kłonów, u których podnóża błyszczała tafla wód zwierciadlanych. Z pod obwisłych prętów wierzb płaczących, spletanych w gęstwinę na bliskiej wysepce, wynurzyły się białe i czarne łabędzie i popłynęły ku nim dostojną, teatralną procesją, niby zastęp dumnych dworzan na ceremonjalne przyjęcie koronowa-



nej pary. Opodal nie było nikogo, w oddali, na zieleni bielity się owce, skubiące trawę.

— Dalibóg, nie mogę wyobrazić sobie siebie w garści tego... jakby wilka morskiego — ozwał się rzeźbiarz. — Że od niego nie uciekłaś jeszcze!

Uśmiechnąwszy się, Gladys siadła na skłonie odrzwionego pagórka i zatopiła się w kontemplacji swych złotych bucików.

— Natomiast ja mogę sobie wyobrazić siebie przy boku pani Florentyny. Widziałam jej podobiznę w „Żurnalu Towarzyskim” obok twojej, krótko po waszym ślubie.

— Podoba ci się?...

— Owszem... — rzuciła półtonem Gladys i umilkła, nie występując z krytyką urody pani Grafton. On zapalił papierosa i, wyciągając się na murawie, mówił jowialnie:

— Tak bywa... Dziś człowiek trzeźwy, jutro pijany, dzisiaj rozumny, jutro żonaty... Ale można z nią żyć. Złota przeciętność. Niema za wiele nieznośnych wad, ani na szczęście, za wiele nieznośnych cnót. Słuchajno, Gladys, mogłabyś zajrzeć do mej pracowni. Pokażę ci biust portretowy lady Helen Stanley... A twój Henryk co maluje? Nic większego?

— Nic. I on nic się nie zmienił. I z pewnością nigdy ani na jotę nie zmieni, bo to nie człowiek.

— To hieroglif ludzki — wpadł Dudley — o jakiejś demoniczno-tytanicznej mocy, zresztą bardzo sympatycznej dla całej naszej rasy angielskiej... O nią to rozbijają się wszystkie burze morskie... Zdaje się, że to nazywa się charakterem.

— Może ta zagadkowość jego trzyma mnie przy nim, ale kochać go nie mogę. To nie człowiek; nigdy nie cieszy się i nie martwi, nie kocha i nie nienawidzi. Mnie kocha, ale nigdy mi tego nie powiedział. Ty może ani w przybliżeniu mnie tak nie ko-

chałeś, lecz umiesz miłość ładnie ujawnić, ustroić. O! nawet miłość, jakiej wcale nie żywisz! Jesteś czarującym oszustem!...

— Jeśli tak, tom stworzony dla kobiet.

— Tak... — przyznała kobieta z uśmiechem w źrenicach.

— Lepsze ładne pozory uczucia od uczucia samego, tak jak lepszym ładnie namalowany pejzaż od samego krajobrazu. Przyglądając się dziełu przyrody, możesz zamoczyć buciki i nabawić kataru, a dzieło pędzla daje ci tylko przyjemność.

— Nic się nie zmieniłeś... Z tobą, Dudley można być nieszczęśliwym, a z nim nie można być szczęśliwym. To o wiele gorzej.

— Z pewnością.

— Z początku Henryk zaciekawiał mnie ogromnie...

— Chciałaś poruszyć skałę i roztopić lody.

— Dzisiaj mnie omal przeraża. Tajemniczy, twardy i zimny jak gład. Niema nerwów namiętności, niema najmniejszego wyrazu dla uczuć. W obrazkach jego tkwi humor, rubaszność, zmysłowość, a w życiu ani śladu tego. Są dowody dobroci, a niema słów dobrych. On bodaj nienawidzi miłości i wogóle uczuć. Byłby beze mnie równie szczęśliwym.

— „Každy jest zawsze sam, mówił mi kiedyś, ubieganie się o sympatję, o śmiech, poklask, o miłość, jest płonną ucieczką słabych osobników przed samotnością”. Z tego zdania wyciąga on całą naukę do dna. On nie żyje jak my na ziemi, lecz jak kret w jakichś przepastnych głębinach — w głębi swej jaźni i z niej czerpie soki imponującej siły tytanów, zdaje się, iż możnaby go zabić, a nie umarłby.

— Prawda, prawda.

— Nie dziwię się, że zdejmuje cię wobec niego mistyczny lęk, jaki wstępował w łydki starożytnych



Greków w przeczuwanej obecności bogów. Nie potrafił z nim wysiedzieć.

— Nie wiem co pocznę... Żyć z człowiekiem, który nie czuje, albo raczej uczuć nie uzewnętrznia, to okropne.

— No, Gladys, gdy nadejdzie godzina rozstania i serce twe zabije do wspomnień, przypomnij sobie, że mieszkam pod nr. 110 przy Holland-road.

Gladys przyglądała się łabędziom, żerującym u brzegu.

— Przecież ty ją kochasz...

— Nie mogę powiedzieć: nie, ale z pewnością kocham ciebie także. Florentyna piastuje dziecko, ja mogłabym piastować ciebie... To zabawne, co?... Czuję się samotnym, a nie jestem Hallwardem. Ty umiesz być ze mną i z moją sztuką. Kocham cię za to i za wszystko.

— I ja ciebie...

## V.

W jasny dzień sierpniowy, mała pani Hallward siedziała przy oknie jednopiętrowego domku, spoglądając na wychodzącego męża. Niósł pod czarną chustką obrazek do salonu handlarza — w spłóviałym kapturze, w szaraczkowej marynarce, tęgi, dobrze odżywiony jegomość z przedmieścia, pospolicity, bajeecznie nie interesujący osobnik, bez nerwów.

Dlaczego nie opuściła go dotychczas? Skoro miłość jej i rzeźbiarza odżyła w całej pełni, zdawało się, że nie pozostanie pod tym dachem ani chwili i bez wahania powie mu prosto:

— Henryku, wyprowadzam się do matki.

Krok taki poczytywała w teorii za jedynie godziwy i naturalny, a jednak nie wykrztusiła słowa pożegnania. Czekwała na objaw erotyki, na ciepły

dźwięk głosu, na miłość, zzymając się, że nawet w rzadkich chwilach chłopskiej swej miłości, nie miał na ustach pieszczoty. Czekala jakby na spłacenie długu.

A odgadywała, że w niej czci on, aż zanadto pierwiastek niewieści i uważa ją za porcelanowe drogocenne cacko, za niedosiężne bóstwo, osłoneczniające go majową poświatą.

Czyż to była miłość. Trochę ordynarnej zmysowości i podobne etery ultraidealnego uczucia zakutego w głąz ukrytego w tajnikach duszy przywalonej dębem wiekiem. Do tych głębin nie było klucza, nie było przystępu. Nieraz zdejmowała ją chęć, by pukać do tej tajemniczej piersi i wołać: „Sesamie, otwórz się!” ale mroził ją ów nieludzki spokój odwiecznych lodowców. Drobne, codzienne dowody pewnego przywiązania i przyjaźni, mówiły, że i on ma serce, a milczenie przeczyło i odpychało ją.

Był zagadką, w której podejrzewała duszę. W jego granitowym spokoju, w najskończejszym zrównoważeniu czynników psychofizycznych, w jego absolutnej bezuczuciowości i niezależności od ludzi i świata, słowem w jego przedziwnej sile ducha, wyczuwała coś nieśmiertelnego, coś boskiego.

Była pewną, że na słowa jej: „wyprowadzam się do matki”, Henryk ani drgnie. Maskę jego nie sfałduje się, nie skurczy boleśnie. Ani jeden wyraz zdziwienia ni wyrzutu nie padnie z ust jego, całem swem zachowaniem odpowie jej: rób jak się tobie podoba.

Mimo to wszakże, albo raczej dlatego właśnie, nie miała siły zerwać nici małżeńskiej; nie umiała czy nie mogła odseparować się od tego — czegoś boskiego, przykuta jakąś mistyczną siłą.

A zdradzała go. W lipcu wyjechała z matką do krewnych nad morze i wkrótce odrzuciła na uplanowaną z rzeźbiarzem sielankę. Ukryli się w malow-



niczej osadzie sielskiej nad Kanałem Angielskim błakali się nad wybrzeżem w pięknym jachcie, na którym odwiedził ich oddany Cleve. Zachwycali się cudownymi zachodami słońca, purpurowo-złoty płaszcz ciskającego na rozłogi fal, wiatrem oranych, ubielonych. A wieczorami śmiali się, śpiewali, hulali przy winie.

Aż raptem wpadł w muzykę kołysanki przenikająca do posad zgrzyt: zdało się, że przepożęzne trzęsienie ziemi zmaćło, stargało, porwało na strzępy wszystko, że zgasilo ogniska i wartości, obaliło świętynie i prawidła życia społecznego. Wszyscy nagłym rzutem wykolejeni, zdezorjentowani, ogłupieli, nie mogli znaleźć siebie.

Bo słowo: „Wojna!” przeleciało huraganowym poświstem nad krajem, w długowiecznym pokoju uspionym, przeszło duszę na wylot, wpiło się do szpiku społeczności i zaświeciło przed oczyma krwawą chustą; zwała się na ludzi świadomość, że rozpętało się wulkaniczne morze piekieł.

Wyrwany brutalnie z arkadyjskiego hamaka miłości Grafton pospieszył do stolicy, by dostać się tam pod deszcz elektryzujących wieści i fermentów obłędnego rozciekawienia. Wkrótce wygładziła się powierzchnia rzeczy, życie przybrało zwykłe pozory, ale w uszach zdał się grać nieustannie huk tysiącznych dział armatnich, wnikać w tryby bytowania miejskiego. Życie wrzało pod nowym znakiem.

Sztuki piękne zamilkły. Jedynie bodaj Hallward malował swe obrazki, o wojnie mówiąc jedynie to, co wyczytał w gazetach. Gladys raz jeszcze mogła się przekonać, że absolutnie nic nie zdoła wyprowadzić go z równowagi, zakłócić klasycznego jego spokoju. Nie podlegał wrażeniom chwili, nie kołysał się ustawicznie na szali bieżących wypadków. Cekał spełnienia wyroków — jak głaz.

Tymczasem Grafton zarzucił szpachle i dłuta, wchłaniając w siebie chciwie odgłosy wojny i widując się bardzo często z małą Gladys, dzielił się z nią myślami i nadziejami. Miłość ich rozkwitała purpurowo i Dudley, zazdrością targany, zasypywał ją nieraz wymówkami, że nie zrywa pętów. Ona zaś uniewinniała się, lecz półgłosem obiecywała, że zdobędzie się na krok stanowczy — jutro.

Nie nadchodziła jednak „stosowna chwila”.

Dnia tego Hallward stawiał się na lunch jak zwykle punktualnie, niosąc w papierze homary i torebkę ciastek dla żony. Powtórzył jej, co przyniosły ostatnie depesze i zasiadł do stołu.

Ale zając, ozwał się pomrukiem:

— Gladys muszę ci powiedzieć, że zapisałem się dzisiaj na listę ochotników...

— Ty na wojnę?

— Dlaczegożby nie? — odrzekł flegmatycznie. — Dość mam sił, by dźwignąć karabin. Nie obawiaj się o siebie; państwo się tobą zaopiekuje, wyznaczy ci dożywotnią rentę.

— Henry, czy ty chcesz umrzeć? — wyszeptała Gladys z błędem przerażeniem.

— Tam o śmierć nie trudno — odparł wymijająco.

Zamilkli. Dopiero, posprząawszy ze stołu, Gladys przystąpiła do męża, który z fajeczką w zębach czytał gazetę.

Przykłęka obok niego i patrząc weń swemi wodnisto-modremi oczyma dziecka, spytała:

— Czemu ty chcesz się dać zabić? Jesteś niebezpiecznym? Nie moja wina, Henry, ja cię bardzo lubiłam, wychodząc za ciebie. Jesteś takim ode mnie odmiennym... Byłabym cię pokochała, ale czemu jesteś taki dziwny?...

— Jestem, jakim jestem. Nie potrafię być in-



nym. Egoistą jestem, bo nic z siebie nie oddaję, ale nie żądam też niczego od nikogo. Nie mam do ciebie żadnych pretensyj; przeciwnie, żywię wdzięczność, że za mnie wysłaś. Nie wymagam też, abyś była inną... Każdy należy do siebie. Nie pragnę odbierać cię sobie samej i zabierać na własność, jak to czynią kochankowie. Miłość jest zaborcza. Bezprawnie. A jeśli jest transakcją zamienną, to obciążając uczciwego partnera i zabójczą dla jego indywidualności. Nadto jest niepokojącą oraz niebezpieczną jak wszelakie szczęście.

Niezupełnie wiedząc, co ulepić z tych jego wyznań i uwag, Gladys pochyliła głowę, a on, spozierając na jej luną prześwietlane włosy, chciał musnąć jej dłoń, lecz powstrzymał się od pieszczoty.

— Czemu chcesz iść na wojnę? — spytała go żona powtórnie.

— Zapewne dla tego wstępuję w szeregi, iż... pragnę być wolnym.

— Wolnym??

— Nie od ciebie.

— Jeśli ode mnie, to ja stąd odejdę natychmiast.

— Nie! Zostań, jeśli ci tu nieźle. Nie od ciebie, mówiłem, lecz wolnym od...

— Od czego?

— Mnie samemu nie jest całkiem jasnym. Zresztą, co tu rozprawiać długo. To proste, jak powszechnie wiadomo. „Anglja oczekuje, aby każdy spełnił swój obowiązek“, więc niema co gadać.

Gladys podniosła się na nogi zmrożone. Spodziewała się wykrzesać zeń ciepłe słowo, czułe spojrzenie, błysk uczucia, lecz bożek siły nie zstąpił na ziemię.

W godzinę potem pojechała do pracowni rzeź-

biarza, gdzie znajdowała pełny oddźwięk swych uczuć i myśli.

Wiadomość o postanowieniu Hallwarda wywarła na Graftonie ogromne wrażenie; powracał do tej sprawy w rozmowie kilkakrotnie i popadał w zadumę.

A dnia następnego małej Gladys zdało się, że śni, gdy ujrzała kochanka, stukającego do drzwi jej domku. Zdjął ją nieokreślony lęk, nasunęło jej się bowiem przypuszczenie, że on spada nie spodzianie, by wywołać scenę zniewalającą ją do opuszczenia męża.

Sama otworzyła drzwi i wprowadziła rzeźbiarza do parterowego saloniku.

— Muszę pomówić z Hallward'em — rzucił Grafton na wstępie i szepnął z uśmiechem: — Przybrałaś tak bajecznie zdziwioną minkę! To nie o ciebie chodzi... Powiem ci wszystko potem. Jest on w domu?

— Maluje — rzekła, jeszcze nie ufna Gladys.

— Nie zmienił postanowienia?

Nie — odparła, przyglądając się kochankowi bacznie, i wkrótce uspokojona poszła uwiadomić męża o przybyciu niespodziewanego gościa.

Nie każąc mu czekać na siebie, malarz zeszedł z piętra w niebieskiej bluzie i rozdeptanych papciach, jak zawsze kamienny z nieodstępną fajeczką w garści.

Grafton podniósł się z fotelika.

— Wypadkiem wyczytałem twe nazwisko na liście świeżo zapisanych ochotników... I przyszedłem, Hallward, aby cię pożegnać, aby ci uścisnąć dłoń... Była między nami scysja z powodu dzisiejszej twej żony... Nie miałem wtedy przyczyny do występowania przeciwko tobie, wyznaję szczerze. Nie jesteś z tych, co zabieraliby komu kobietę. (Zresztą kobieta to nie przedmiot bez woli ni bez siły). Było to



niemądrze z mej strony... Ty musisz pogardzać mną? — wyszeptał.

— Nie — odparł flegmatycznie malarz, siedząc naprzeciw niego. — Byłem raczej kontent, że daliście wszyscy nogę przede mną.

— Byłeś rad?

— Tak jest, gdyż byłbym cię niechybnie zabił... Dobrze się tak stało.

Rzeźbiarz spojrzawszy wielkimi oczyma w nieruchomą twarz jego i wreszcie przerwał stojące nad nimi milczenie.

— Hallwardzie, wówczas stchórzyłem wobec ciebie... Ale obecnie nie wolno mi być tchórzem... Zapisalem się do szkoły oficerskiej... Więc spotkamy się tam po drugiej stronie kanału, Hallward przyszedłem ci to powiedzieć...

Malarz przełożył wygasłą fajeczkę w lewą dłoń i bez słowa wyciągnął do niego prawicę.

Ręce ich splotły się w mocnym uścisku i zachybotała między nimi fala potężnych uczuć, w milczeniu spowitych.

Nigdy Grafton nie był piękniejszym, aniżeli w tej chwili, z twarzą osłonecznioną najwyższem zadowoleniem.

Odetchnął całą piersią jakby mu ciężar spadł z serca i spojrzenia ich zwały się w uścisku.

Milczenie świątynne, wiszące nad nimi cudownym baldachimem, zbyt było wzniosłem, by mieli je kałać brzmieniem mowy ludzkiej.

Po długiej chwili rzeźbiarz spytał szeptem:

— Nie żal ci jej opuszczać?

— Żal mi... jej. Bądź jak bądź ucierpi przez to materialnie.

— Posiadam trochę majątku. Mógłbym jej to zostawić.

— To może jej się przydać. Biedna. Postrada ciebie i mnie.

— Czy... sądzisz... że...?

— Zawsze przypuszczałem, że zachowa dla ciebie sentyment. Teraz mam pewność, że kocha cię płomiennie.

— Teraz?

— Gdy przyszła mi oznajmnić o twem przybyciu, wyczytałem to z jej wzięcia i twarzy. Jesteś z tych, których ludzie kochają.

— Czy ty jej nie kochasz?

— ...Że też wy nieustannie musicie lubić, nie lubić, radować się lub płakać, kochać i nienawidzić... Pławicie się w uczuciowości, w świecie żądz, niby w ukropie rozkosznym. Zaiste, daleko wam do ataraksji... — mówił niezwykle wylewny Henryk. — Ja kocham nadewszystko, nad życie — wolność. A chcąc być wolnym, trzeba być sobą i należeć do siebie, nie do kobiety, nie do innych. Trzeba uniezależnić się od pieniędzy, od ludzi i...

— I chcesz uciec od miłości!

— Uczucia dręczą, niewolą, krepują, wykołejają. W mem pojęciu są tylko dwie rzeczy, dla których żyć warto: sztuka i ojczyzna. — W sztuce miałem piękno, przyjemność, wyraz swej jaźni i swego istnienia, w ojczyźnie mam ideę wielką, w której egoizm mój rozplywa się jak kropla w oceanie. No, służyłem mej sztuce, jak umiem, wyżyłem się, nabazgrałem dosyć obrazków, teraz... woła kraj.

Wydawać się mogło, iż skończyli rozmowę, wszakako trzymało ich jeszcze coś niedopowiedzianego. Potoki jakieś wezbrane w duszach domagały się ujścia.

Rzeźbiarz wpił się okiem artysty w chłopską fizjonomję Hallwarda, spoczywającego ciężko w foteliku niby wór mąki. Szukał w rysach twarzy i linjach



jego rozwiązania zagadki. U innych osobników życie ich przejawiało się na zewnątrz, szumiało na powierzchni, mieniało się barwami kameleonowo, w nim zaś tkwiło niby djament w tajnikach bryły cielesnej, paliło się niby lampa czarnoksiężnika w pomrokach pieczary. Opancerzył się spokojem granitów, odciął od świata warstwą próżni i ludzie nie mogli prawie wcale ani uszczęśliwić go ani unieszczęśliwić. Był sam.

Nawet miłość nie ściągnęła go na padół ziemski, nie wprowadziła w sferę uczuć, w gaj wonny, czarowny.

Czyliż wyczuwając, że nigdy swej filigranowej lalce nie zastąpiłby eleganckiego amanta, że nigdy nie zdobędzie pełnego swej miłości oddźwięku, pohamował dumne uczucia w zarodku, trzymał na żelaznej uwięzi, zgłębiał i tak odsunął się od przepastnego puhara erotyki? Czyż instynkt stróżujący wzbraniał mu wychylić się ze ślimaczej skorupy na wrące wody uczuć, umieścić nadzieję w piersi kobiety, oczekiwać czegośkolwiek od człowieka, uzależnić się od niego? Czyż lęk, iż w miłosnych splotach i kołcach zadałby kłam sobie, zaprzepaścił swe ja, nie był ostatnim bodźcem do pożegnania się z miłością? Czy nie przeczuwał, że ona ucieka od niego w ramiona dawnego kochanka? Czyż wszystko to, odstręczając go od życia, nie pchnęło go ostatecznie w szeregi tych, co idą na spotkanie śmierci?...

Któż mógł to wiedzieć i powiedzieć? Może to wszystko grało w nim potrosze, przejściowo, może przepłynęło przez nurty duszy, może wplotło się niewidzialnymi nićmi we węzeł postanowienia. I dla niego samego było to zagadką; dla wszystkich źródła ich zamierzeń, postanowień i czynów, przesłonięte są nocą jak dno duszy głęboka.

Dość, że w zadumie swej Grafton nabierał prze-

konania, że samotnik ten podlega nostalgji zenitowego spokoju i idealnej wolności duszy — nostalgji zenitowego spokoju i idealnej wolności duszy — nostalgji, sięgającej aż do krawędzi niebytu. Cierpiął na jakiś swoisty spleen.

Później, myśląc o nim, Grafton przypominał sobie, jak to Hallward pod koniec ich rozmowy, niby w toku banalnej gawędy, zatlił sobie fajeczkę i wycedził napót do siebie:

— Istotnie wolnym jest tylko ten, kto nie obawia się śmierci...

.....

W dzień wczesno-wiosenny, gdy wicher morski wtargnąwszy do miasta, hulał po błoniach parkowych i szarpał z furją drzewa, zjawił się u małej Gladys przyodziany w khaki Hallward i bąknął:

— Przyszedłem pożegnać cię...

Wyrzekł to swym, przedziwnie bezbarwnym tonem: on nie mówił, lecz zaznaczał fakty.

— Jeden z pozostawionych ci obrazków: „Męstwo”, przeznaczyłem dla Torringtona. Oddaj mu go ode mnie w upominku.

Ona zarzuciła go pytaniami: kiedy wyjeżdża, czego oczekuje i t. p., zaczem ozwała się:

— Ciebie to rozstanie nic nie kosztuje. Nie kochałeś mnie nigdy...

Podniósł na nią spojrzenie i po chwili odrzekł:

— Kocham cię... Niewyczerpanem źródłem przyjemności było i jest dla mnie to, że istniejesz, że oglądam takie żywe artystyczne cacko, jakby z mych upodobań do małych przedmiotów poczęte i w mej wyobraźni wyhodowane. Mówiłem sobie nieraz, że jesteś Galateą z mych figurek glinianych i malowanych wyczarowaną, mniej dla mnie kobietą, więcej



idea plastyczną... Dla erotycznego trubadura byłabyś natchnieniem, liryką.

— Nigdy nie miałeś dla mnie miękkiego słowa tkliwej pieszczoty...—szepnęła; a on zamyślił się.

— Well, Gladys...—wycedził leniwie,—Jam przecież chłop!..

Umilkła. Mur, jakim oddzielił się od niej, nie rozstał się, lecz traciła w nim jednak przyjaciela, podporę silną i — czcigodną. Może widziała go po raz ostatni...

Łzy zaszkliły się w jej oczach dziecka.

— Otrzej łzy! Nie ma co płakać. Ja czuję się wolnym...

Przygarnął ją lekko do siebie, przycisnął usta do jej czoła.

— Żegnaj! Bądź dzielna...

Oddalił się. Położywszy dłoń na kłamce, mocny człowiek zatrzymał się i zawahał, bo podniosła się w nim fala ciepła, pełna słów i pieszczot tkliwych.

— Henryku, co chciałeś mi jeszcze powiedzieć?—spytała Gladys z ujmującą słodyczą.

Kanonier zawahał się jeszcze, nim odrzucił:

— Nic, nic,.. Żegnaj, Gladys!

Poszedł.

KONIEC



103273





# Haz-Life

BEZTŁUSZCZOWY KREM HAZELINOWY

